

ZA KULISAMI GEOPOLITYKI

Próbujemy ustalić, co kryje
szykowany traktat polsko-ukraiński?



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 19/526 8-14 MAJA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Nowy sztandar Zbigniewa Ziobry
– analiza Piotra Semki



**CEJROWSKI
O „DOMYKANIU
SYSTEMU”**

– W POLSCE, W USA,
W UNII EUROPEJSKIEJ

I ty zostaniesz szpiegiem Rosji!
– Warzecha ostro o nowych
zamiarach rządzących

WIELKIE WYWŁASZCZANIE

Z powodu Unii Europejskiej
miliony Polaków już wpadły
w energetyczne ubóstwo,
a teraz będą tracić domy



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 91e9756154

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NIETYJAŚNIONE ZBRODNI – KAPŁANI NA KOMUNISTYCZNEJ GOLGOCIE

Dla władz PRL duchowieństwo było
wrogiem numer jeden – księża ginęli jeszcze
po wyborach 4 czerwca



Esbecka trucizna za ewangelizowanie – Dlaczego bezpieka coraz bardziej zaciskała pętlę wokół ks. Franciszka Blachnickiego?

Ostatni lot Czerwonego Barona – Niemieckiego asa przestworzy zgubił błąd, przed którym on sam przestrzegał innych

Diabelski eastern – Kulisy realizowanej z rozmachem epickiej historycznej opowieści Jacka Komudy

Największy z 300 – Dlaczego to właśnie król Leonidas dowodził połączonymi siłami greckimi w wojnie o wszystko z Persją?

Wilno w ogniu – Jak polskie Kresy broniły się we wrześniu 1939 r. przed sowieckim najazdem

Zagłada Konstantynopola – Nikt nigdy nie wziął murów Konstantynopola szturmem. Dlaczego tym razem było inaczej?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Dogmaty polityki zagranicznej



PAWEŁ LISICKI

Charakterystyczną cechą naszej debaty politycznej, co się tyczy spraw międzynarodowych, jest wypieranie niekorzystnych dla Polski informacji. Dokładnie tak dzieje się w związku z wojną Rosji na Ukrainie.

W tej sprawie dominują w Polsce trzy dogmaty. Po pierwsze, Rosja to imperium zła i cały świat potępia ją za agresję. Po drugie, cały świat stoi po stronie broniących demokracji, wolności i „naszych wspólnych wartości” Stanów Zjednoczonych. Po trzecie, po militarnej klęsce na Ukrainie skutecznie wyeliminują one Rosję z grupy mocarstw światowych, a nawet regionalnych, tak że z jej głosem nie trzeba się będzie już liczyć.

Wizja ta jest prosta i przekonująca. Idealnie zresztą odpowiada polskiej mentalności: moralne zło zostanie ukarane, a dobro zwycięży. Przy okazji, jakże mogłoby być inaczej, zwycięstwo dziejowego dobra przyniesie też wymierne korzyści Polsce, która przekształci się w potęgę (co do dokładnego jej charakteru wizjonerzy nieco się spierają: czy będzie liderem Śródziemnomorza czy też po prostu imperium europejskim). Dlatego nic dziwnego, że w Polsce taką popularnością cieszy się debata na temat wykluczenia Rosji z ONZ. Dowodem powszechnego potępienia ma być protest ambasadorów państw Unii i USA przeciw objęciu przez Moskwę przewodnictwa w Radzie Bezpieczeństwa. Tymczasem, niezależnie od tego, czy nam się to podoba czy nie, trzy przyjęte w Polsce dogmaty są iluzją.

Po pierwsze, rośnie, a nie maleje, liczba państw, zwolenników negocjacji i pokoju, nawet jeśli oznaczałoby to ustępstwa terytorialne ze strony Ukrainy. Państwa te nie tylko nie są skłonne potępiać

Rosji, lecz także gotowe są z nią współpracować. 2 czerwca w RPA zaczyna się szczyt grupy BRICS: Brazylii, Rosji, Indii, Chin i RPA. W ostatnim czasie okazało się, że to do tej grupy, zbudowanej wokół osi Rosja-Chiny, chce dołączyć kilkanaście nowych państw. Z punktu widzenia globalnego układu sił najważniejszym nowym nabytkiem może być Arabia Saudyjska. Jest to o tyle zaskakujące, że państwo to od miesięcy, ale konsekwentnie opuszcza obóz amerykański. Nawet jeśli liczba państw zwolenników propagowanej przez Moskwę „wielobiegowości” nie jest wielka, to przecież łącznie obejmują one mniej więcej połowę ludności świata.

Nie mniej istotne jest to, że największy liczebnie kraj globu, Indie, skokowo wręcz zacieśnia współpracę gospodarczą z Rosją. Według najnowszych danych Rosja po raz pierwszy w historii znalazła się w pierwszej piątce największych partnerów handlowych Indii. Obroty handlowe między obydwoma krajami w 2022 r. osiągnęły rekordowe 39,8 mld dol.

Tak samo nie jest przypadkiem, że prezydent Brazylii (podobnie zresztą jak jego poprzednik) zajmuje w sprawie wojny na Ukrainie stanowisko co najmniej dwuznaczne. Nie tylko zakwestionował integralność terytorialną Ukrainy, lecz także odmówił wskazania winnych wybuchu wojny: „Popełniono błąd, wojna się zaczęła. Teraz nie ma sensu dywagować, kto ma rację, a kto jest winny. Wojna musi się skończyć. O rozliczeniach będziecie rozmawiać dopiero wtedy, gdy przestaną strzelać” – te słowa Luli da Silvy należy uznać za poparcie dla chińskiego planu pokojowego. Tak samo Arabia Saudyjska nie tylko zaczęła współpracować z Rosją gospodarczo, lecz także pierwszy raz

od 10 lat zgodziła się na przyjęcie do swojego portu rosyjskiej fregaty wojennej.

Największym zapewne sukcesem dyplomatycznym i gospodarczym Moskwy było jednak co innego: otwarcie kilka dni temu w Turcji pierwszej elektrowni atomowej, zbudowanej w Akkuyu. Będzie ona dostarczać 10 proc. zużywanej w Turcji energii, a zbudował ją w całości rosyjski Rosatom. Dla przypomnienia: Turcja to państwo NATO i dysponuje drugą po USA największą armią sojuszu.

Podają te wszystkie fakty, ponieważ stoja one w sprzeczności z dwoma pierwszymi dogmatami. Nie lepiej ma się jednak trzeci. Żeby udowodnić słabość militarną Kremla, polscy analitycy najczęściej posługują się wobec armii Putina różnymi obraźliwymi określeniami, tak jakby nazwy „barbaria” lub „kacapia” miały same w sobie spowodować zniknięcie niechcianego faktu. Ocena skuteczności armii Putina jest oczywiście najtrudniejsza, bo brak nam obiektywnej wiedzy. Praktycznie wszystkie informacje podawane przez ogół polskich mediów wskazują na to, że jest ona słaba, zmęczona, rozbita, źle zarządzana i skorumpowana. Niekiedy wręcz dochodzą do wniosku, że liczba jej strat jest większa od jej stanu osobowego. Trudno jednak przyjąć te doniesienia za dobrą monetę, rzucając okiem na mapę. Na razie nic nie wskazuje na to, by rosyjski okupant zamierzał się wycofać z zajętych przez siebie obszarów tak po 2014 r., jak i po lutym 2022 r.

Inaczej zatem niż zdecydowana większość komentatorów sądzą, że sytuacja międzynarodowa jest dla Polski coraz mniej korzystna. Postawienie wszystkiego na kartę amerykańską może okazać się wyjątkowo kosztowne. ©©

TEMAT TYGODNIA

16 TOMASZ CUKIERNIK
EUROWYŁĄSZCZENIE
Nie w naszym interesie

20 ROZMOWA
Z PROF. ZBIGNIEWEM KRYSIAKIEM
GOSPODARCZE TSUNAMI



KRAJ

24 JAN FIEDORCZUK
TAJEMNICA
SARMACKIEGO SOJUSZU
Związek Polski i Ukrainy

27 PIOTR SEMKA
NOWY SZTANDAR ZIOBRY

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK GRA O TUSKA

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
BRUKSELSKI TRIK,
CZYLI ROZBIÓR PAŃSTW

34 JERZY KARWELIS
KONIEC PANDEMII

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
POPULISTYCZNY „LAPTOP+”

38 ZUZANNA DĄBROWSKA
OKRESOWA REWOLUCJA

KULTURA

40 ROZMOWA Z JACKIEM PIEKARĄ
WCIĄŻ Z PRZYJEMNOŚCIĄ
PISZĘ NOWE KSIĄŻKI
Cztery dekady pisarstwa Piekary

43 PIOTR GOCIEK
ŚMIERĆ, CZYLI ŻYCIE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ŁUKASZ WARZECHA
I TY ZOSTANIESZ SZPIEGIEM ROSJI
Wpędzanie w paranoję podejrzeń

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KATOLICY NA CELOWNIKU

HISTORIA

58 DARIUSZ WIEROMIJCZYK
ŚWIAT NA KRAWĘDZI
Czy można uniknąć wojen?



62 RAFAŁ ŁATKA
CO MÓWIĄ ZAPISKI
KARD. GULBINOWICZA?

ŚWIAT

64 WITOLD REPETOWICZ
DWÓCH MUHAMMADÓW KONTRA JOE
Arabscy partnerzy USA obierają kurs na Rosję

68 PIOTR WŁOCZYK
PROBLEMÓW BEZ LITU

EKONOMIA

70 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM
ARDANOWSKIM
KRONIKA ZAPOWIADANEJ KATASTROFY
Jak rozwiązać problem z ukraińskim zbożem?



74 JACEK PRZYBYLSKI
PODATEK OD DESZCZU, SŁOŃCA I CIENIA

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

**„Sekret papieski”,
Wojciech Golonka,
„DRz” nr 15/2023**

Szanowna Redakcjo, pierwszy raz ośmielam się wyrazić opinię o Państwa pracy. Chciałabym podziękować p. Wojciechowi Golonce za artykuł „Sekret papieski” w numerze 15/2023.

Jestem praktykującym katolikiem, aktywnie zaangażowanym w życie Kościoła, pragnącym

No dobrze... raz na jakiś czas... ale jestem wyrozumiały i daję wam jeszcze jedną szansę...



być autentycznym świadkiem Chrystusa wobec świata. Przyznam, że zarzuty wobec Kościoła, ostatnio nasilające się, wywołują we mnie samej niepokój i zamieszanie. Zastanawiam się, jak to możliwe, aby cierpienia osób wykorzystywanych przez osoby duchowne mogły nikogo albo niewielu wzruszyć... Artykuł pana redaktora pozwala mi zrozumieć to lepiej, tę tajemnicę Kościoła, który jest święty i grzeszny.

**Dziękuję. Pozdrawiam
Joanna**

**„Brak dzieci w Polsce
to kwestia mentalności”,
Tomasz Rowiński,
„DRz” 13/2023**

Nawiązując do artykułu p. Tomasza Rowińskiego w „Do Rzeczy” nr 13/2023, pt. „Brak dzieci w Polsce to kwestia mentalności”, zwracam uwagę na czynnik, którego nie bierze się pod uwagę. Kobiety są karane za posiadanie i wychowywanie

dzieci dopiero na emeryturze. Im więcej dzieci urodzą, tym mniejsza emerytura. Jest to „kara z odroczeniem”,

która zniechęca do rodzenia i wychowywania dzieci [...].
**Z poważaniem
Gerarda Wyganowskiego**

NEKROLOG

Szanownemu Panu

TADEUSZOWI WOŹNIAKOWI

Posłowi na Sejm RP

wyrazi głębokiego współczucia
z powodu śmierci
OJCA

składa

**Zbigniew Ziobro
Minister Sprawiedliwości
Prokurator Generalny**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukiermistrz, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torąński, Piotr Włoczyk,

Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystzopa**
Okładka: **John Thys/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta, „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Watykan na wesoło, czyli na smutno

W czasie powrotu do Rzymu z pielgrzymki na Węgrzech papież Franciszek zelektryzował dziennikarzy. „Trwa misja w sprawie pokoju na Ukrainie, która nie jest jeszcze publicznie ogłoszona” – ujawnił żurnalistom pontifex. Jednocześnie nie podał żadnych detali. Dodał tylko, że „szczegóły misji zostaną upublicznione tak szybko, jak tylko będzie to możliwe”.

Na rewelacje papieża szybko zareagowały Kijów i Moskwa. – Ukraina „nie ma wiedzy” o misji pokojowej z udziałem Watykanu w celu zakończenia wojny z Rosją – poinformowała stacja CNN, powołując się na słowa urzędnika kancelarii prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. Dyskretne wyjaśnienie, że Moskwa nie wie nic o żadnej pokojowej inicjatywie, wypłynęło też do mediów z Kremla.

Jak na to zareagowała dyplomacja watykańska? „Misja pokojowa będzie” – stwierdził 3 maja

sekretarz stanu stolicy apostolskiej, kard. Pietro Parolin. „Dziwi mnie, że Kijów i Moskwa powiedziały, że nie mają o tym wiedzy” – stwierdził kard. Parolin.

Cała sprawa jest tak żenująca, że aż przykro o niej pisać. Zasady dyplomacji nakazują, by nie ogłaszać przed czasem czegoś, co nie ma gwarancji sukcesu. Papież może występować z dowolną inicjatywą, ale gdy nie potwierdza jej żadna z wojujących stron – najbardziej zainteresowani – papieństwo ociera się o śmieszność.

Za czasów Jana Pawła II z papieżem Polakiem i jego dyplomacją liczyły się największe mocarstwa. W latach 1980–1981 prezydent USA Ronald Reagan wysyłał do Watykanu ważnych rangą urzędników Departamentu Stanu z satelitarnymi zdjęciami ruchów wojsk sowieckich przy granicy z Polską, aby prosić papieża o interwencję mającą zapobiec inwazji Rosjan. Nie wiadomo, na ile działania

dyplomatów JPPII były skuteczne, ale Rosjanie w końcu nie weszli sami, lecz wyręczyli się swym sługą Wojciechem Jaruzelskim. Potem dyplomacja watykańska zasłynęła rozładowaniem napięcia i groźby wojny między Argentyną a Chile. I wszystko to odbywało się bez przedwczesnych informacji, bez przecieków, niesprawdzonych informacji i bez kompromitacji.

Teraz jest inaczej. Wokół Ojca Świętego kręcą się podejrzeni duchowni prawosławni, którzy sugerują, że mają wpływ na władców Rosji. Postacie takie kojarzyć się mogą z montażami postsowieckich służb. Zauważają to wszyscy, tylko nie sam papież i jego dyplomacja. Wydzwignięty w górę za czasów Jana Pawła II prestiż dyplomacji watykańskiej dziś błędnie w oczach.

Papież zyskuje sobie opinię gawędziarza, który bierze za rzeczywistość własne nadzieje. Tylko wciąż bombardowanej Ukrainy żal. © ©

KRWAWY ATAKI W SERBII

W ubiegłym tygodniu na terenie Serbii doszło do dwóch krwawych strzelanin. W czwartek wieczorem w położonym 60 km na południe od Belgradu mieście Mladenovac 21-letni sprawca otworzył ogień z broni automatycznej z przejeżdżającego samochodu do przypadkowej grupy. Zginęło co najmniej osiem osób, a 14 zostało rannych. Zaledwie dzień wcześniej niepełna 14-letni uczeń zastrzelił w Belgradzie ośmiorgo uczniów i szkolnego ochroniarza. (jap) © ©



FOT. ARMIN DURCUT/AP/EAST NEWS



FOT. OSTRZECZAKO.NOVOSTI

Drony nad Kreml

W ubiegłym tygodniu Rosjanie poinformowali, że Ukraina próbowała dokonać ataku na Kreml za pomocą dronów. Potwierdzeniem ataku był film, na którym widać dron nadlatujący nad siedzibę rosyjskich władz, który zostaje strącony przez system ochrony. Zdaniem Rosjan było to „planowany akt terrorystyczny i zamach na życie prezydenta Federacji Rosyjskiej”.

Prezydent Ukrainy natychmiast zaprzeczył, by to jego kraj stał za tą akcją. – Nie atakujemy Putina ani Moskwy – powiedział Wołodimir Zełenski na konferencji prasowej w Helsinkach (ponieważ w tym czasie składał wizytę w Finlandii). I tłumaczył: – Walczymy na naszym terytorium, bronimy naszych wsi i miast. Nie mamy wystarczająco dużo broni do tego. Dlatego nie używamy naszego uzbrojenia nigdzie indziej. Mamy deficyt, nie możemy marnować broni.

Analitycy od razu wskazywali na pewne elementy, które mogą świadczyć o tym, że Rosjanie sami zaplanowali inscenizację. Składa się na to kilka faktów. Po pierwsze, rzekomy atak nastąpił w środku nocy, a więc wówczas, gdy prezydenta na Kremlu nie można się było spodziewać. Po drugie, dopusz-

czenie dronów nad Kreml musiałyby oznaczać, że nagle systemy obronne Rosjan przestały działać i nie strąciły tych obiektów wcześniej – podczas wlatywania nad Moskwę. Po trzecie wreszcie, na filmie ze strącenia dronów widać, że na dachu budowli – obok której strącono bezzałogowca – na drabinie dachu stały dwie osoby.

Amerykański Instytut Studiów nad Wojną (ISW) ocenił, że rzekomy atak był rosyjską prowokacją obliczoną na mobilizowanie własnego społeczeństwa w obliczu konfliktu na Ukrainie. „Błyskawiczna i spójna prezentacja rosyjskiej narracji w sprawie ataku sugeruje, że został on zainscenizowany na krótko przed obchodzonym 9 maja Dniem Zwycięstwa w celu przedstawienia wojny jako egzystencjalnego zagrożenia dla rosyjskiego społeczeństwa” – uznał ISW.

Według amerykańskich analityków takie działania „pod cudzą flagą” w wykonaniu Rosjan mogą się jeszcze nasilać, by wzmoc dezinformację przed planowaną ukraińską kontrofensywą na froncie. Miałyby to pomóc rosyjskim władzom m.in. w szerszej mobilizacji społecznej w związku z wojną. ©©

Łukasz Zboralski

TAJEMNICZA RAKIETA POD BYDGOSZCZĄ

Szczegóły wojskowego znaleziska w lesie w Kujawsko-Pomorskiem wciąż owiane są wojskową tajemnicą. Z doniesień medialnych wiadomo jedynie, że na miejscu nie znaleziono śladów eksplozji, a na szczątkach strategicznego pocisku manewrującego powietrze-ziemia Ch-55 (zdolnego do przenoszenia ładunków nuklearnych) odnaleziono napisy w języku rosyjskim. Nadal nie wiadomo jednak, czy rakieta została przez Rosjan skierowana w okolice Bydgoszczy celowo, np. aby sprawdzić jakość polskiej obrony przeciwlotniczej, czy też miała razić cel na Ukrainie, a jej upadek na polskim terytorium był spowodowany wyłącznie usterką techniczną.

Według informacji RMF FM sprawę, w której wyjaśnienie zaangażowani zostali prokuratorzy do spraw wojskowych z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, mają pomóc rozwiązać Amerykanie. Eksperti z USA mieliby na prośbę władz w Warszawie udostępnić dane umożliwiające ustalenie, skąd przyleciała odnaleziona rakieta, jaką trasę pokonała i kiedy dokładnie spadła w lesie pod Bydgoszczą.

Pod koniec kwietnia Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło w mediach społecznościowych, że w pobliżu miejscowości Zamość ok. 15 km od Bydgoszczy, w okolicy Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 oraz lotniska wojskowego, znaleziono „szczątki niezidentyfikowanego obiektu wojskowego”. Oficjalnie poinformowano jedynie, że w przeciwieństwie do tego, co zdarzyło się w Przewodowie (w wybuchu, do którego doszło w listopadzie 2022 r., życie straciło dwóch Polaków), nie zginęli tam żadni ludzie, nie było rannych, a „sytuacja nie zagraża bezpieczeństwu mieszkańców”.

Z wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego wynika, że rząd już pod koniec kwietnia znał przesłanki, które pozwalały połączyć znalezisko w lesie pod Bydgoszczą z „informacją, którą powzięły nasze służby już w grudniu zeszłego roku, a co do której byliśmy w stałym kontakcie z naszymi sojusznikami, wiążącej się z incydem z połowy grudnia zeszłego roku”. Trajektorię rakiety, która 16 grudnia 2022 r. znalazła się nad terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, miały wówczas śledzić amerykańskie myśliwce F-35 oraz poderwane właśnie w tego powodu polskie samoloty i śmigłowce. Szczątków jednak nie odnaleziono. Dopiero 22 kwietnia trafiła na nie przypadkowa osoba, która zawiadomiła odpowiednie służby. (jap) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Poszukiwacze u kresu

Pieniądzy z UE nie ma i nie będzie, bo Kaczyński nie potrafi lub nie chce zmusić Trybunału Konstytucyjnego, żeby klepnął nowelizację nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Ktoś myślący, słysząc te oskarżenia lewicowo-liberalnych mediów, mógłby się zdziwić, bo przecież od ośmiu lat głoszą one, że TK w ogóle nie jest żadnym trybunałem, tylko jakąś „grupą przyjaciół magister Przyłębskiej”, która podpisuje Kaczyńskiemu wszystko, co ten każe; mógłby się nawet zdziwić podwójnie, bo od ośmiu lat słyszy, że to właśnie wpływanie przez lidera PiS na orzeczenia Trybunału jest zbrodnią przeciwko praworządności. Ale się nie zdziwi, bo ludzie myślący dawno już lewicowo-liberalnego

agitpropu nie śledzą, z wyjątkiem tych, którzy robią to dla beki, albo, jak ja, z zawodowego obowiązku – a ci wiedzą, czego się spodziewać.

Niemniej nie przestaje mnie zdumiewać stan mózgowic ludzi, którzy z tak kompletnym brakiem refleksji potrafią przechodzić do porządku dziennego nawet nad najgrubszymi sprzecznościami wyznawanej narracji. Kolejna zbrodnia Kaczyńskiego, którą jest to, że nie zmusił jeszcze Trybunału do zaakceptowania „kompromisowej” ustawy blokującej pod dyktando Komisji Europejskiej Sąd Najwyższy, nie unieważnia bynajmniej zbrodni poprzedniej, którą nadal pozostaje to, że „zniszczył” trybunał Rzeplińskich, Zollów i magistra Stępnia (że tak powiem

„à la maniere TVN”). Podobnie było, kiedy po latach nawlekania koszułek i skandowania „kon-sty-tuc-ja” uznano, że droga do odzyskania przez Żurków, Gąciarków i Juszczyszynów bezkarności i innych koteryjnych przywilejów, które czyniły ich do niedawna państwem w państwie, wiedzie jednak nie przez upieranie się, że konstytucja, tylko przez jej odrzucenie i uznanie za prawo nadrzędne orzeczeń TSUE czy nawet samego tylko rzecznika trybunału europejskiego. Koszulki „konsTYtucJA” stopniowo zniknęły nawet z okazałego torsu Wałęsy, ale nikt tego otwarcie nie ogłosił.

A wiedzą państwo, że zaczątkiem tej formacji umysłowej była grupa, która nazwała się Klubem Poszukiwaczy Sprzeczności? ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wojna i rewolucja

Do parlamentu w Kijowie trafiły projekty ustaw homoseksualnych. Ukraińskie autorytety prawosławne i katolickie protestują. Ale czy to będzie miało znaczenie w obliczu zagranicznej presji? Nasze władze biernie przyglądały się, jak Unia Europejska nakłaniała Ukraińców do ratyfikacji genderowej konwencji stambulskiej, choć powołaniem Polski była dekonstrukcja zarówno „konserwatywnej” maskarady Putina, jak i jej liberalnego uwiarygodniania na Zachodzie.

Adekwatna reakcja na międzynarodową akcję musi mieć charakter międzynarodowy. Ale oczywiście międzynarodowa odpowiedź wymaga narodowej inicjatywy i na-

rodowych standardów prawnych, do których się może odwoływać. To zupełny elementarz polityki.

Jeden z przywódców Konfederacji powiedział mi parę lat temu, że sprawy takie jak Międzynarodowa Konwencja Praw Rodziny to przedsięwzięcia dobre dla NGO'ów. Czym takie podejście różni się od PiS? Nawet nad retorycznymi pytaniami warto się czasem zastanowić, bo pewna różnica jest. PiS – wygrywając wybory – potrafi przynajmniej zapobiec angażowaniu Polski w destrukcję naszej cywilizacji. Jeśli się z nią praktycznie godzi, to stawia jej przynajmniej dobre znany z naszej historii bierny opór. I nawet jeśli gesty PiS – jak odeślanie konwencji stambulskiej do

Trybunału Konstytucyjnego (albo samo orzeczenie TK w sprawie prawa do życia niepełnosprawnych) – są w istocie unikami, to w ogóle są, pozostają faktami w planie państwowym.

Bardzo bym chciał, żeby Konfederacja stała się alternatywą moralną dla PiS. Tym bardziej że wszystkie wyliczone wyżej racje poparcia PiS kierownictwo PiS skwapliwie wpisuje w strategię „i tak muszą na nas głosować, bo tylko my możemy wygrać”. A skoro to drugie jest faktem, to Konfederacja naprawdę musi się wysilić, jeśli nie chce, by jedno z jej ulubionych haseł sparafrazowano jako „PiS, Konfederacja, jedna korporacja”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

O prawach artysty i upupionym Pupo



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Ruscy organizują festiwal patriotycznej pieśni wojennej „Droga do Jałty”. Przenieśli go z powodu wojny z Odessy do Moskwy. Na stronie internetowej organizatorzy wyjaśniają, że celem imprezy jest „wzmocnienie prawdziwego wizerunku sowieckiego żołnierza wyzwoliciela i ideologii wojny patriotycznej”. Zapewniają, że „występujący artyści podzielają rosyjskie wartości”. Jakże? Dwa lata temu połączyło ich „oburzenie perfidią Stanów Zjednoczonych”.

Był wśród nich popularny włoski piosenkarz Pupo. Ma dziś 68 lat, wydał dziesiątki płyt, śpiewał wiele razy w San Remo, często występuje w telewizji. Jednak ponoć jeszcze większym mirem Pupo cieszy się w Rosji Putina,

którą uważa za swoją drugą ojczyznę. Kiedy okazało się, że miłośnik Rosji wybiera się na festiwal również w tym roku jako juror i wykonawca, w Italii rozpętała się burza. Ale piosenkarz powiedział, że pojedzie do Moskwy, bo prawem artysty korzysta z wolności i występuje wszędzie tam, gdzie go o to poproszą. Wszystko jedno gdzie i dla kogo.

Na to dictum naczelny „Libero” Alessandro Sallusti wywalił na pierwszą stronę cytowany potem we wszystkich włoskich mediach komentarz pod tytułem „Pupo Putina: jest różnica między damą do towarzystwa a artystą”. Czyli w krótkich słowach wyjaśnił Pupo, że zachowuje się nie jak artysta, a jak luksusowa prostytutka. Nazwał go podwójnym idiotą, pożytecznym

i pospolitym. Spytał, czy zaśpiewałby również dla załogi obozu w Auschwitz, na kongresie pedofilów czy na mityngu islamskich podrzynaczy gardeł, skoro śpiewa dla mordercy Putina. Poprosił Pupo, żeby wchodząc na estradę w Moskwie, pomyślał o zamordowanych przez Rosjan ukraińskich kobietach i dzieciach, o masowych grobach. I ostrzegł: „Tylko nie waż się śpiewać w imieniu Italii! Nie zamierzamy dzielić twojej hańby”. Był to cios nokautujący. Tego samego dnia Pupo zrezygnował z wyjazdu do Moskwy.

„Pupo” to po włosku „chłopiec”, choć sędzę, że polskie skojarzenia z pseudonimem piosenkarza znacznie lepiej oddają jego artystyczne emploi. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

POLSKO, OGARNIJ SIĘ

Teraz chwila zadumy nad poświęceniem, którego dokonuje aktorka Helena Englert, grając w rodzimych produkcjach. – Jest mi trudno powiedzieć, że mi się nie podoba, bo wybrałam pracę w tym kraju mimo to, że mieszkalam przez chwilę za granicą, więc myślę, że powiedzenie „nie, nie podoba mi się Polska, nienawidzę jej” byłoby niesprawiedliwe wobec moich odbiorców. Aczkolwiek, zwłaszcza ostatnio,



FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/ODPYN.EAST NEWS

kiedy znalazłam się troszkę bardziej w przestrzeni publicznej, coraz trudniej mi ją lubić – stwierdziła gwiazda w programie Kuby Wojewódzkiego. Pytana o niezbyt pochlebne opinie dotyczące serialu, który obecnie promuje, Englert odpowiedziała niezbyt pochlebną opinią na temat polskiej widowni. – Ja uważam, że wydarzyła się taka rzecz, której się trochę baliśmy, czyli że polski widz ma problem z przeliterowaniem słowa „gatunek”. Rozpatrywanie tego w kategoriach, czy coś jest realistyczne czy nie, nie ma najmniejszego sensu – wska-

zała. – To mają być stereotypy. To mają być postaci zapożyczone z gatunkowych seriali amerykańskich – z „Plotkary” i tego typu produkcji. To ma być przekolorowane i przestylizowane. To jest tiktokowy serial – podsumowała aktorka. Czego nie rozumiecie?

KAROLINA Z BIAŁEGOSTOKU

O krok dalej poszła białostocka gwiazda, Caroline Derpienski, która zamiast narzekać, po prostu opuściła podlaski zaścianek (dla jasności, to ironia; Podlasie i jego cudna kultura zajmują w sercu autorki rubryki poczesne miejscce) i ruszyła na podbój Ju Es Ej. Dziś jej głównym osiągnięciem jest to, że na Instagramie ma 10 mln obserwatorów. Nasza Caroline przyjechała na kilka chwil do Polski i chętnie pozuje na ściankach, udzielając pouczających wywiadów. – Kiedy skończyłam wszystkie szkoły w Polsce, wyjechałam do Stanów i tam zostałam na zawsze. Udało mi się. Jestem szczęśliwa z tego, jak moja kariera się potoczyła, jak cudownych mam tam ludzi, piękne nieruchomości, pieska i świetne zarobki – poinformowała. Modelka zaznaczyła, że ma amerykańskie obywatelstwo, a jej ojciec jest Amerykaninem. Odniosła się do zarzutów, że nie używa polskiej wersji swojego nazwiska. – Wiele osób mi zarzuca, że nie używam swojego imienia i nazwiska z polskiego paszportu. Po raz ostatni to powtórzę. CAROLINE MARIA DERPIENSKI to moje pełne imiona i nazwisko z paszportu amerykańskiego, którym jedynie się posługuję, więc czemu miałabym udawać dziecko, Karolinę z dokumentów polskich, kiedy ona dawno już „umarła”? Przeniosłam całą swoją działalność cztery lata temu do Stanów, dlatego Polska nie była mi bliska. Nie wracam nigdy do Polski na stałe, jedynie mogę odwiedzić ten kraj – wyjaśniła. Na koniec 22-latkę wbiła szpilę krytykom. – A zazdrość niektórych osób, zwłaszcza przyjaciół jednej kobiety, jest dla mnie przerażająca, ponieważ moim zdaniem ich nawet nie stać na bilet do Stanów. Humorystyczny akcent na koniec, jak to

ja – podsumowała z uśmiechem. No boki zrywać, Karolino z Białegostoku.

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

Powodu do śmiechu nie daje za to wywiad byłej dziennikarki TVN, Anny Wendzikowskiej, w którym kolejny raz wróciła do tematu mobbingu w stacji. Przypomnijmy, że Wendzikowska w atmosferze skandalu odeszła z ubiegłym roku z pracy właśnie z powodu – jak przekonywała – stosowanego wobec niej mobbingu. – To były takie sytuacje [...], ma być emisja wywiadu tego dnia, jest to ze wszystkimi omówione, dystrybutor, dzięki któremu zrobiłam tę rozmowę, potrzebuje tego dnia, no bo tego dnia film wychodzi i producentka tego wywiadu nie puszcza i potem mówi: „Wiesz co, bo ja zapomniałam, nie przypomniałaś mi, to pójdzie w następnym tygodniu” i dzwoni do dystrybutora i mówi: „Jedyną gwarancją emocji we właściwym czasie jest to, żeby to przechodziło przeze mnie. Nie, proszę się nie kontaktować z Anią, tylko ze mną bezpośrednio”. No i potem robi to już ktoś inny. I takich działań jest ileś tam, w wyniku których ja przestaję mieć powoli pracę, mimo że nikt mnie nie zwalnia – opowiada dziennikarka w nowym podcaście Żurnalisty. Dalej wskazuje, że niektórzy nie wytrzymali złego traktowania w pracy. – Ja nie byłam jedyna, dlatego też głośno o tym powiedziałam, bo takich sytuacji było dużo. Było i parę procesów, tam były osoby, które wyładowały w psychiatryku na psychotropach, i naprawdę ludzie, którzy w trudnej sytuacji byli, dużo trudniejszej niż ja, bo ich nikt nie chciał wysłuchać – zarzuca Anna Wendzikowska. – Doszłam już do takiego etapu, że ja miałam stałą pensję i nawet, jak oni mi tej pracy do zrobienia nie dawali, to ja mogłam mieć to w nosie, bo ja dostawałam stałe pieniądze i nawet mniej pracowałam. I miałam przez jakiś czas taki okres, że nie będę zwracała uwagi na to, co się dzieje [...]. I tak to działało przez jakiś czas. Tylko w pewnym momencie zobaczyłam, że są w tym też inni ludzie – zaznacza prezenterka. Będzie refleksja na Wiertnicznej? ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, najwidoczniej to uciążliwe marudzenie o reparacjach wojennych, jakie uciemiężony naród niemiecki miałby wypłacić wąsatym Januszom, nie wystarczy ważnym organom w tym kraju i musimy przeżyć wściekłość na gruncie rywalizacji sportowej.

Otóż, jak może do Was już dotarło, w czerwcu na Stadionie Narodowym (!) odbędzie się mecz piłkarski (!!), w którym Polska zagra z Niemcami (!!!). W dodatku PZPN zapłacił Niemcom parę milionów złotych, żeby ci przyjechali i zgodzili się rozegrać ten mecz xD. No ale nic dziwnego, kto by do tego kraju chciał jeździć za darmo i jeszcze ganiać tu za piłką.

W każdym razie widzimy już tu i ówdzie pobrzmiewającą ekscytację, Nowy z Tarnowa na dzwonek telefonu ustawił sobie „Rotę” i codziennie czyta w przerwach „Krzyżaków”, a do swojego tradycyjnego ołtarzyka ze świętymi obrazkami z Kaczafim dołożył najpierw zdjęcie Lewandowskiego, ale potem się rozmyślił i wymienił go na Szczęsnego.

Zastanawiamy się, kiedy to szaleństwo się skończy, przestaniemy gadać o reparacjach, opowiemy się po stronie prawdy historycznej i przyznamy, jak to naprawdę było, a w meczach piłkarskich przestaniemy się głupio stawiać i wrócimy do tradycyjnego przegrywania, iż – tak tylko przypomnimy narodowym triumfalistom – z Niemcami wygraliśmy do tej pory tylko raz.

Obczajcie, iż mądre władze postępowej Walonii w Belgii nałożyły na węsnych Johanów chcących grillować specjalny podatek? xD I jeśli jakiś mięsożerny, niepostępowy i wysokoemisyjny Walon zechce odpalić sobie grilla i smażyć karkówkę, to musi zapłacić za tę – z naszego obiektywnego punktu widzenia wątpliwą – przyjemność aż 20 euro.

Ho to widać... Tutek... Matko 4 czerwca...
droga na Ostrołękę...



No to teraz sobie wyobraźcie, jaki kwik powstałby w tym kraju, gdyby np. oświecone władze miejskie któregoś z wielkich ośrodków postanowiły analogicznym podatkiem obłożyć wszystkich Januszów, którzy, jak wiemy z podań, oblegają wszystkie place, skwery, ulice, mosty, bulwary i podwórza w celu grillowania kawałków osoboświni?

Przecież tu by się zaraz podniósł wrzask, że to odbieranie wolności, że podatki mają być niskie i proste, a tu sytuacja jest właśnie prosta – rozpalasz grilla, to płacisz i bez dyskusji.

Skoro podatku nie ma, to postanowiliśmy, iż zmienimy nieco kulturę grillowania w tym kraju, iż w końcu od tego nas macie – od prowadzenia szeroko zakrojonych działań edukacyjnych na rzecz postępu i rozwoju.

Dlatego też zaprosiliśmy nasz team w korpo na wspólne grillowanie z użyciem grilla elektrycznego niskoemisyjnego, na którym znalazły się tofu, szparagi, bakłażan, a nawet specjalnie spreparowane kielki sushi.

Wszystko poszłoby dobrze, ale niestety Nowy z Tarnowa wydał nam kulturową wojnę i na tego samego grilla położył swoją kaszankę i inne obrzydliwości, na które normalna osoba nawet by nie spojrzała.

Mimo wszystko ułożył je na naszym elektrycznym grillu, więc myśleliśmy, iż chociaż tu mamy niewielki progresik w zakresie proekologicznej postawy, ale nie – za rozpalenie zwykłego grilla na balkonie są mandaty, a Nowy po prostu się bał, więc niby zrobił dobrze, ale z motywacji zasługującej na krytykę, więc chyba jednak źle. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Takie tam blebleble

Waldek, na jakim my jesteśmy teraz etapie w sprawie tego zboża? Bo nie wiem, co mam dziennikarzom mówić.

Czekaj, Piotrek... Muszę pomyśleć... Dzisiaj co jest? Wtorek?

Tak.

To wczoraj coś znowu podpisywałem, chyba trzecie... nie, moment... Czwarte może rozporządzenie? No pogubiłem się.

Dobra, nieważne które. Ale co w nim było?

No właśnie też nie mogę skojarzyć. Niech pomyślę. Podaj no mi ten notes, jak sobie rozruszuję, to mi łatwiej będzie. Dzięki. No więc najpierw

zakazałem, potem zezwoliłem, ale tylko na wjazd, potem zezwoliłem, ale... No nie, pomierdało mi się już całkiem.

Dobra, ja na razie polecę standardowym przekazem, że pomagamy Ukrainie, ale polscy rolnicy też są ważni, takie tam blebleble, a ty sprawdź i mi napisz. Tylko że u mnie to pani Bożenka ogarnia, a ona akurat jest na urlopie... ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Hipokryci świętują pierwszą Konstytucję, a łamią obecną”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO, na Twitterze, z okazji Święta Narodowego Trzeciego Maja

Zmiany, zmiany, zmiany. Solidarna Polska zmieniła nazwę na Suwerenna Polska. Co ma poważne skutki wizerunkowe. Na przykład: używany przez nas dotąd skrót SolPol kojarzył się z branżą spożywczą. A nowy – SuwPol – raczej będzie kojarzył się z przemysłem ciężkim.

Wpodręcznikach do marketingu przeczytacie, że kiedy mniejszy gracz na rynku próbuje zagarnąć jakąś cenną niszę dla siebie (tu: suwerenność), to lider rynku musi zareagować, by atakowaną pozycję utrzymać. Poważnie się więc zastanawiamy – może PiS będzie się teraz rozwijać jako „Polska i Suwerenność”?

Teraz na poważnie. Po konwencji zmieniającej SolPol na SuwPol w niektórych kręgach PiS rozległ się jęk zawodu. Bo przed imprezą chodziły pogłoski, że Zbyszek zmieni nie tylko nazwę partii, lecz także program. I ogłosi, że jego partia opowiada się za polexitem. Zbyszek się jednak do tego nie posunął. I to właśnie wywołało zawód w PiS. Liczono bowiem na to, że na tle Zbyszka PiS będzie mógł zaprezentować się jako partia krytyczna wobec instytucji, ale generalnie pronunijna. Miarą pronunijności miało być zerwanie koalicji ze Zbyszkim i ogłoszenie samodzielnego startu w wyborach.

Na tym nie koniec. Plan był taki, że po rozwodzie PiS ogłosi, iż z braku większości sejmowej należy dokonać samorozwiązania Sejmu i ogłosić wybory przedterminowe. W pierwszym możliwym terminie, czyli we wrześniu. Upieczono by dwie pieczenie na jednym ogniu: wyautowano by uciążliwego partnera i jednocześnie dano opozycji szansę na jeszcze bardziej zacięte nawalanie się nawzajem. Ale cóż. Wszystko winą Zbyszka.

Jedne sojusze trzeszczą, inne rozkwitają. Na przykład sojusz świnek z kurkami. Wymyślił to Piotr Zgorzelski z Peezlu, reklamując zalety sojuszu zielonych braci i Szymona Płaczliwego Hołowni. Nie żartujemy. Oto dosłowny cytat z rozmowy u Rymana: „W ten projekt jajka na bekonie najbardziej zaangażowała się świnka, a trochę mniej kurka”. Wszystko jasne, wiadomo, gdzie

w tandemie PSL-Polska 2050 są świnki, a gdzie kurki. Wystarczy sobie przypomnieć, które z ugrupowań specjalizuje się w okupowaniu koryta.

Kwestią otwartą pozostaje, jak nazwać ten cały sojusz. Polskie Stronnictwo 2050? Koalicja Polska 2050? Szymosiniaki Ludowe? Ech, najprościej jednak będzie po linii zwierzęcej. Był przed wojną Chjeno-Piast, teraz może być Świnio-Kur.

dwaj panowie g



Tymczasem w najsroźszej Eine Totalopposition. Donald Pomidor z okazji majówki wstrzymał swe niemrawe tournée po Polsce, co dało nam czas na analizę jego kwietniowych osiągnięć. Możemy się więc skupić na wiekopomnych zdaniach: „Kiedy dojdziemy do władzy, żłobek powstanie w każdej gminie. To jest z mojej strony zobowiązanie”. Słowa te padły w Kleosinie na Podlasiu. Niestety, na zwykłym wiecu, a nie na spotkaniu w astrobazie.

Już wyjaśniamy, bo nie wszyscy pamiętają (my pamiętamy wszystko, jak Jarosław Kaczyński). „Premier Tusk sięgnął gwiazd. Astrobazy to nowe orliki” – pisał „Dziennik”. „Premier buduje kosmiczne orliki” – zachwycała się „Rzepa”. „Panie Premierze, chwała

Panu za inicjatywę budowy »naukowych orlików«” – wzruszała się „Polityka”. Wszystko to w roku 2011, kiedy Donald ogłosił, że po piłkarskich orlikach przyszedł czas na astrobazę w każdej gminie. Domyślcie się, co z tego wyszło.

Podsumowując: mamy nadzieję, że w minioną majówkę wszyscy tłumnie się bawili w tysiącach astrobaz, na chwałę nauki polskiej oraz Donalda z Sopotu. Żadnych wymówek nie przyjmujemy. To przecież szczyt chamstwa sugerować, że pan Donald nie dotrzymuje obietnic. Przy okazji: na wypadek, gdyby, nie daj Boże, PeŁo wygrała wybory, mamy gotową odpowiedź na pytanie „Panie premierze, no to gdzie są te żłobki?”. Brzmi ona: „Tam, gdzie astrobazy”. Tak, oczywiście, kiepski żart.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wiadomo, że nawet jeśli Eine Totalopposition wygra wybory, to nie Donald będzie premierem.

Ale skoro już o Pomidorze z Sopotu – mało kto zauważył, że Donald objeżdża Polskę z niebieską tęczką w dłoni. Opowiada ludziskom, że w tej teczce ma wunderwaffe – demaskatorskie kwity o tym, jak źle mają Polacy za czasów PiS. Jako że nie wszyscy pamiętają (my pamiętamy wszystko, jak Jarosław Kaczyński), przypominamy, że już kiedyś jeden gość z tęczką pełną kompromatów próbował podbić serca Polaków. Nazywał się Stan Tymiński, a było to w roku

1990. Stan w wyborach prezydenckich zdobył najpierw 23,1, a potem (II tura) 25,7 proc. głosów. Szczerze? Potęgę niebieskiej teczki Donalda obliczamy na podobny rezultat.

Wracając do zmian na politycznej mapie: do salonu wniesiono nową kanapę. Kanapa nazywa się Partia Przyszłość. Partia jest nowa, ale stara, gdyż jako Przyszłość 5.0 została wpisana do rejestru już w styczniu 2021 r. No i jej twarze też okazują się niezbyt nowe, bo znane wcześniej z PiS. Nazwiska nieważne, ważne coś innego: sądząc z lektury programu, jest to taka lepsza wersja Partii Republikanie. Dlaczego lepsza? Bo bez miglanców, po których jadą ostatnio media za różne grzeszki. Czyżby szykowała się podmiata przystawki? W końcu ktoś musi obstawiać w Zjednoczonej Prawicy skrzydło liberalne.

Ciekawa rzecz. W e-mailu, który zapraszał nas na inaugurację działania nowej partii jak byk było napisane: „Wraz z naszą liderką ruszymy w Polskę, aby budować nową wspólnotę wolności”. Tyle że i przed imprezą, i po niej nie wiadomo, kto miałby być tą liderką. Chyba że chodziło o przemawiającą na inauguracji Danutę Zduńczyk ze Stowarzyszenia Samotni Rodzice. Podejrzewamy więc literówkę.

Członków i liderów nowego ugrupowania ostrzegamy przed jajcarzami, którzy natychmiast się uaktywnili. W efekcie wujek Google wyrzuca już w odpowiedzi na hasło „Partia Przyszłość” link do strony dowcipnisiów partiprzyszlosci.space. A tam czysty kabaret: „Zmieniamy reguły dla życia, a nie życia dla reguł [...] Aby zacząć tworzyć przyszłość, trzeba się na niej skupić bardziej niż na przeszłości”. I tak dalej. Informujemy więc Partię Przyszłość, że nad pozycjonowaniem właściwej strony, to znaczy przyszlosc.org.pl, trzeba jeszcze popracować. Tylko czy warto?

Zkultury. Jak wiadomo, Agnieszka Holland chciała jak najdłużej w tajemnicy utrzymać realizację swojego filmu o strasznych Polakach i dobrych uchodźcach. Sprawa się rypla,

gdy jeden z panów G. ujawnił, że prace nad filmem idą pełną parą. Jednak podstawową przyczyną utrzymywania w tajemnicy produkcji nie było to, że znamienita reżyserka bała się ataku mediów konserwatywnych. Holland ma bowiem te media w głębokim poważaniu. Chodziło o pieniądze. Bo chociaż o rzekomych zbrodniach PiS na granicy Holland opowiada za kasę wyszarpaną od Czechów, to na kolejny film chciała chapnąć z rodzimego Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Drobne 5 mln. Cóż, klan Hollandów w najbliższym czasie będzie musiał jednak żyć bez pieniędzy polskiego podatnika.

Ateraz szczegóły. Otóż w pierwszej kolejności wicepremier Piotr Gliński odmówił dofinansowania festiwalu Kino na Granicy. A to impreza nieledwie rodzinna klanu Agnieszki Holland, która odbywa się jednocześnie w polskim i czeskim Cieszynie. Mało tego, gdy do wicepremiera doszły plotki o możliwych pięciu bańkach na kolejny film Holland, dał jednoznacznie do zrozumienia, że po jego trupie. I dziwnym trafem jesteśmy przekonani, że wicepremier będzie się cieszył jeszcze długimi latami życia. Na koniec jeszcze dodamy, że ten kolejny film Holland ma być o Franzu Kafce. Cenimy, ale nie rozumiemy, czemu za pieniądze polskiego podatnika ma być promowany gość piszący po niemiecku.

Na koniec o szorstkiej przyjaźni. Iskrzy na linii Pałac – Gmach. Znaczą między prezydentem Andrzejem Sebastianem a szefem MSZ, zwanym pieśzcotliwie krokodylem. Zrazu poszło o nominację ambasadorską w jednym z krajów nordyckich, dokąd jeden z wiceministrów chce posłać swojego znajomego (niektórzy twierdzą – pociotka). Osoba głowy państwa dała jednak do zrozumienia, że nie zaakceptuje kandydata o nikłym doświadczeniu. Spór usiłowano rozwiązać w święto Konstytucji 3 maja. Nie rozwiązano. Co ciekawe, w Gmachu uważa się, że bruździ Marcin Przydacz, który właśnie stamtąd przeszedł do Pałacu. Rozwiewamy plotki. Bruździ sama osoba głowy państwa. ©©





KRÓL KAROL III I KRÓLOWA KAMILA

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, w Wielkiej Brytanii trwały ostatnie próby przed sobotnią koronacją. Karol pełnił co prawda obowiązki monarchy od śmierci swojej matki Elżbiety II, czyli od ośmiu miesięcy, ale dopiero 6 maja na głowy króla i jego ukochanej Kamili miały zostać włożone warte kilkaset milionów funtów, bogato zdobione korony.

Czterdziesta tego typu ceremonia w opactwie westminsterskim – zgodnie z tradycją w tym właśnie miejscu odbywały się wszystkie koronacje od 1066 r. – była jednocześnie pierwszą taką uroczystością od siedmiu dekad (poprzednia odbyła się dokładnie 2 czerwca 1953 r.).

Światowe media zwracają uwagę, że 74-letni Karol doczekał się oficjalnej koronacji na króla Wielkiej Brytanii oraz innych królestw Wspólnoty Brytyjskiej w czasie, gdy po dawnym brytyjskim imperium praktycznie nie ma już śladu.

Widać to chociażby po liczbie gości. Do Londynu na koronację Karola zaproszono 2,2 tys. gości: polityków, innych monarchów oraz celebrytów. W 1953 r. lista zaproszonych na koronację Elżbiety II liczyła ponad 8 tys. nazwisk. Ostatnie sondaże opinii publicznej pokazują również, że król Karol III cieszy się sympatią znacząco mniejszej liczby poddanych niż jego zmarła matka. Elżbietę II lubiło 75 proc. Brytyjczyków, tymczasem Karola III sympatią darzy zaledwie 55 proc. ankietowanych. Z ostatniego sondażu National Centre for Social Research wynika, że poparcie dla monarchii spadło do najniższego poziomu od trzech dekad, a w poprawie wizerunku rodziny nowemu królowi z pewnością nie pomagają takie postacie jak księżęta Andrzej, Harry czy księżna Meghan. **(jap)** ©©

FOT. ROTA / HUGO BURMANO / CAMERA PRESS / FORUM

Eurowywłaszczenie



Tomasz Cukiernik

Utopijny plan Unii Europejskiej doprowadzi do tego, że spora część Polaków może utracić swoje domy



Unijny pakiet energetyczno-klimatyczny „3 x 20” miał trzy podstawowe założenia: do 2020 r. Unia Europejska miała zredukować o 20 proc. emisję gazów cieplarnianych w stosunku do poziomu emisji z 1990 r., zwiększyć udział zużycia energii pochodzącej z odnawialnych źródeł energii do 20 proc. oraz o 20 proc. zwiększyć efektywność energetyczną. Dla eurokratów to za mało. W grudniu 2020 r. Unia Europejska przyjęła radykalną strategię „Fit for 55”, którą poparł rząd Mateusza Morawieckiego. Zgodnie z nią do 2030 r. emisja dwutlenku węgla ma zostać zredukowana o 55 proc. (zieloni ekstremiści chcieliby, by było to 65 proc.). Aby do tego doszło, już teraz Bruksela zaostrzyła bezpardonową walkę z wysokoemisyjnym przemysłem, niemal każdym rodzajem transportu (lądowym, powietrznym i morskim), rolnictwem oraz budownictwem.

DYREKTYWA BUDYNKOWA

W połowie marca Parlament Europejski przyjął nowelizację dyrektywy

w sprawie charakterystyki energetycznej budynków (EPBD), która jest częścią pakietu „Fit for 55”. Za nowym prawem głosowali m.in. polscy europosłowie: Magdalena Adamowicz, Radosław Sikorski, Sylwia Spurek, Robert Biedroń, Łukasz Kohut, Róża Gräfin von Thun und Hohenstein, Janina Ochojska, Marek Balt, Leszek Miller, Marek Belka i Włodzimierz Cimoszewicz (gdzie podziela się ich lewicowa wrażliwość wobec losu biednych?).

Z kolei w kwietniu Rada Unii Europejskiej przyjęła kluczowe akty prawne „Fit for 55”.

Zgodnie z dyrektywą EPBD wszystkie nowe budynki w Unii Europejskiej mają spełniać standard zeroemisyjności od 2028 r. (nowe budynki będące własnością instytucji publicznych – od 2026 r.). Co to znaczy? „Zeroemisyjność to neutralny ślad węglowy. W teorii jest możliwy do zrealizowania, ale wymaga sporych nakładów finansowych oraz dostępnej i taniej technologii – paneli fotowoltaicznych, pomp ciepła, rekuperacji ciepła z wentylacji pomieszczeń” –

tłumaczył w rozmowie z „Forum Polskiej Gospodarki” Marcin Walewski, ekspert Polskiego Związku Firm Deweloperskich. Według danych Ministerstwa Rozwoju zgodnie z obowiązującymi normami ok. 160 tys. domów wielorodzinnych i aż 4 mln jednorodzinnych w Polsce wymaga termomodernizacji.

Do 2050 r. wszystkie budynki w Unii Europejskiej mają być zeroemisyjne. Ile będzie nas to kosztowało? W raporcie Konfederacji Lewiatan „Efektywność energetyczna budynków – szanse i wyzwania dla polskich firm” czytamy, że „dostosowanie budynków do standardu bezemisyjnego wymagać będzie przeprowadzenia ok. 7,5 mln termomodernizacji, wymiany ok. 6,9 mln źródeł ciepła na urządzenia i instalacje bezemisyjne, takie jak pompy ciepła czy elektryczne grzejniki i maty grzewcze. Realizacja tych inwestycji pochłonie 1,54 bln zł do 2050 r.”. To ok. połowy rocznego PKB Polski, które to pieniądze trzeba de facto zmarnować, bo naprawdę nie potrzebujemy tych wydatków.



FOT. ADRIAN STOK

będzie groziła grzywna do 5 tys. zł. Będą też obowiązkowe okresowe (co dwa–pięć lat) kontrole systemów grzewczych.

NOWY EUROPODATEK

Za kilka lat nowe budynki będą musiały być wyposażone w instalacje fotowoltaiczne oraz w pompy ciepła i magazyny energii. Problem w tym, że ta sama UE, która zaplanowała już, ile to milionów pomp ciepła w którym roku zostanie zainstalowanych (plan Komisji Europejskiej REPowerEU zakłada instalację 30 mln pomp ciepła do 2030 r.), jednocześnie chce... ich zakazać. Komisja Środowiskowa Parlamentu Europejskiego zaproponowała bowiem, by już w latach 2026–2029 wprowadzono całkowity zakaz sprzedaży i wykorzystania gazów fluorowanych, które są używane w pompach ciepła jako czynnik chłodzący. – Za chwilę może zabraknąć rodzajów i źródeł paliwa – ostrzegł podczas konferencji prasowej w Sejmie poseł Michał Urbaniak z Konfederacji. Z kolei były poseł Jacek Wilk wyraził przypuszczenie, że z propozycji zakazu używania gazów fluorowanych cieszą się niemieckie firmy, gdyż „pewnie posiadają jakąś technologię, która będzie wychodziła naprzeciw wymianie tych gazów na jakieś inne, a dzięki temu zdobędą rynek i będą miały gigantyczne zyski”. Czy to rzeczywiście nie jest tak, że jedni lobbyści przekupili łapówkami czy innymi benefitami jednych eurokratów, by pompy ciepła były konieczne, a drudzy – by ich zakazano (przynajmniej w aktualnej technologii)? I tak korupcyjna europolityka zatacza się jak pijany od jednej ściany do drugiej.

To nie wszystko. Pojawi się też nowy unijny podatek. Im budynek będzie miał niższą klasę energetyczną, tym jego właściciel zapłaci wyższy haracz od emisji dwutlenku węgla. Otóż jedno z rozwiązań zawartych w pakiecie „Fit for 55” zakłada utworzenie systemu ETS2 z certyfikata-
mi zezwalającymi na emisję dwutlenku węgla. To uderzenie przede wszystkim w tych niepokornych, którzy dobrowolnie nie chcą marnować własnych pieniędzy na przeprowadzenie niepotrzebnego remontu swojego budynku, oraz w najbiedniejszych – których na to nie stać. Od 2027 r. trzeba będzie wykupywać certyfikaty w związku z ogrzewaniem budynków węglem, gazem czy olejem

opałowym (także przy użytkowaniu samochodów napędzanych benzyną lub dieslem). Prawdopodobnie podatek ten będzie doliczany do ceny węgla czy gazu, którymi ogrzewamy domy oraz mieszkania i szacunkowo będzie to kilkadziesiąt procent. Według danych Centralnej Emisyjności Budynków aktualnie 4,6 mln gospodarstw domowych w Polsce ogrzewanych jest węglem, a ponad 3,2 mln – gazem (łącznie to ponad połowa z ok. 14,9 mln gospodarstw domowych).

KTO STRACI?

Jaki będzie skutek tej polityki? – Jeżeli państwo wymusza na deweloperach, że muszą instalować fotowoltaikę, że muszą robić dodatkowe miejsca parkingowe dostosowane do samochodów elektrycznych, jeżeli muszą zmieniać sposób ocieplania budynków, windę na zupełnie nową, która spełnia różnego rodzaju wymogi, to to wszystko zwiększa koszty budynku. Te koszty są potem przerzucane na nabywców. Pierwszym bardzo ważnym skutkiem tej dyrektywy jest wzrost

**Pojawi się nowy podatek.
Im budynek będzie miał
niższą klasę energetyczną,
tym jego właściciel zapłaci
wyższy haracz**

kosztów budowy mieszkań – mówi Sławomir Mentzen, przedsiębiorca i prezes Nowej Nadziei.

Tak właśnie polski rząd „dba” o to, by Polacy mieli tańsze mieszkania – realizuje unijne dyrektywy, które mają dokładniej odwrotny skutek w postaci wzrostu cen mieszkań, które przez to staną się dla Polaków jeszcze mniej dostępne. Dzieje się to w sytuacji, kiedy drastycznie rosną koszty wszelkich form ogrzewania domów. A warto przypomnieć, że aktualne zaległości w opłaceniu czynszów w Polsce przekraczają 290 mln zł. Ludzi zwyczajnie nie stać na bieżące regulowanie opłat za mieszkanie, a gdzie dopiero kosztowne remonty i nowe podatki, które ubzdurali sobie urzędnicy w Brukseli. Wzrosną także ceny za wynajem mieszkań, bo skoro właściciel zostanie zmuszony do

Zgodnie z dyrektywą najgorsza klasa G (w skali od A do G) będzie dotyczyła 15 proc. budynków o najgorszej charakterystyce w zasobach państwa członkowskiego. Do 2030 r. Polska ma wytypować 15 proc. najbardziej emisyjnych już istniejących budynków, które mają być wyremontowane, aby stały się mniej emisyjne.

Również do 2030 r. wszystkie budynki mieszkalne powinny mieć klasę E, a klasę D – do 2033 r. Pozostałe budynki powinny uzyskać te same oceny efektywności energetycznej odpowiednio przed 2027 i 2030 r. Przechodzenie budynków do wyższej klasy energetycznej oznacza oczywiście kosztowne remonty. A obowiązkowe certyfikaty charakterystyki energetycznej, które weszły w życie 28 kwietnia, spowodują, że ich stan energetyczny rządzący będą mieli jak na dłoni. Każdy właściciel musi się z tego wypowiadać władzy (na razie w sytuacji budowy nowego domu, sprzedaży bądź wynajmu), podobnie jak co roku spowiada się z dochodów w zeznaniu podatkowym. Za brak świadectwa energetycznego

przeprowadzenia kosztownego remontu, to będzie chciał odzyskać te pieniądze w czynszu od najemców.

Obecnie większość mieszkań w Polsce nie spełnia nowych unijnych norm. Unia – co prawda – uchwaliła utworzenie Społecznego Funduszu Klimatycznego, który ma na celu udzielanie wsparcia finansowego gospodarstwom domowym i mikroprzedsiębiorstwom w kontekście unijnych działań klimatycznych, ale nie wiadomo, jak ma on działać. Za remonty prawdopodobnie będą musieli zapłacić właściciele budynków. Chyba że rząd utworzy jakiś specjalny fundusz, ale w tym wypadku też zapłacimy my jako podatnicy. Niemieckie Stowarzyszenie Haus & Grund już wyliczyło, że taka modernizacja będzie kosztowała od 15 tys. do 100 tys. euro. Za brak remontu, który nie jest nikomu potrzebny, dyrektywa przewiduje sankcje finansowe. Axel Gedaschko, prezes niemieckiego Centralnego Związku Gospodarki Mieszkaniowej, powiedział, że grozić będzie grzywna do 50 tys. euro. – Ta dyrektywa doprowadzi do tego, że ludzie będą tracić swoje nieruchomości, bo nie będzie ich stać na przeprowadzenie przymusowego remontu – uważa Mentzen, który właśnie dlatego dyrektywę tę nazwał „wywłaszczeniową”.

Co więcej, od 2030 r. ma zostać wprowadzony zakaz sprzedaży i wynajmu nieruchomości niespełniających wymogów klas energetycznych. A co, jeśli ludzi nie będzie stać na docieplenie ścian, wymianę

Niemieccy producenci pomp ciepła zarobią dzięki dążeniu Unii Europejskiej do zeroemisyjności budynków

dachu i okien, zainstalowanie fotowoltaiki, pomp ciepła i magazynów energii, a kredytu nie dostaną? Taki właściciel wpadnie w pułapkę bez wyjścia – będzie dostawał kary za brak remontu, a jednocześnie nie będzie mógł domu sprzedać (nawet na poczet tych kar!), bo nie spełnia norm. Nie wiadomo, czy w ogóle dalej będzie mógł mieszkać w swoim domu czy pójdzie pod most.

KTO NA TYM ZAROBI?

Kto stoi za tą katastrofalną utopią serwowaną nam przez eurokratów? Pamiętając nie tylko ostatnie afery korupcyjne w Komisji Europejskiej, Parlamencie Europejskim i Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej, możemy być pewni, że działania te z tzw. ochroną klimatu nie mają nic wspólnego, a chodzi wyłącznie o interesy. Tak jak w rozporządzeniu metanowym.

„Wbrew propagandowej narracji Unia Europejska nie jest klubem dżentelmenów, ale strukturą, w której ścierają się, często skrywane przed opinią publiczną,

gospodarcze i polityczne interesy. Zapewne są państwa, którym zależy na zachwianiu polskim górnictwem, ponieważ byłby to problem dla naszej gospodarki nabierającej coraz większego znaczenia w skali kontynentalnej i globalnej za sprawą naszej roli w ratowaniu Ukrainy. Trzeba to sobie jasno powiedzieć, że pośpiech i restrykcyjne normy emisji metanu mają niewiele wspólnego z troską o klimat” – powiedziała w rozmowie z portalem Wnp.pl Izabela Kloc, eurodeputowana PiS. „Na świecie jest kilka firm oferujących gotowe i bardzo kosztowne technologie umożliwiające spełnienie unijnych, wyśrubowanych norm. Liderem tej branży jest niemiecki koncern Dürr Megtec. Proszę to potraktować jako odpowiedź do pytania, na czyją korzyść działa ten niebyswały pośpiech i naciski, aby wdrożyć przepis antymetanowe” – dodała.

Niemieccy producenci pomp ciepła zarobią także dzięki dążeniu Unii Europejskiej do zeroemisyjności budynków. Ale nie tylko oni. Również branża budowlana, fotowoltaiczna, producenci okien i magazynów energii. Z dyrektywy w sprawie charakterystyki energetycznej budynków wynika, że już w 2020 r. Komisja Europejska w swojej strategii przewidziała, iż do 2030 r. w całej Unii konieczna będzie gruntowna renowacja ponad 35 mln budynków.

Poza lobbystami niemieckimi należałoby sprawdzić korupcyjne powiązania eurokratów z Chińczykami – bo to właśnie w Chinach produkuje się najwięcej części do odnawialnych źródeł energii.

Unijna rewolucja energetyczna – wbrew zdrowemu rozsądkowi i bez zwracania uwagi na ekonomiczne aspekty ubożającego społeczeństwa – szczególnie mocno dotknie Polaków. W przeciwieństwie do Polski klimat na Cyprze czy w Portugalii pozwala na niemontowanie systemów grzewczych w domach.

Jeszcze trwają przepychanki, jeszcze się kotłują i nie wszystko zostało dokładnie ustalone, ale nie ma się co łudzić, że unijny walec nas oszczędzi. Jak do tej pory polskie władze zgadzają się na wszystko, czego od nich żąda Bruksela, i straszą, że w przeciwnym wypadku czeka nas polexit. Przy tej skali ingerencji w nasze życie wyjście z Unii Europejskiej jest mimo wszystko tańszym i bardziej racjonalnym rozwiązaniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

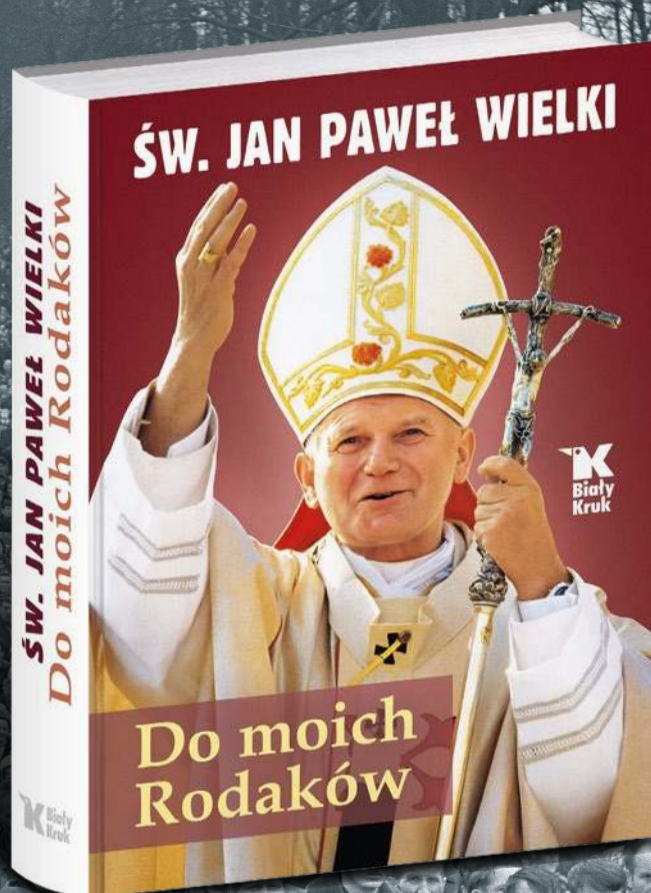
Unijne plany w sprawie budynków realizowane rękami polskich władz:

- **28 kwietnia 2023** – obowiązek posiadania świadectw energetycznych budynku
- **2024** – system podziału budynków na klasy energetyczne
- **2024–2027** – zakaz dotacji do kotłów na paliwa stałe
- **2025** – obowiązek budowy punktów ładowania samochodów elektrycznych w budynkach niemieszkalnych, które posiadają co najmniej 20 miejsc parkingowych
- **2026** – nowe budynki publiczne mają być zeroemisyjne
- **2026–2028** – zakaz instalacji kotłów węglowych, olejowych i gazowych w nowych budynkach
- **2027–2028** – wprowadzenie ETS2, czyli nowego unijnego podatku m.in. od emisji budynków
- **2027–2030** – obowiązkowe instalacje fotowoltaiczne na dachach budynków
- **2028** – wszystkie nowe budynki mają być zeroemisyjne
- **2028–2040** – zakaz instalacji kotłów węglowych, olejowych i gazowych w modernizowanych budynkach
- **2030** – zakaz sprzedaży i wynajmu nieruchomości niespełniających wymogów klas energetycznych
- **2032** – budynki mieszkalne poddawane gruntownemu remontowi mają stać się zeroemisyjne
- **2035–2040** – zakaz ogrzewania paliwami kopalnymi

NAJWIĘKSZY Z RODU POLAKÓW!

PREMIERA!

174 zdjęcia, 448 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa.



Św. Jan Paweł II, zwany Wielkim, był dumnym Polakiem bez jakiegokolwiek kompleksu niższości wobec innych narodów. Takiego zachowania uczył też nas – zarówno głoszonym słowem, jak i własną postawą, którą prezentował, nie popadając przy tym w pychę czy pogardę wobec innych. Postawę swą zaś wykształcił w sobie i opierał na umiłowaniu Ojczyzny, na gruntownej wiedzy historycznej i oczywiście na głębokiej wierze w Boga i szacunku wobec bliźnich. Miejsce Polski – państwa i narodu – w Europie widział jako równoprawne pośród innych. Wierzył, że jako kraj i naród, który oparł się niemieckiemu nazizmowi i sowieckiemu komunizmowi, wniesiemy do zjednoczonej Europy nasze głębokie przywiązanie do chrześcijaństwa, naszą tradycję, ukształ-

owaną przez wieki pobożność oraz opartą na wierze w Boga kulturę, wyróżniającą nas spośród innych nacji wielką niezależność ducha i umiłowanie wolności. Przestrzegał przy tym często przed myleniem wolności ze swawolą.

Od samego początku aż do ostatnich dni pontyfikatu kierował do nas, do swoich Rodaków, przesłania; książkę tę otwiera pierwszy list do Polaków z 23 października 1978 r., a zamyka datowany 1 kwietnia 2005 r. list z okazji 350. rocznicy cudownej obrony Klasztoru Jasnogórskiego. W książce znajdziemy łącznie blisko 90 wypowiedzi Ojca Świętego wygłoszonych do nas i o nas. Papież odpowiada również na najważniejsze dotyczące nas również dzisiaj problemy, utrapienia, zwątpienia i pokusy.

Dla czytelników tygodnika „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruc.pl i wykorzystaj kod rabatowy DORZECZY35

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 02 lub e-mail: handlowy@bialykruc.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

TOMASZ ROWIŃSKI: Czym właściwie jest ETS?

ZBIGNIEW KRYSIAK: To jest tzw. podatek od emisji CO₂. Przedsiębiorstwa, które produkują energię z węgla, z gazu i innych źródeł, mierzą wielkość emisji CO₂ i proporcjonalnie do tej emisji płacą podatek. Dzisiaj ten podatek wynosi ok. 100 euro za tonę wyemitowanego dwutlenku węgla. Były momenty, że podatek ten wynosił nawet ok. 300 euro za tonę wyemitowanego dwutlenku węgla. Silny wzrost tego podatku nastąpił na jesieni 2021 r., co spowodowało, że aż 60 proc. kosztów produkcji energii stanowiła właśnie ta danina. Między innymi właśnie z tego powodu wzrosły ceny energii. Teraz koszt tego podatku jest nieco niższy, ale cały czas kosztuje on o wiele więcej niż przed pandemią, kiedy jego cena utrzymywała się na poziomie 20–30 euro.

Jak działa taki podatek?

Z ekonomicznego punktu widzenia takie podatki ekologiczne powinny być ekwiwalentem szkód wyrządzanych środowisku. Czyli należałoby najpierw określić wartość powstałej szkody, a stawka podatku powinna odpowiadać wartości szkody. Niestety, w wypadku ETS takiego podejścia się nie stosuje, tylko mamy do czynienia z jakimś rodzaju „sufitologią”, którą wprowadziła Komisja Europejska i czemu przyklasnął rząd Platformy Obywatelskiej, na czele z ówczesną premier Kopacz. Ceny jednostek ETS mogą właściwie być obecnie ustalane bez odniesienia do szacowanej wartości szkód wyrządzanych środowisku.

Kiedy cena ETS poszła najbardziej w górę?

Silny skok ceny tego podatku nastąpił w październiku 2021 r. – czyli jeszcze przed rosyjską inwazją – gdy z poziomu ok. 30 euro powędrowała ona aż do poziomu ponad 100 euro. Później rosła jeszcze bardziej.

Czy wtedy wzrosła może gwałtownie emisja?

Oczywiście, że nie. Nie emitowaliśmy więcej.

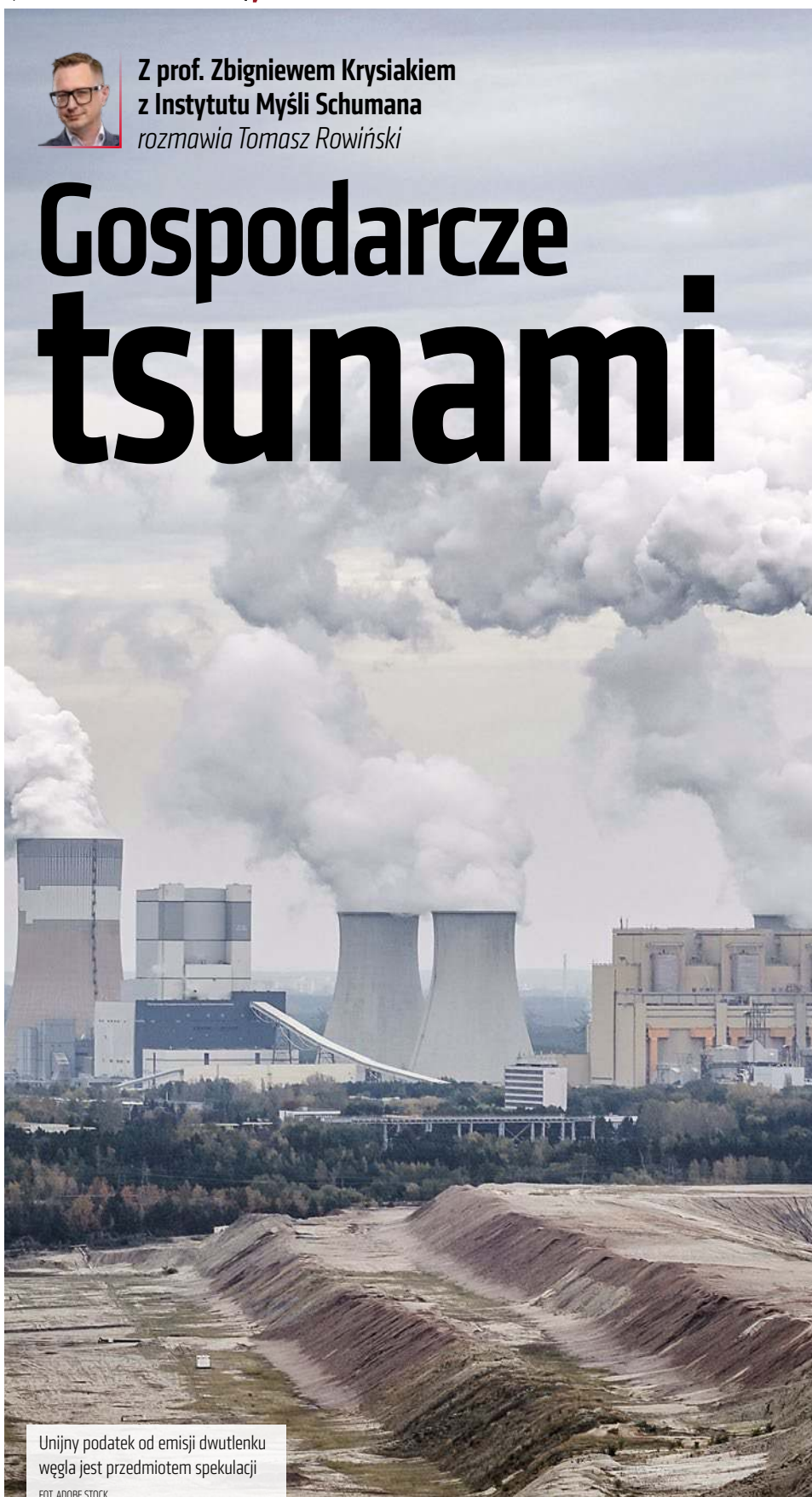
A zatem skąd taki wzrost ceny podatku?

Przyczyną tego było dopuszczenie różnych instytucji finansowych do tzw. gry rynkowej w ramach tego podatku. ETS, stając się instrumentem notowanym



Z prof. Zbigniewem Krysiakiem
z Instytutu Myśli Schumana
rozmawia Tomasz Rowiński

Gospodarcze tsunami



Unijny podatek od emisji dwutlenku węgla jest przedmiotem spekulacji

FOT. ADOBE STOCK



na giełdzie, jest przedmiotem zarabiania pieniędzy przez instytucje finansowe i inne, które nie są emitentami CO₂.

Można zatem powiedzieć, że ETS stał się przedmiotem spekulacji?

Tak, ten podatek jest przedmiotem spekulacji, ponieważ – jak wcześniej powiedziałem – nie ma on żadnego zasadniczego odniesienia do wyceny szkód wyrządzanych środowisku. Na przykład na giełdzie wartość akcji wynika z wyceny wartości firm, czyli ich zysków i siły ekonomicznej, prowadzonej przez inwestorów. W przypadku ETS ten proces pominięto. Po prostu dopuszczono spekulantów, w tym instytucje finansowe, do obrotu jednostkami ETS, które na tym zarabiają. Tacy spekulanci potrafią wyceniać instrumenty finansowe, takie jak kredyt czy depozyt, oraz inne tego rodzaju produkty, ale nie emisję CO₂, którego nie produkują, a który jest efektem ubocznym stosowania określonych surowców i technologii przemysłowych do produkcji energii.

Można to było inaczej rozwiązać?

W Stanach Zjednoczonych w rynku emisji CO₂ biorą udział ci, którzy są jego emitentami. Jeśli emitują CO₂ na skalę przemysłową, to umiem określić jego udział w kosztach oraz opłacalność emisji CO₂ przy produkcji energii dla takiej czy innej technologii. Krótko mówiąc – mogę określić, przy jakim poziomie podatku opłaca mi się jeszcze emitować CO₂. W takiej sytuacji ci, którzy emitują CO₂ powyżej dopuszczalnego poziomu, płacą za pozwolenia na emisję przekraczającą ustalony limit. Natomiast ci, którzy emitują mniej – poniżej limitu – zyskują, ponieważ sprzedają niewykorzystane limity. Oznacza to, że w grze pomiędzy jednymi i drugimi pozwolenia – tzw. certyfikaty – są niejako bonem transakcyjnym. Ci, którzy emitują CO₂ ponad limit, mogą realnie określić, czy trwanie przy bardziej emisyjnych technologiach im się opłaca. Oczywiście, gdy emisja znacznie przekracza limit, przestaje być opłacalna dla przedsiębiorstw, co skłania je do inwestowania w nowsze technologie. W tym wypadku limitem powinien być koszt szkód wyrządzanych środowisku, a nie jakiś przypadkowy i spekulacyjny poziom wyznaczany przez Komisję Europejską i instytucje finansowe.

A co z samymi limitami?

Ustalanie limitów jest kolejnym problemem. Ograniczenia te nie wynikają z gry rynkowej między producentami CO₂, ale są „przypadkowo” ustalone przez kierownictwo UE. W każdej chwili mogą one ogłosić nowy limit, co automatycznie podniesie ceny. To powoduje, że wiele firm w Europie, choć inwestuje w niskoemisyjne technologie, musi płacić duże podatki, ponieważ limity emisji są ciągle podnoszone, mimo że koszty dla środowiska są stałe lub nawet się zmniejszają.

Co oznaczać będzie wprowadzenie drugiej fazy ETS?

Pierwsza faza ETS polegała na obciążeniu podatkami firm emitujących CO₂ w procesie produkcji energii. Druga faza, która mam nadzieję nie wejdzie w życie, dotyczyłaby emisji przez firmy transportowe i budowlane oraz gospodarstwa domowe. Opodatkowanie obejmowałoby nie tylko transport towarowy, lecz także samochody osobowe. To znacznie zwiększyłoby koszty dla gospodarki. Wiele przedsiębiorstw musiałoby zbankrutować. To działanie stoi w opozycji do logicznego systemu redukcji podatków i wprowadzenia subsydiów, który działa w Stanach Zjednoczonych. Tam wprowadzono prawo mające na celu redukcję inflacji,

W Ameryce stosuje się zamiast obciążeń ulgi podatkowe oraz wsparcie rządu poprzez dostarczanie różnych bezzwrotnych funduszy.

Jak to wygląda?

Jeśli ktoś wprowadza technologię niskoemisyjną, to otrzymuje ulgę podatkową, a w niektórych przypadkach dodatkowe subsydia od państwa. Prawo mające na celu redukcję inflacji to bardzo rozbudowany dokument, który precyzyjnie określa, kto, ile i za co ma płacić. Pokazuje też uzasadnienia. To przykład wprowadzania zdrowych mechanizmów ekonomicznych, które dają impuls rozwojowy. W ten sposób w Stanach Zjednoczonych stworzono mechanizm zdrowej transformacji energetycznej.

A co z ETS?

Ten podatek w takiej formule nie ma sensu i trzeba go zlikwidować albo zaproponować taką formułę i mechanizmy, aby stymulował, a nie zniechęcał do wdrażania tańszych technologii i źródeł energii.

Jeśli ETS2 zostanie wprowadzony, to jakie będzie to miało skutki dla Polski?

Gdyby ETS2 został wprowadzony, wywołałoby to gospodarcze tsunami. Eksperci szacują, że koszt tego systemu tylko

nymi, co wymagać będzie wydatków na nową infrastrukturę, taką jak okablowanie i budowanie stacji ładowania. W tej chwili tankowanie benzyny trwa minutę, podczas gdy ładowanie osobowego samochodu elektrycznego będzie trwało godzinę, a ciężarowych o wiele dłużej, pomijając obecnie barierę technologiczną produkcji ciężarowych samochodów o dużej mocy. To całe szaleństwo dzieje się pod presją Niemiec, które obecnie w Europie są monopolistami w dziedzinie elektromobilności.

Jakie problemy widać jeszcze na horyzoncie?

Jeśli popatrzymy na światowe zasoby litu jako rzadkiego pierwiastka, to jest ich stosunkowo niewiele. Źródłem litu, na które liczyli Niemcy, była Ukraina. Także Rosjanie i Chińczycy posiadają znaczne ilości tego pierwiastka, ale Chińczycy zostawiają to, co mają, dla siebie, gdyż predestynują do roli giganta w dziedzinie elektromobilności. W innych częściach świata też istnieją pewne zasoby, ale również są ograniczone.

Niemcy się przeliczyli. Pamiętamy, jak na początku wojny mówili, że Rosja zwycięży w kilka dni i nie ma co pomagać Ukraini, gdyż – jak mówią pewne hipotezy – Berlin miał ustaloną strategię z Moskwą w sprawie dostępu do tych złóż litu na Ukrainie.

Są też problemy bardziej praktyczne.

Te baterie palą się w niebezpieczny sposób. Pamiętamy niedawny przypadek, gdy straż pożarna w Polsce przez 24 godziny gasiła samochód elektryczny. Baterie litowe są trudne do ugaszenia. Dzisiaj w Europie w różnych miejscach na promy nie mogą wjeżdżać samochody elektryczne, dotyczy to też podziemnych parkingów. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w bardzo długim tunelu i zapaliłby się taki samochód. Od razu mielibyśmy do czynienia z łańcuchową eksplozją wszystkich pojazdów z przodu i z tyłu.

Dlaczego gaszenie baterii samochodowych jest tak trudne?

Ponieważ temperatura litu, kiedy on już zapłonie, jest tak duża, że nie sposób go ugasić jakąkolwiek gaśnicą, szczególnie taką małą, którą wozimy w samochodzie.

Szansą wydają się samochody na wodór, ale na to jeszcze trzeba poczekać,

ETS2 doprowadziłby polską gospodarkę do paraliżu działalności operacyjnej i biznesowej, gdyż równolegle chce się wprowadzać także elektromobilność

która jest wynikiem wzrostu cen energii, poprzez obniżkę podatków i subsydia dla podmiotów oraz szeroko pojętej sfery społeczno-gospodarczej, które obniżają emisję CO₂ w drodze stosowania nowych oraz tańszych technologii i źródeł energii. Amerykanie nie nakładają kar administracyjnych w postaci podatku takiego jak ETS, ponieważ podatek ten obciąża koszty. Jeśli zakład energetyczny ma większe koszty, to generuje mniej kapitału, który mógłby zainwestować w technologie niskoemisyjne. Działanie, które stosuje UE, jest nielogiczne oraz niemotywuujące. Prowadzi jednocześnie do pogarszania efektywności całej gospodarki UE.

w najbliższych kilku latach wyniosłby ok. biliona złotych, co stanowiłoby jedną trzecią rocznego PKB naszego kraju, który wynosi ok. 3 bln zł (czyli ok. 3 tys. mld zł). To są niewyobrażalne pieniądze, jeśli weźmiemy pod uwagę, że nasz dług publiczny wynosi ok. 1,4 bln. Skumulowanie takich kapitałów jest obecnie niemożliwe, biorąc pod uwagę zdolność naszej gospodarki. Drugim problemem jest to, że ETS2 doprowadziłby polską gospodarkę do paraliżu działalności operacyjnej i biznesowej, gdyż równolegle chce się wprowadzać także elektromobilność. Elektromobilność oznacza usuwanie z rynku i ulic wszystkich samochodów poza pojazdami elektrycz-

ETSC to narzędzie służące utrzymaniu przez Niemców dominacji ekonomicznej, a przez to politycznej.

Niszczy ono wolność wyboru

gdyż jest cała masa problemów technicznych, których nie rozwiąże się w przeciągu kilku lat, aby uruchomić produkcję takich samochodów na dużą skalę.

Zatem ETS ma przede wszystkim cele polityczne?

To narzędzie służące utrzymaniu przez Niemców dominacji ekonomicznej, a przez to politycznej. Narzędzie, które niszczy wolność wyboru gospodarczego. Ekonomia odgórnie planowana, a tym jest ETS, będzie działać źle, co udowodnił Związek Sowiecki, w którym gospodarką właśnie administrowano. To, co robi KE pod dyktando Niemiec, to powrót do systemu centralnego sterowania, w którym jedynym korzystającym mają być Niemcy. Taka polityka spowoduje, że z powodu kosztów emisji dojdzie do paraliżu i bankructw w wielu sektorach gospodarki w całej Europie. Dlatego słuszne jest działanie Polski w obszarze budowy elektrowni jądrowych, szczególnie tzw. małych elektrowni modułowych, z których każda może obsługiwać np. jedno 200-tysięczne miasto. Atom to niezależność od szaleństwa systemu ETS. Chociaż można sobie w tej sytuacji wyobrazić, że w przypadku dominacji w UE i Niemczech grup lewicowych i nieliberalnych dojdzie w przyszłości pod różnymi ideologicznymi pretekstami do obłożenia podatkami także energii jądrowej.

W jaki sposób Niemcy zamierzają zarobić naszym kosztem?

Niemcy chcą zalać całą Europę swoimi samochodami elektrycznymi. Oni do tej pory zainwestowali najwięcej po Chinach w przemysł elektromobilny. Francuzi są daleko z tyłu, nawet Amerykanie włożyli w to mniej funduszy. Sądzę, że możliwości tego modelu rozwojowo-biznesowego wyczerpią się po 10–20 latach, kiedy społeczeństwa odczują jego konsekwencje. Jednak przez ten okres Berlin ma szansę zarobić potężne pieniądze kosztem innych.

Tak zarabiali już w przeszłości – na wojnie, na przymusowej pracy ludzi oraz grabieży dóbr kultury i aktywów gospodarczych Polski na ok. 6 bln zł (czyli ok. 6 tys. mld zł), co stanowi dwa lata obecnego polskiego PKB. Obecne działania Niemców prowadzą do wzrostu cen CO₂ w ramach ETS, co ma wytwarzać presję do wprowadzania elektromobilności.

Dlaczego aż tak im na tym ma zależeć?

Dlatego, że chcą – już są takie plany – by pieniądze z ETS wpływały do kasy unijnej i nie wracały do budżetów państw. Unia Europejska nie posiada kasy, co oznacza, że np. środki z Funduszu Odbudowy nie mają pokrycia. UE jest w pewnym sensie bankrutem. Stąd także pomysł, by scentralizować wpływy z podatku za tzw. emisję CO₂. Gdy zostaną one scentralizowane, to każdy kraj będzie musiał płacić, ale w ramach redystrybucji środki może będą otrzymywać tylko Niemcy pod pozorem, że one produkują samochody elektryczne, i te kraje, które zgodzą się tworzyć koalicję zamykającą usta buntującym się narodom. To jest właśnie wizja Europy, jaką mają liderzy w Niemczech, a także establishment rządzący obecnie Francją. Francja może zmienić swoje stanowisko, jeśli do władzy doszłyby grupy na rzecz Europy Schumana. Ale w Niemczech nic się nie zmienia. Jest jedna sprawa, w której Niemcy się zgadzają i nie będą się różnić niezależnie od tego, kto będzie rządził – to jest właśnie sprawa ich dominacji i siły gospodarczej. Żadne ugrupowanie partyjne z tego kierunku nie zrezygnuje. Niemcy mają na ten temat wewnętrzne porozumienie. To jest ich tzw. interes narodowy i niemiecka racja stanu.

Jaka może być odpowiedź Europy i Polski na tę sytuację?

Trzeba najpierw mieć świadomość, że sprawy idą w tym właśnie kierunku. W tej chwili nie należy się bawić się negocjacjami, tylko trzeba mówić Niemcom, że nie zgadzamy się, nie wprowadzamy, robimy swoje.

Jak Bruksela i Berlin mogą wtedy odpowiedzieć?

Na pewno nie przyjadą do nas czołgami. Przecież Bundeswehra prawie w ogóle nie funkcjonuje. A sytuacja jest dynamiczna.

Za chwilę Polska będzie w UE płatnikiem netto, to sporo zmieni. Poza tym nikt nas z Unii nie może wyrzucić, nie ma takich przepisów w traktatach. Jest przepis, że my możemy wyjść, ale nikt nie może nas wyrzucić bez naszej woli. Rocznie w Polsce na „500+”, na emerytury i inne takie programy wydajemy ok. 50–60 mld zł, a transfery z kasy Unii netto do Polski wynoszą ok. 30 mld zł. Na wojsko będziemy wydawali w niedługim czasie 4 proc. PKB, czyli ok. 120 mld, na tarczę COVID w pandemii wydaliśmy 200–250 mld. Przy tych kwotach te 30 mld z UE – czyli jak ja je nazywam: „trzydzieści srebrników” – to jest rzecz, nad którą nie powinniśmy się rozczulać. Nie możemy już myśleć w kategoriach takich, jak to niektórzy przedstawiciele opozycji rozumują, że czeka nas krach gospodarczy, jeśli nie dostaniemy tych „trzydziestu srebrników”.

Czy ten niemiecki walec jest jednak do powstrzymania?

Oczywiście. Polski rząd powinien zrobić w sprawie ETS2 tak, jak to zamierza zrobić z lasami, czyli powiedzieć: non possumus. Od lasów wara. Taki zresztą, jak rozumiem, jest plan premiera i polskiego rządu. Tak samo powinniśmy postępować ze wszystkimi tego typu sprawami dlatego, że eskalacja polityczna Berlina i Brukseli, którą obserwujemy, idzie wyraźnie w kierunku przemocy kapitałowej.

Berlin to nie jest siła, która ma dobrą wolę. Nie możemy być naiwni. Tam, po drugiej stronie, nie stoi ktoś, kto chce poszukiwać wspólnych rozwiązań i dobrych dla obu stron, ale zamierza siłą narzucać własne interesy. Swego czasu pewna niemiecka europosłanka wprost powiedziała, że Polskę należy zagłodzić finansowo. To nie było przejęzyczenie. Wielu ludzi u władzy w Niemczech naprawdę tak myśli, a skala tego przekonania w tej chwili się powiększa. Ludzie niebezpieczni dla Polski są coraz bardziej odważni. Tak zdeterminowanemu i uświadomionemu złemu postępowaniu trzeba postawić tamę i to jest jedyne rozwiązanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Zbigniew Krysiak
– prezes Instytutu Myśli
Schumana, ekonomista,
wykładowca SGH.



Jan Fiedorczuk

Polskie władze zapowiadają zawarcie z Ukrainą „sarmackich paktów”, które staną się fundamentem przyszłego sojuszu obu państw. Problem w tym, że rządzący skrzętnie skrywają przed opinią publiczną, na czym tenże sojusz ma dokładnie polegać. Co „sarmacki pakt” ma oferować Polsce, a jakie sprowadzi na nas zagrożenia?

W ostatnich miesiącach temat pomocy dla Ukrainy (którą popiera właściwie całe społeczeństwo) zaczął ustępować miejsca idei bliżej niesprecyzowanemu sojuszowi z Kijowem. W oficjalnych wystąpieniach polskie władze żonglują tymi tematami tak, jakby czymś oczywistym było, że obecne wsparcie dla walczących Ukraińców jest jedynie pierwszym krokiem w kierunku budowy nowej wspólnoty obu narodów. Ten proces nabrał nowej dynamiki zwłaszcza po niedawnej wizycie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego oraz głośnym exposé szefa MSZ Zbigniewa Raua.

Szczególnie istotne są tutaj zapowiedzi głowy państwa, prezydenta Andrzeja Dudy, który przekazał, że oba kraje pracują nad traktatem stanowiącym „rzeczywiście nowe otwarcie” w relacjach obu narodów. Sam Zełenski w odpowiedzi podkreślał, że Polska nie jest po prostu sąsiadem, ale „przyjacielem na wieki”, a między naszymi narodami już wkrótce „nie będzie granic politycznych, ekonomicznych i, co bardzo ważne, historycznych”.

Szkopuł w tym, że nie wiadomo, czego szumnie zapowiadany od miesięcy traktat ma w rzeczywistości dotyczyć. Wiceszef MSZ Piotr Wawrzyk pytany o deklaracje obu prezydentów odparł wymijająco, że nada on relacjom „nowy impuls” oraz wyniesie je na „nowy poziom”. Trudno jednak w tych górno-

Tajemnica sarmackiego sojuszu



PHOTO: ADRIAN STOK

lotnych zapewnieniach nie dopatrzeć się tak charakterystycznego dla polskich władz pustostłowia. Od kilku miesięcy o ustaleniach między dwoma stolicami dowiadujemy się z okruszków informacji rzuconych mimochodem na konferencjach prasowych, jakby Kijów i Warszawa dyskutowały nad uregulowaniem jakiejś marginalnej kwestii, a nie zawarciem strategicznego przymierza.

Nieco światła na te deklaracje rzucają słowa Jakuba Kumocha, który w ubiegłym roku – jeszcze jako szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej – stwierdził, że nowy traktat polsko-ukraiński mógłby być wzorowany na układzie francusko-niemieckim z 1963 r. – Chcemy, aby te relacje były równie bliskie – przekonywał. W jego opinii traktat mógłby przyjąć nazwę „paktów sarmackich”, a oba państwa zostałyby ze sobą tak związane, że „nie dałoby się tego rozerwać”.

WSPÓLNOTA POLSKO-UKRAIŃSKA?

Dopiero biorąc pod uwagę ten kontekst, warto przejść do niedawnego exposé szefa polskiej dyplomacji prof. Zbigniewa Raua.

W swoim długim wystąpieniu minister zarysował wizję niezwykle bliskiej współpracy obu państw, podkreślając, że sojusz Warszawy i Kijowa nie może się ograniczać do współpracy gospodarczej, ale powinien zmierzać w kierunku powołania „wspólnoty polsko-ukraińskiej”. Oba państwa miałyby dążyć do wyeliminowania potencjału do „jakichkolwiek poważniejszych tarć na tle interpretacji historii”, a „Polacy i Ukraińcy nie tylko u siebie w ojczyźnie, lecz i w drugim kraju powinni czuć się jak u siebie w domu”. Było to niemal powtórzeniem słów Zełenskigo o braku granic między państwami.

– Stoimy przed unikatową w ostatnich stuleciach szansą odtworzenia zniszczonej przez niemieckich i moskiewskich zaborców oraz bolszewicki totalitaryzm wspólnoty polsko-ukraińskiej – mówił szef MSZ. Jak dalej zapewniał, tradycja I Rzeczypospolitej stanowi dla narodów Polski, Ukrainy, Litwy i Białorusi „ideowy potencjał”, który rząd planuje wzmacniać, „tworząc z niego fundament pod przyszłą ścisłą współpracę polityczną”.

Mglistość tych wypowiedzi w połączeniu z ogólnym quasi-konspiracyjnym tonem, jaki zapanował nad współpracą polskich i ukraińskich elit, sprawia, że zapowiedzi Kijowa i Warszawy mogą być dowolnie interpretowane. I tak np. sekwencja ostatnich wydarzeń – wizyta Zełenskigo plus exposé Raua – kolejny raz uruchomiła w debacie publicznej dyskusję na temat powołania wspólnego dwunarodowego organizmu politycznego. Przykładem może być choćby dr Beata Górka-Winter z UW, która w rozmowie z Radiem Wnet przekonywała, że minister Rau zakreślił plan budowy polsko-ukraińskiej konfederacji. „Unia polsko-ukraińska coraz bliżej?” – to już z kolei tytuł artykułu na portalu Polonia Christiana. Także publicysta „Sieci” i współpracownik Strategy & Future Marek Budzisz kolejny raz zaczął przekonywać do pomysłu powołania federacji obu państw. Sprawa zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, a pod koniec marca nawet prestiżowy magazyn „Foreign Policy” opublikował artykuł pt. „Już czas przywrócić unię polsko-ukraińską”.

Sam koncept federacji polsko-ukraińskiej oraz katastrofalne skutki, które by się wiązały z jego realizacją, już kilkakrotnie omawialiśmy na łamach „Do Rzeczy” (przede wszystkim w numerze 25/2022). Pomysł jest karkołomny pod względem politycznym, a intelektualnie dość mierny i właściwie nie chodzi nawet o samą federację, ale atmosferę

wielonarodowego państwa mogłoby być „wspaniąłą przygodą” dla młodego pokolenia. Również po stronie ukraińskiej brak jest deklaracji w tym temacie. Jedynym wyjątkiem jest tutaj były doradca ukraińskiego prezydenta Ołeksij Arestowycz, który kilka miesięcy temu w jednym z wywiadów rozważał wizję takiej unii.

Przywołuję tutaj tę wypowiedź nie bez powodu. Jakkolwiek fantazmat federacji w przypadku Arestowycza pozostaje dalej utopijny, to już towarzysząca mu sama analiza sytuacji i ogólna refleksja polityczna są nieporównanie ciekawsze i głębsze niż w przypadku polskich geopolityków. Ukraiński analityk podkreśla, że ewentualna unia nie tylko byłaby wycelowana w Rosję, lecz także mogłaby niwelować konflikty wewnątrz samej federacji. Arestowycz jest bowiem zdania, że po odparciu Rosji pojawi się dylemat, które z państw przejmie rolę lidera Europy Środkowo-Wschodniej – Ukraina czy Polska. Jeżeli nie stworzymy wspólnego organizmu – sugerował ówczesny doradca Zełenskigo – to między naszymi państwami zaczną nabrzmiewać konflikty.

To realistyczna ocena sytuacji, która jest praktycznie nieobecna w polskiej debacie. Widzimy, że nawet teraz, gdy inwestujemy tyle środków i energii w pomoc Ukrainie (co samo w sobie jest zrozumiałe), między dwoma państwami

Między Polską a Ukrainą dochodzi do konfliktów.

Na czoło wysuwają się dwa zagrożenia: Wołyńia i zboża.

W obu przypadkach to strona polska zawiniła, bo nie potrafiła bronić swoich interesów

niedopowiedzenia, którą kreują polskie władze. Prezydent i rząd nie są w stanie klarownie komunikować się ze społeczeństwem, przez co pod ideę „wspólnoty polsko-ukraińskiej” każdy może sobie podstawić dowolny projekt.

ŻADNYCH ZEŁUDZEŃ

Po polskiej stronie właściwie tylko doradca prezydenta prof. Andrzej Zybortowicz stwierdził, że zbudowanie

dochodzi do konfliktów. W tym kontekście na czoło wysuwają się dwa zagrożenia: kwestia Wołynia oraz zboża sprowadzanego z Ukrainy. Co ciekawe, w obu przypadkach to polska strona zawiniła, gdyż nie potrafiła w asertywny sposób bronić swych interesów. Rzecz nie sprowadza się oczywiście do uzależniania polskiej pomocy od pokajania się Ukraińców za Wołyń. Nie sposób jednak nie zauważyć, że Polska powinna

■ w otwarty sposób przynajmniej podnosić kwestię umożliwienia przez ukraińskie władze ekshumacji ofiar i dopuszczenia specjalistów do prac archeologicznych i archiwalnych. Tymczasem fikołki i uniki, które robił prezydent Duda podczas wizyty Wołodymyra Zełenskigo, byle tylko przypadkiem nie powiedzieć na głos słowa „Wołyń”, były czymś absolutnie niespotykanym.

To samo dotyczy się kwestii ukraińskieggo zboża, które wbrew ustaleniom przez miesiące trafiało na polski rynek. Jeżeli teraz mówimy o jakimś pakcie, który ma związać Polskę z Ukrainą, to nie można udawać, że kontrowersyjne kwestie dzielące oba narody wyparują w magiczny sposób dzięki podpisom złożonym na jakimś dokumencie. Wręcz przeciwnie – mogą one czekać w uśpieniu i stać się zarzewiem przyszłego kryzysu.

SOJUSZ ENIGMATYCZNY

Z lakonicznych wypowiedzi polskich polityków wynika, że sojusz z Ukrainą ma opierać się na filarze militarnym i gospodarczym. W pierwszej perspektywie ma on być wycelowany w Rosję. – Silny sojusz polsko-ukraiński może rozdáwać karty w Europie Śródkowo-Wschodniej i trwale wypchnąć Rosję do Azji. Wtedy Rosja przestanie być brana pod uwagę w grze europejskiej. To strategiczny cel polskiego państwa – stwierdził w zeszłym roku wiceminister Marcin Horała.

Nawet jeżeli takiemu sojuszowi patronowałyby USA z Wielką Brytanią, to ryzyko wpłaty Polski, która działałaby niejako obok NATO, w wojnę zwiększyłoby się radykalnie. Deklarowanie sojuszy wszak nie oznacza jedynie czerpania profitów, ale niesie ze sobą poważne ryzyko i zobowiązania.

Enigmatyczny charakter wypowiedzi polskich dygnitarzy sprawia jednak, że właściwie ciężko analizować jakiegokolwiek wojskowe zobowiązania, gdyż nie wiemy, do czego polskie władze chcą zobowiązać nasz kraj. Mówiąc wprost – czy jesteśmy gotowi wypowiedzieć wojnę Rosji, jeżeli Ukraina zostanie w przyszłości ponownie zaatakowana? Czy jesteśmy gotowi zrezygnować z parasola ochronnego NATO? Na czym ma polegać „wypychanie” Rosji z Europy? Jakimi środkami polskie władze

Najbardziej niepokoi nawet nie liczba znaków zapytania, które się wiązą z pomysłem wspólnoty polsko-ukraińskiej, tylko skrytość.

Rządzący od miesięcy jak ognia unikają otwartej rozmowy ze społeczeństwem na temat „sarmackiego sojuszu”

chcą „wypychać” atomowe mocarstwo? To ważne pytania, które powinny paść w publicznej debacie, zanim podpiszemy jakiegokolwiek „traktat sarmacki”, który ma „nierozzerwalnie” związać nasz kraj z Ukrainą.

Natomiast koncepcja sojuszu gospodarczego wiąże się oczywiście z tematem odbudowy Ukrainy, na czym miałby wzbogacić się polski biznes dzięki specjalnym udogodnieniom ze strony Kijowa. Jak szacuje Polski Instytut Ekonomiczny, sama odbudowa kraju może pochłónąć od 350 mld do 750 mld dol. Warto przytoczyć jednak słowa prof. Igora Burakowskiego z Kijowa, współpracownika m.in. Instytutu Rozwoju Ekonomicznego, który przekonuje w rozmowie z portalem Wnp.pl, że polscy przedsiębiorcy nie będą mieli żadnych preferencyjnych warunków ze względu na unijne prawo. Polskie władze powinny pokazać zatem, jak wyobrażają sobie ominięcie unijnych regulacji, gdyż kryzys zbożowy dowiódł, że Bruksela nie da sobie odebrać kompetencji w tym zakresie. Równie potrzebne jest wskazanie, skąd polski biznes ma wziąć olbrzymie fundusze, które w oczach samych Ukraińców sprawią, że to właśnie nasze firmy, a nie francuskie czy niemieckie, będą preferowane do odbudowy zdewastowanego państwa.

Sojusz gospodarczy między naszymi państwami miałby jednak przede wszystkim stanowić przeciwwagę dla dominacji Niemiec i Francji w UE. Problem w tym, że nawet zsumowany gospodarczy potencjał Polski i Ukrainy nie może się równać z siłą tandemu Paryż-Berlin – wystarczy spojrzeć choćby na poziom PKB rzeczonych państw.

Co więcej, jeżeli duet polsko-ukraiński ma być przeciwwagą dla Niemiec i Francji, to oznacza, że Ukraina musiałaby się stać członkiem Unii Europejskiej. Tymczasem kanclerz Olaf Scholz jasno dał do zrozumienia, że Niemcy popra-

akces Ukrainy jedynie pod warunkiem gruntownej reformy samej Unii Europejskiej. Jak przekonywał, reforma miałaby posłużyć do „wzmocnienia demokracji i praworządności”, a także zwiększenia sterowności Europy poprzez zniesienie zasady jednomyślności. Z punktu widzenia polskiej racji stanu – m.in. tego, jak unijne elity definiują „praworządność” – oba punkty są nie do zaakceptowania. Nawet jeżeli na szali wisi członkostwo Ukrainy w UE.

Marzenia polskich prawicowych elit – zarówno polityków, jak i publicystów czy intelektualistów – o sojuszu z Kijowem świadczą o zupełnym niewypale polityki zagranicznej PiS. Ostatnie osiem lat dowiodło, że PiS nie ma pomysłu na ułożenie relacji z Brukselą, nieustannie jej ustępując, a wszelkie projekty, z którymi władza wiązała nadzieje na wzmocnienie swojej pozycji w UE, okazały się niewypałem. Węgierska polityka wobec Rosji rozbiła ostatecznie (i tak dość kulawą) jedność Grupy Wyszehradzkiej, projekt Międzymorza w gruncie rzeczy nigdy nie wyszedł poza wstępne prace i deklaracje, a idea stworzenia z Polski amerykańskiego bastionu upadła z hukiem wraz z porażką Donalda Trumpa, w którego PiS wierzył (i inwestował) do samego końca. Idea „wspólnoty polsko-ukraińskiej” zdaje się być zatem jedynie kolejną wariacją na temat tej samej fantazji o stworzeniu narzędzia, które nagle wywinduje znaczenie państwa polskiego do poziomu Niemiec, Francji czy choćby Włoch.

Najbardziej niepokoi nawet nie liczba znaków zapytania, które się wiązą z pomysłem wspólnoty polsko-ukraińskiej, tylko skrytość, z jaką działają polskie władze. Rządzący od miesięcy jak ognia unikają otwartej rozmowy ze społeczeństwem na temat „sarmackiego sojuszu”. Zupełnie jakby się bali, że zostanie on przez Polaków odrzucony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nowy sztandar Ziobry



FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER



Piotr Semka

Podchody na linii Ministerstwo Sprawiedliwości – Nowogrodzka wkraczają w decydującą fazę. Jak w każdej grze nerwów każda strona korzysta ze swoich najsilniejszych atutów. Dlatego Zbigniew Ziobro zadbał, by warszawska konwencja, na której zakomunikowano zmianę nazwy jego partii, wyglądała jak najbardziej efektownie

Mało jest partii, które zmieniają nazwę na mniej niż pół roku przed wyborami. A jednak Zbigniew Ziobro postanowił przemianować Solidarną Polskę na Suwerenną Polskę. Znak czasu? Ziobryści najwyraźniej wyczuwają, że walka Polski z zakusami Brukseli i Berlina to temat, który elektryzuje nastroje. I – co ważniejsze – „rusza” młode pokolenie wyborców. A ziobryści zawsze dbali o dotarcie do najmłodszych grup, które wchodziły w wiek wyborczy.

Sukcesy Konfederacji pokazały dobitnie, że młodzi Polacy źle reagują na ustępowanie Ursuli von der Leyen czy Věry Jourové. Ale w tle konferencji zorganizowanej w hali Expo XXI w Warszawie majaczyła inna kwestia – czy PiS potraktuje ugrupowanie Ziobry w partnerski sposób i czy lider Suwerennej

Polski zdoła dogadać się z Jarosławem Kaczyńskim. Ziobryści zdają sobie sprawę, że samodzielny start to duże ryzyko. Ale równie mocno nie chcą być lekceważeni. Podchody na linii Ministerstwo Sprawiedliwości – Nowogrodzka wkraczają w decydującą fazę. Jak w każdej grze nerwów każda strona korzysta ze swoich najsilniejszych atutów. Dlatego Zbigniew Ziobro zadbał, by warszawska konwencja 3 maja wyglądała jak najbardziej efektownie.

PRĘŻENIE MUSKUŁÓW

Do stolicy zwieziono ponoć prawie 80 proc. aktywistów partii. Autobusy z całej Polski, jeden za drugim, podjeżdżały w okolice hali Expo XXI przy warszawskiej ulicy Prądzyńskiego. Liczbę uczestników konwencji media oceniały na 2,5 tys. ludzi.

„W domach zostali tylko ci naprawdę chorzy lub ci, którzy znajdują się w ciężkiej sytuacji rodzinnej. Całą resztę Zbyszek pogonił do Warszawy, aby pokazać Kaczyńskiemu, że nadal jest siłą, której nie należy lekceważyć” – mówi działacz SP z Krakowa, matecznika Ziobry. Widać, że ten pokaz siły był bardzo potrzebny ziobrystom. Na mniej niż pół roku przed wyborami nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy do wspólnego startu na listach PiS dojdzie. Teoretycznie premia za jedność od wyborców prawicy to ważny czynnik. Ale diabeł tkwi w szczegółach układu list wyborczych. A skoro wciąż jest sporo znaków zapytania, to trzeba przeżyć muskuły.

MOBILIZACJA W EXPO XXI

Konferansjerkę na konwencji poprowadziła para Anna Maria Siarkowska i Jan Kanthak. Od razu przedstawili najważniejsze przesłanie konwentu: „Zadaniem SP jest obrona silnej, niezależnej, wolnej i suwerennej Polski”. Jak uszczegółowiła para Siarkowska-Kanthak: „Takiej, w której mężczyzna jest mężczyzną, a kobieta – kobietą, w której obchodzimy Boże Narodzenie, a palenie w kominku nie jest zbrodnią. Polski, w której schabowy jest legalny i której w Europie wolno tyle samo, co Francuzom, Niemcom i Belgom”. Szczególnie wysunięcie na czoło Siarkowskiej było ukłonem w stronę dość licznych w SP kobiet konserwatystek.

Ale wiadomo było, że najważniejszym daniem w menu konwencji było przemówienie Zbigniewa Ziobry. „Zbyszek! Zbyszek!” – krzyczeli działacze SP, gdy ich lider wchodził na mównicę. Siedem lat po objęciu stanowiska ministra sprawiedliwości Ziobro utrzymuje pozycję numer jeden w partii.

„Przed kongresem w hali Expo XXI byłem na uroczystościach 3 maja na placu Zamkowym i tylko Ziobrze spośród polityków rządu przybyli jako gapie zwykli zwolennicy prawicy klaskali” – opowiada jeden z dziennikarzy z prawej strony.

Już przed konwencją ziobryści wypuścili klip tłumaczący powody zmiany nazwy partii. „Najważniejsze zadanie, przed jakim Polska stoi, to [...] obrona suwerenności. [...] Dlatego tworzymy nową partię Suwerenna Polska. Naszym obywatelom stabilny rozwój zapewni tylko suwerenne państwo. A nie to zarządzane z Brukseli jako niemiecki pośrednik”.

Ziobro nie wahał się wchodzić w ostry, wiecowy język, wskazując w swoim programowym wystąpieniu: „Suwerenność Polski jest dziś zagrożona najbardziej od czasu upadku komunizmu. Z jednej strony Rosja prowadzi krwawą wojnę z naszym sąsiadem. Z drugiej strony – lewicowi fanatycy w Europie Zachodniej forsują projekt zmiany UE w państwo federalne pod przywództwem niemieckim. Powołujemy Suwerenną Polskę, by w ten sposób jasno powiedzieć twarde »nie« tym, którzy zmierzają do odebrania nam suwerenności, a co za tym idzie, odebrania naszej niepodległości”.

Inni przemawiający – europoseł Patryk Jaki, wiceminister środowiska Jacek Ozdoba, eurodeputowana Beata Kempa, wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski czy minister Michał Wójcik i wiceszef resortu sprawiedliwości Sebastian Kaleta. W tym gronie błyszczał Patryk Jaki – korzystający ze sławy obrońcy Polski na forum Parlamentu Europejskiego.

Wszyscy – lepiej lub gorzej – starali się stworzyć nastrój „nowego początku” w partii.

Rzucał się w oczy brak reprezentantów Prawa i Sprawiedliwości. Rzecznik SP Jacek Ozdoba wymijająco wskazywał, że wybrano formułę konwencji jako wewnętrznego wydarzenia partii, choć prezes Jarosław Kaczyński był o niej informowany.

Politycy SP pytani o brak gości z „mateczki partii” nie omieszkiwali jednak dodawać, że sami nie bywają od dłuższego czasu zapraszani na konwencje PiS.

KWAŚNE REAKCJE BRATNIEJ PARTII

„Mała partia, ok. 1 proc. poparcia, ogłasza, że to ona będzie bronić suwerenności Polski? Zmiana nazwy nic nie zmieni. Tylko Prawo i Sprawiedliwość może zapewnić Polsce wolność i rozwój” – tak na Twitterze skomentował powołanie nowej-starej formacji wicemarszałek Ryszard Terlecki.

Równie chłodny był sekretarz generalny PiS Krzysztof Sobolewski. Polityk, dopytywany w Radiu Zet, która z nazw ugrupowania – dawna czy nowa – bardziej mu się podoba, odparł: „Jeszcze dodajmy »bezpieczna« i wtedy mamy filary programu PiS m.in. z 2015 r., gdzie była: solidarna, suwerenna i bezpieczna Polska. Cieszymy się więc, że nasz koalicyjant ko-

rzysta z tego dorobku PiS i idzie tym tropem. My pochwalamy taki trop, jesteśmy za tym, aby Polska była suwerenna, solidarna i bezpieczna”. I dalej: „Czasami jest tak, że jak rozpoznawalność jest na niskim poziomie, to trzeba coś zrobić. W tym przypadku być może o to chodziło. Nie jestem tutaj jakimś wizjonerem, żebym mógł za Zbigniewa Ziobrę odpowiadać, więc być może to był główny powód”.

Ta lodowata tonacja wypowiedzi źle wróży nadchodzącym rozmowom ziobrystów z PiS. Ale ostateczną decyzję podejmie Jarosław Kaczyński. Czy Terlecki i Sobolewski uznają, że zdobędą punkty u naczelnika, przyjmując taki lekceważący ton? A może wchodzi w pojedynek na miny i przed negocjacjami wolą zachowywać styl „i bez ziobrystów damy sobie radę”?

Są jednak i tacy politycy z czołówki PiS, którzy w kuluarach trzeźwo wskazują, że Ziobro i jego ludzie przydadzą się Zjednoczonej Prawicy jako antidotum na Konfederację. „Są tacy wyborcy po prawej stronie, którzy są wyczuleni na dyktat Brukseli i na takie pomysły jak centra miast bez samochodów. Wszelkie ekonomicznie traktują z rosnącą irytacją. A jako że Konfederacja jest dla nich niewiarygodna jako partia flirtująca z Rosją, to chętnie oddadzą głos na ziobrystów w obrębie obozu Zjednoczonej Prawicy. Może to 2–3 punkty procentowe, ale w tych wyborach potrzebujemy do uzyskania trzeciej kadencji każdego głosu” – przestrzega polityk PiS.

LEWICOWE OBURZENIE

Pryncypialnie oburzyła się na konwencję Ziobry Lewica. „Czyś ty, bracie, zgłupiał? Stawiasz znak równości między Rosją a Unią Europejską?” – zagrmiał Włodzimierz Czarzasty lubiący występować w roli wzorowego Europejczyka. Choć lewicowi ortodoksi oburzyli się na określenie „bracie” w stosunku do Ziobry mającego już swoje miejsce w lewicowym politycznym bestiarium.

Robert Biedroń dla odmiany wrzucił ziobrystów razem z liderami PiS do jednego worka wrogów Europy. „Wszelkie dyskusje o zagrożeniu suwerenności polskiej przez UE i o odrzuceniu wartości europejskich są dla nas nie do zaakceptowania. To niebezpieczna sytuacja – brexit w Wielkiej Brytanii też zaczął się od dyskusji o suwerenności. Ale Ziobro mówi to, co Kaczyński

i Morawiecki chciałby powiedzieć, ale się boją, bo są ładniejszą, upudrowaną twarzą europejskiego sceptycyzmu” – dowodził Biedroń. „Jeśli dziś ktoś mówi o alternatywie dla UE, to mówi o scenariuszu pisanym cyrylicą”.

Typowy styl kpinkowania z prawicy „broniącej kotleta przeciw robakom” za prezentował wreszcie portal OKO.press. Anton Ambroziak kpił z „odjechanej konwencji ziobrystów”. I pisał: „Już nie solidarnej, ale suwerennej – takiej Polski chcą ziobryści. Chodzi o to, żeby można było palić w kominku, chodzić na grzyby do lasu, jeść schabowego. No i żeby mężczyzna był mężczyzną, a Polska – Polską, a nie województwem w Federacji Eurokratów. [...] Można wręcz pomyśleć, że ich narodowa duma i narcyzm ma konstrukcję domku z kart. Bo jak pogodzić opowieść o niezłomnej, wielkiej, nieugiętej tożsamości Polaka ze strachem, że ta nieuchronnie zniknie, gdy szefowa Komisji Europejskiej tupnie nóżką i z naszego menu wykreśli schabowego czy rozkaże przesiąść się na rower?”.

Pytani o takie reakcje lewicy ziobryści wrzuszają ramionami. Po pierwsze,

sam fakt medialnych reakcji na kongres postępców nagłośnił ich konwencję. Po drugie – jak wskazują – te głosy oburzenia bądź żarty wcale nie trafiają w cel.

„Te kpiny wcale nie muszą śmieszyć młodej generacji” – mówi jeden z działaczy SP. „Wielu młodych zauważa socjotechnikę lewicy w narzucaniu społeczeństwu ograniczeń wynikających z obrony klimatu. Robert Biedroń ze swoim apelem, by dziewczyny odmawiały chodzenia do łóżka z kimś, kto popiera Konfederację, potrafi być dziś dla młodych groteskowy i »dzia-derski« jak wyśmiewani konserwatyści”.

CO ZROBI NACZELNIK?

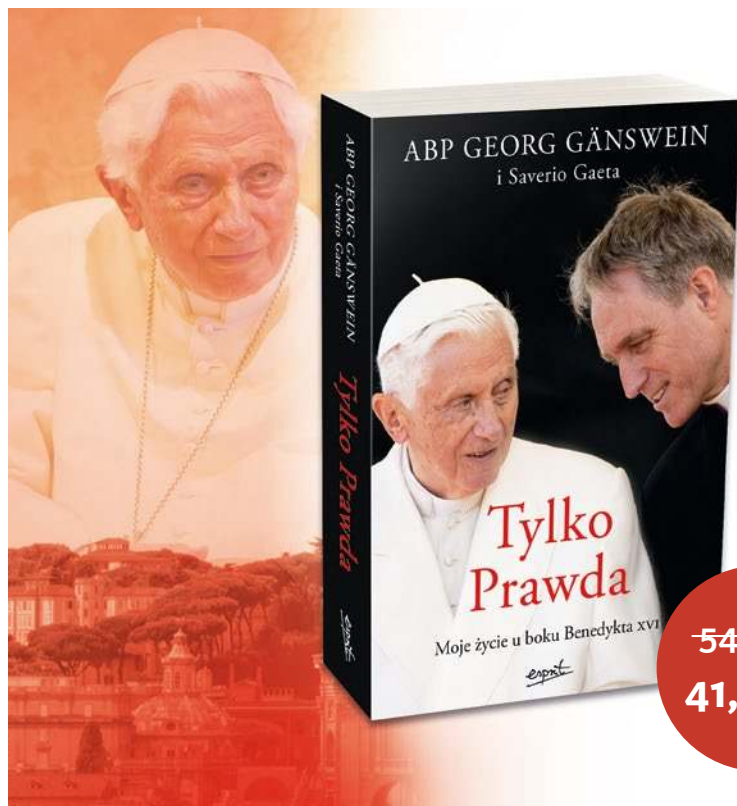
„W Szczecinie mamy gotowe już własne listy i damy sobie radę z osobną kampanią. W pojedynkę możemy przekroczyć 5 proc.” – mówi Dariusz Matecki, działacz SP z metropolii nad Odrą. „Ale mamy też świadomość, że osobny start zaszkodzi zarówno nam, jak i PiS. To nasi starsi bracia: muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, czy bez nas nie zabraknie im kluczowych paru punktów procentowych do zapewnienia sobie trzeciej kadencji”.

Politycy SP chwalą się, że w mediach społecznościowych mają o wiele większe zasięgi niż PiS, który w świecie TikToka czy Instagrama dopiero się rozgląda. W rozmowach ze sztabowcami Ziobry daje się zauważyć, jak pilnie analizują oni sukcesy Sławomira Mentzena w sieci.

Problemem Suwerennej Polski może być to, że najpierw rejestrowane będą komitety wyborcze, a dopiero potem listy. A Jarosław Kaczyński lubi w ostatniej chwili wyciąć parę nazwisk z biorących miejsc wyborczych, aby pokazać swoją dominację. Ale jeden z polityków PiS przestrzega: „Często przepowiada się Ziobrze los Jarosława Gowina, którego organizm PiS-owski odrzucił jako obce ciało. Nie dajmy się zwieść fałszywym analogiom. Ziobro to nie Gowin. Po pierwsze, ma za sobą ponad 23 lata wspólnej drogi politycznej z Kaczyńskim. Po drugie, nawet w PiS są ludzie, którzy wolą, by Mateusz Morawiecki miał w obozie Zjednoczonej Prawicy jakąś przeciwwagę, by nie poszedł zbyt daleko w targach z Brukselą”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WYZNANIE ŚWIADKA ŻYCIA BENEDYKTA XVI

Po śmierci Benedykta XVI nadszedł czas, aby abp Georg Gänswein powiedział całą prawdę o niegodnych oszczerstwach, którymi bezskutecznie próbowano rzucić cień na postugę papieża Ratzingera.

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratyszy!

Zamów książkę na esprit.com.pl

lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

54,90 zł

41,90 zł

esprit

Czy lewicowo-liberalna opozycja jest w stanie odsunąć PiS od władzy i sama ją przejąć? Teoretycznie rzecz była całkiem prosta. Partie deklarujące ten zamiar obsługują oczekiwania różnych grup wyborców. Najbardziej wyrazisty jest elektorat Lewicy: antyklerykalny, pełen niechęci do polskiej tradycji patriotycznej oraz entuzjastyczny wobec ideologii „woke-ness”. Równie wyrazisty, choć w zupełnie inny sposób, jest elektorat PSL – tyle że ten spajają interesy. Co do spraw innych niż dopłaty i subwencje, po które wysyła „swoich” polityków do Warszawy, jest to natomiast elektorat generalnie tradycyjny, ale raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Platforma Obywatelska z kolei sprawuje rząd dusz nad wyborcami, którzy wygrali na transformacji ustrojowej. Lubią oni myśleć o sobie jako o ludziach z racji odniesionego sukcesu lepszych od reszty i nie oczekują idei, tylko „normalności”, którą stanowi zapisana w ich pamięci Polska sprzed roku 2015. Najbardziej amorficzny jest elektorat Polski 2050. Wydaje się, że tym, wokół czego się gromadzi, jest oczekiwanie odmiany. Hołownia, jak niegdyś Palikot, Petru i Kukiz, przyciągnął uwagę ludzi znudzonych partyjniactwem, kołesioństwem i biurokracją, zarówno w ich wydaniu „peowskim”, jak i „pisowskim”. I każdy z opozycyjnych elektoratów, acz z różnych powodów, reaguje pozytywnie na hasło „Europa”. Dla jednych jest to matecznik rewolucji, która przeorze zniechęcony polski zaścianek, dla innych źródło subwencji i funduszy pomocowych, dla jeszcze innych wzorzec oczekiwanej normalności.

Wystarczyłoby więc, odkładając rozmowy o szczegółach „odsuwania PiS od władzy” na po wyborach, przedstawić każdej z tych grup ofertę niekonfliktującą jej z pozostałymi. Lewicy nie byłoby trudno przekonać swoich wyborców, że mądrość etapu każe pewnie po wyborach stworzyć rząd z liberalnymi miększonościami czy nawet niejadowitymi tradycjonalistami; ludowcom i PO, że – analogicznie – ścierpieć trzeba będzie radykałów, by razem położyć rękę na funduszach i przywrócić świat sprzed 2015 r., a Hołowni obiecywać, że wnieśnie do koalicji rządowej choć trochę świeżości i spróbuje ją „odpartyjnić”. Logika i znajomość politycznego rynku

Tusk gra o Tuska



Rafał A. Ziemkiewicz

Tusk prowadzi bardzo przemyślaną grę, której stawką jest... sam Tusk. „Obóz demokratyczny” rozpaczliwie nie chce pamiętać o tym, że lider PO raz już oddał Kaczyńskiemu Polskę dla swej prywatnej kariery

FOT. ZBISZEK MACZAREK/REPORTER



narzucały pakt o nieagresji: akcentujemy w wyborach swoją specyfikę, aby wyważyć siłę poszczególnych komponentów przyszłej koalicji, ale nie zadajemy sobie nawzajem ciosów, które powyborczej współpracy mogłyby zaszkodzić.

WSZYSTKO NA ODWRÓT

Tymczasem, jak widzimy, lewicowo-liberalna opozycja wszystko zrobiła na odwrót. Donald Tusk zaatakował Lewicę, próbując odebrać jej elektorat i w tym celu radykalizując się tęczo i proaborcyjnie oraz obiecując mieszkania jako „prawo, nie towar”. Niewiele tym na razie

uzyskał, bo z racji swej dotychczasowej politycznej drogi nie jest dla lewicowego elektoratu w takich obietnicach wiarygodny, ale skutecznie odstraszył PSL do dziś trawiący polityczną traumę po wyborach do Parlamentu Europejskiego, w których związek z lewicowymi radykałami odepchnął dużą część jego wyborców do PiS. Zamiast naturalnego dla siebie i oczywistego sojuszu (programowo i sytuacyjnie od dawna PSL jest już tylko „delegaturą PO na prowincję”) ludowcy zaczęli szukać koalicjanta w ruchu Hołowni. Być może z początku były to tylko demonstracje wobec Tuska: „Nie

jesteśmy na ciebie skazani”, ale ponieważ okazały się nieskuteczne, po wielu niejasnych sugestiach i zapowiedziach zapowiedzi sojusz został ostatecznie zawarty i ogłoszony.

Z pozoru taki związek ma sens: Hołownia zaciekał głównie elektorat wielkomiejski, PSL istnieje i dostaje głosy tylko na prowincji, dzielenie „jedynek” w okręgach pójdzie łatwo. Poza tym, skracając w lewicowy radykalizm, Tusk osierocił swój centrowy, umiarkowany elektorat, który Hołownia z PSL zapragnęli przejąć – niektórzy politycy tych formacji zdążyli już publicznie podzielić się nadziejami, że w ten sposób wyrosną kosztem PO do 20 proc. lub jeszcze więcej i staną się rozgrywającymi w opozycji.

Ale sojusz może też zadziałać zupełnie inaczej: skoro siłą Hołowni była obietnica nowej, innej polityki, to wspólna lista z partią najbardziej uwikłaną w partyjniactwo, za jaką uchodzi PSL, kompletnie odbiera mu wiarygodność. Sondaże zdają się wskazywać, że ten drugi efekt okazał się silniejszy – ku radości Konfederacji.

Dodatkową, istotną okolicznością określającą przyszłość PSL i Polski 2050 jest, że Hołownia, niewątpliwie pomny, jak PSL wyroloowało Pawła Kukiza, wymógł formułę koalicji, która gwarantuje podział przyszłej budżetowej subwencji, a także podnosi próg wyborczy do 8 proc. Przy obecnych sondażowych wynikach obu partii jego przekroczenie wydaje się pewne. Ale jeśli wypadki potoczą się tak, jak dalej przewiduję, to może się to zmienić.

Lewicy z kolei zwrot Tuska uświadomił, że jakakolwiek „wspólna lista” z Tuskiem skończy się „lubnaueryzacją”. Ponieważ media, trzymające „rząd dusz” nad wyborcami szeroko rozumianego anty-PiS, uczyniły mityczną jedność obozu demokratycznego fetyszem, Lewica nie chciała torpedować tego projektu otwarcie, niemniej postawa „jesteśmy za, ale dołączymy dopiero, gdy dołączą Hołownia i Kosiniak-Kamysz” jest tylko sprytniejszym sposobem powiedzenia mu „nie”.

CEL: PREZYDENTURA

Właśnie projekt „jednej wspólnej listy”, de facto układanej przez niego samego (publiczna zapowiedź: „Nie wpuszczę na listę wyborczą takich, którzy...” nie zostawiała żadnych wątpliwo-

ści), była drugim ruchem Tuska, który odebrał obozowi lewicowo-liberalnemu szanse na przyszłe rządy. Tutaj osobiste ambicje byłego „prezydenta Europy” spotkały się z szaleństwem „środowisk opiniotwórczych” kontrolujących media „obozu demokratycznego”. Dla szeroko rozumianego zaplecza intelektualnego opozycji – jej „salonu” – walka z PiS nie jest normalną polityką. Wmówiło ono sobie, że to kwestia wyboru moralnego, ratowania demokracji przed faszyzmem. Tylko w atmosferze tego, co Douglas Murray nazwał „paniką moralną”, można było przejść do porządku dziennego nad oczywistymi dowodami, że z pragmatycznego punktu widzenia jedna lista raczej oddała „obóz” od władzy, niż do niego przybliżyła. Zwykle lewicowo-liberalne media jak ogon kręcący psem narzucają agendę Tusкови i innym politykom „anty-PiS”, ale w tej sprawie to Tusкови wystarczyło rzucić hasło, aby Agora, TVN i RASP rzuciły się gorliwie zapędzać Hołownię i Kosiniaka-Kamysza pod zarząd „prezydenta Europy”.

Cel wyłożył Tusk otwarcie: będzie jedna lista, ale będzie to partyjna lista PO. W jego planach pozostałe partie „obozu” mają zniknąć. Wezwanie ich liderów na wspólny „marsz protestu”, wymiennie nazywany „marszem poparcia” (dla wzywającego), o którym liderzy PSL, Lewicy i Polski 2050 dowiedzieli się z mediów, nie pozostawia już co do tego żadnych wątpliwości. Sposób wezwania i sam zapowiedziany na 4 czerwca marsz nie mają innego sensu niż ten właśnie, aby pomniejsi liderzy się nie stawili i aby można ich było potępić za „rozbijanie jedności”. Zrozumiał to chyba tylko jeden Czarzasty i, przełknąwszy upokorzenie, zadeklarował swój udział – ale jemu jest łatwiej, bo raczej nie grozi mu ucieczka elektoratu do Mentzena.

Być może Tusk nie zdawał sobie sprawy, że ostrym skretem w lewo i atakiem na Hołownię buduje Konfederacji dwucyfrową popularność, a tym samym daje jej pakiet kontrolny w przyszłym Sejmie (powinien wiedzieć, pokazywały to już sondaże dotyczące „jednej listy”), ale tak czy owak jest to dla niego korzystne. Skomplikowanie partyjnej układanki pozwoli mu sięgnąć po kolejną broń: oskarżenie Polski 2050 i PSL o gotowość „zdrady”, czyli współpracy z wrogiem. Właśnie dlatego wspierające Tuska media

wbrew wszystkiemu, z uporem przypominającym wmawianie dziecka w brzuch, wmawiają swoim odbiorcom, że Konfederacja i PiS to naturalni sojusznicy, praktycznie to samo – i dlatego Czarzasty już pośpieszył ogłosić, że gdyby w przyszłym Sejmie nie dało się stworzyć przeciw PiS większości inaczej niż razem z Konfederacją, to Lewica w taki układ nie wejdzie i doprowadzi do nowych wyborów.

Jeśli te zabiegi dadzą skutek i obniżą notowania PSL i Hołowni, to Tusкови dojdzie jeszcze jeden argument: „nie marnuj głosu, oni mogą nie przejść progu”. Może to skłonić PSL do uderzenia w pokorę i powrotu do PO; na placu boju pozostanie więc tylko Lewica. Wtedy, co zapowiedział niedawny publiczny spektakl korzenia się Rafała Trzaskowskiego przed Tuskiem i zapewniania o lojalnej współpracy, ten ostatni może oznajmić: „Dla dobra sprawy rezygnuję z osobistych ambicji, naszym kandydatem na premiera i liderem listy wyborczej jest Rafał”. Dla Tuska byłoby to tylko krokiem w tył, by nabrać rozpędu do wyścigu prezydenckiego 2025 (a to prezydentura jest właśnie jego prawdziwym celem), raczej bezpiecznym, bo Trzaskowski „spali się”, a kontroli nad partią mu nie odbierze, dla Lewicy natomiast byłby to bardzo trudny stress-test, bo media opozycji oszaleją z zachwyty, a Trzaskowski, jak pokazują badania, jest bardziej popularny w elektoracie Lewicy niż jej liderzy.

PRZEMYŚLANA GRA

Tusk prowadzi więc bardzo przemyślaną grę, której stawką jest... sam Tusk. Likwidując konkurencję za cenę trzeciej kadencji PiS lub kompletnego chaosu w przyszłym Sejmie (co tylko pomoże jego planom), chce doprowadzić do sytuacji, w której nawet wyborcy niepałający do niego entuzjazmem uznają go za jedyną poważną alternatywę dla kandydata PiS. I tak spełni się zapowiedź, z którą dymisjonowano go w Europejskiej Partii Ludowej: „Wrócisz tu jako polski premier”, z tą tylko zmianą, że wróci jako prezydent. W końcu Tusk, o czym „obóz demokratyczny” rozpaczliwie nie chce pamiętać, raz już oddał Kaczyńskiemu Polskę dla swej prywatnej kariery. Dlaczego moralnie wzmożone lewicowo-liberalne salony sądzą, że nie może tego zrobić ponownie?



Wiceszef KE Frans Timmermans (w środku) w ubiegłym roku na konferencji w Katowicach wraz z marszałkiem województwa śląskiego Jakubem Chelstowskim (po lewej) i europoseł Jerzym Buzkiem (po prawej) ogłosił przyznanie województwu śląskiemu 5 mld euro z funduszy europejskich FOT. MAREK ZIMNY/EAST NEWS

Brukselski trik, czyli rozbiór państw



Andrzej Krzystyniak

Koncepcja finansowania regionów przez Unię Europejską z pominięciem polskiego rządu i poza jego kontrolą to niebezpieczeństwo rozbitcia kraju na regiony będące w jego granicach już tylko formalnie, na mapie

Postępująca od lat regionalizacja UE jest kluczowym celem organizacji łączącej większość krajów europejskich. Realizowana jest ona w kilku segmentach. Przede wszystkim w gospodarce – bo ta może okazać się najbardziej skuteczna w drodze do „wielkiej europejskiej rodziny regionów”.

Jednym z polskich regionów, oczywiście niejedynym, mającym szanse bezpośredniego połączenia z Europą jest Śląsk. Ten niezwykle ważny dla polskiej gospodarki region jest obszarem, nad którym z troską pochylają się Komisja Europejska i jej pokrewne organizacje, dostrzegając pilną

potrzebę jego transformacji z regionu przemysłu ciężkiego w region „nowoczesnych i przyjaznych środowisku technologii”. Komisja jest gotowa przeznaczyć na ten cel miliardy euro.

W grudniu ubiegłego roku, dwa tygodnie po utracie władzy w województwie śląskim przez Prawo i Sprawiedliwość, Katowice odwiedził wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans. Na konferencji prasowej wraz m.in. z marszałkiem województwa Jakubem Chelstowskim i Jerzym Buzkiem ogłosił przyznanie województwu śląskiemu 5 mld euro z funduszy europejskich na „restruk-

turyzację regionu”. Całkowicie pominięto polski rząd. Przedstawiciele UE opatowali się bezpośrednio do Katowic, mijając Warszawę, by oznajmić, że w zasadzie inna droga niż dekarbonizacja (dodajmy: bardzo kosztowna dekarbonizacja) dla regionów takich jak województwo śląskie nie istnieje. Warto przypomnieć słowa wicedyrektora generalnego ds. polityki regionalnej i Miejskiej Komisji Europejskiej, Normunda Poppensa, który oznajmił wprost, że „zielona transformacja” to dla całego Starego Kontynentu jedyny właściwy kierunek. Straszyl, że „prognozy dla środowiska naturalnego są zatrważające. Jeśli nic nie zrobimy, to za pół wieku połowa Europy znajdzie się pod wodą”. Katastroficzna wizja może przerażać. Jednak czy ktoś przy tej okazji zadał sobie pytanie, dlaczego to właśnie transformacja Śląska jest tak ważna w procesie ratowania Europy przed zatopieniem?

REGIONALISTOM W TO GRAJ

Pomysły, by w przekazywaniu funduszy unijnych regionom Polski pomijać władze centralne w Warszawie, pojawiają się od kilku lat w wypowiedziach niektórych polityków. Doskonale korelują one z wizją Śląska autonomicznego, głoszoną przez „regionalistów” skupionych wokół Ruchu Autonomii Śląska, niekryjących swej niechęci wobec państwa polskiego oraz polskich władz.

Były premier, obecnie eurodeputowany, Leszek Miller w 2021 r. wskazywał na pilną potrzebę przekazywania unijnych pieniędzy bezpośrednio, z pominięciem władz centralnych; jako pretekst podał „niewypełnianie przez polski rząd zasad praworządności”. Miller wskazał na pilną potrzebę stworzenia mechanizmów, które pozwolą na „przekazanie pieniędzy unijnych wprost do obywateli”.

Inny europoseł lewicy, jednocześnie gorący zwolennik Ruchu Autonomii Śląska, a przede wszystkim „niezależnienia Śląska od Polski”, Łukasz Kohut, w październiku ubiegłego roku opublikował list skierowany do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, w którym zaapelował wprost, „aby fundusze spójności były dostępne dla lokalnych publicznych instytucji, pozarządowych organizacji i innych prywatnych podmiotów”. Z uwagi na jego zdaniem „niestabilną sytuację w wielu regionach w Polsce spo-

Za pomysłem kierowania dotacji do regionów kryje się chęć pozbawienia kontroli państwa nad tymi obszarami

wodowaną przez niekompetentny rząd”. Niewiele ponad miesiąc później, 21 listopada 2022 r., PiS utracił władzę w Sejmiku Województwa Śląskiego.

Europoseł Jerzy Buzek podczas niedawnego (24–26 kwietnia) Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach, zapytany w czasie wywiadu w jednej z regionalnych stacji radiowych, czy jest możliwe pominięcie rządu w Warszawie w dofinansowaniu „transformacji Śląska” przez Unię Europejską, odparł bez wahania: „Nigdy nie mów nigdy”. Przyznał, że obecnie to niemożliwe, ale sugerował, że być może będzie możliwe w przyszłości. Buzek dodał, że „samorządowcy wręcz stanowczo domagają się takiego rozwiązania od UE i rządu”, o co, w jego opinii, warto się starać i stanowczo walczyć. W wypowiedzi Buzka zauważalny był inny bardzo ważny akcent – według niego rozwój Polski jest możliwy wyłącznie dzięki funduszom z UE. Porównał przy tym Polskę z Wielką Brytanią. Jego zdaniem Brytyjczycy pozbawili się niezbędnego dofinansowania, występując z UE, Polska zaś pozbawiła się tych funduszy sama – poprzez działania polskiego rządu, który nie spełnia postawionych przez UE warunków (tzw. kamieni milowych).

GROŹBA UTRATY KONTROLI

Pomoc dla regionów nie jest niczym nagannym. Wręcz przeciwnie, w większości przypadków pozwala podźwignąć obszary zacofane gospodarczo, podnosząc poziom życia mieszkańców. Zastanawiać jednak musi pomysł bezpośredniego kierowania pieniędzy unijnych do samorządów, miast, a może i organizacji. Nietrudno się domyślić, że kryje się za nim chęć pozbawienia kontroli państwa nad danym obszarem.

Wyobraźmy sobie, że koncepcja finansowania regionów przez Unię Europejską z pominięciem polskiego rządu i poza jego kontrolą się spełni. Śląsk stanie się finansowo niezależnym od Warszawy „zielonym regionem”, pełnym „nowoczesnych technologii”, bez „brudnego” przemysłu węglowego, gdzie jedyną pamiątką i symbolem transformacji stają się powstające w obiektach poprzemysłowych muzea, tak często wymieniane jako przykład udanej transformacji Muzeum Śląskie, powstałe na terenie dawnej kopalni Katowice. Otrzymujący miliardy euro Śląsk stałby się niezależny od Polski i tylko leżący w granicach Polski, a państwo administrowałoby jedynie niektóre dziedziny życia w regionie.

W październiku 2022 r., miesiąc przed konferencją ONZ dotyczącą klimatu, Europejski Komitet Regionów opublikował „apel o wzmocnienie roli władz szczebla niższego niż krajowy w globalnych negocjacjach w sprawie klimatu i o ich dalsze uznanie we wdrażaniu porozumienia paryskiego (rezolucja wzywająca UE do ustanowienia neutralności klimatycznej – przyp. A.K.). KR proponuje globalny system gromadzenia danych i monitorowania redukcji emisji dwutlenku węgla w miastach i regionach oraz wzywa państwa członkowskie i Radę UE do jednoznacznego poparcia uwzględnienia w konkluzjach COP27 pilnej potrzeby wielopoziomowej współpracy i pełnego zaangażowania władz lokalnych i regionalnych w jego wdrażanie”.

W konferencji COP27 uczestniczył marszałek województwa śląskiego, który przedstawił jednoznaczne stanowisko względem pilnego wprowadzania wspomnianej neutralności klimatycznej roli samorządów. Zdaniem Chełstowskiego „gdyby samorządy naprawdę miały kompetencje do wdrażania zmian, ich rola byłaby wpisana w poszczególne polityki i ustawy, a także gdyby było finansowanie na wspieranie neutralności klimatycznej w ramach samorządów, zmiany byłyby skuteczniejsze”. Postulował też, by regiony miały wpływ na realizację celów klimatycznych i otrzymywały finanse na takie działania. Te słowa należało odczytywać jako apel o kierowanie funduszy europejskich bezpośrednio do samorządów.

Trudno przewidzieć, czy pomysł finansowania regionów z pominięciem rządu zostanie zrealizowany i tym samym spełni się marzenie śląskich „regionalistów” o „niezależnieniu od Warszawy”. Dla Polski nie wróży to niczego dobrego, będzie niczym innym jak oddaniem kontroli nad kluczowym gospodarczo regionem w ręce Brukseli czy też Berlina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jerzy Karwelis

Aby zrozumieć, co oznaczać będzie dla nas koniec covidowej pandemii, trzeba przypomnieć sobie, co podczas niej wprowadzono i jak szybko rząd będzie mógł wszystko przywracać

Coraz częściej się mówi, że władze odwołają pandemię z końcem czerwca. To nie tylko nasz piastowski pomysł – tu Polska sporo odstaje od innych krajów, które się do tego przy mierzają, np. odwołując akcje szczepienne i resztki „maseczkowania”. Nawet niesławna WHO, zarządzająca chaosem ogłoszonej przez siebie pandemii, ustami swojego dyrektora, Michaela Ryana, wypuściła komunikat, który jeszcze niedawno byłby herezją: „Myślę, że zbliżamy się do punktu, w którym możemy spojrzeć na COVID-19 w taki sam sposób jak na grype sezonową”. No, no – czyli jednak grypa, co kiedyś było karane infamią zawodową lekarzy i ostracyzmem cywilów.

CO SIĘ SKOŃCZY?

No dobrze, niech będzie, że wreszcie to się skończy, a więc warto się zastanowić. Jak? Żeby to zrobić, musimy zacząć od początku, czyli przeanalizować, co nam zafundowano, żeby pospekulować, co nam mogą – jeśli zechcą – odłączyć z okazji końca pandemii.

Trzeba wrócić do źródeł: mamy 1 marca 2020 r., w niedzielę zbiera się komisja od ustawy covidowej, w Polsce nikt jeszcze nie umarł, ale kadry z Chin są niepokojące; WHO dopiero za 11 dni ogłosi pandemię, ale tak dziwnie na miękko, bo mówi, „że ta choroba może być określana jako pandemia”. Niemniej na podstawie jeszcze wtedy przeczuć i instynktu stadnego – inne kraje robią to samo – nasi idą na skróty. Do wyboru jest jeden z trzech stanów nadzwyczajnych – stan klęski żywiołowej pasuje jak ulał. Zawiera jednak pewne kłopotliwe zapisy. Jako że pochodzi z konstytucji i gwarantuje w czasie jego trwania minimum swobód obywatelskich, to poza tym zawiera w sobie konieczność

spowiadania się z poczynań rządu co trzy miesiące, tak by po takiej debacie móc ewentualnie zdecydować o kontynuowaniu tak wyjątkowego stanu.

Polski parlament idzie ręką w rękę na inne rozwiązanie, które pozbawia władze wykonawcze takich kłopotów. Ustawie covidowej z 2 marca 2020 r. sprzeciwia się tylko Konfederacja. Mamy do czynienia z porozumieniem ponad podziałami, symbolicznym, kiedy prawie cała scena polityczna akurat się porozumiała co do ponadkonstytucyjnego odebrania podstaw wolności obywatelskich. Ustawa covidowa czerpie źródło ograniczeń nie z konstytucji,

ale z ustawy o zapobieganiu i zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych z 2008 r. Parlament daje praktycznie nieograniczoną władzę organom wykonawczym, które zaraz zasypują kraj rozporządzeniami kasującymi życie społeczno-polityczne i zamykającymi ludzi po domach, a fabryki na głucho. Za nimi idą śmiertelne rekomendacje od dziwnych ciał medycznych, które na nieszczęście dla 250 tys. Polaków wprowadza służba zdrowia.

Ma to daleko idące konsekwencje, które widzimy dzisiaj, kiedy covidowy kurz opadł. Regulacje niższego rzędu, takie jak ustawy czy rozporządzenia, nie mogą być



Koniec pandemii

ponad zapisami konstytucyjnymi. To powoduje obecnie wysyp spraw sądowych wygrywanych przeciwko państwu, gdyż nakładane wtedy mandaty i wymuszone straty mają podstawową wadę konstytucyjną. Co ważniejsze: ze względu na temat, o którym dziś piszę – czyli co mogą wyłączyć, a co zostawić po ogłoszeniu końca pandemii – do tego, by wprowadzić takie ograniczenia, kiedy się chce, nie trzeba się będzie męczyć jak z tą ustawą covidową. Oto rozporządzenie, które stawiało cały świat na głowie, i to we wczesnej fazie (czyli z 20 marca 2020 r.), nie powołuje się na ustawę covidową, ale na wspomnianą ustawę z 2008 r. o chorobach zakaźnych.

Tak samo postąpiono z kolejnym dziwołaniem, kiedy po ogłoszeniu stanu epidemii poluzowano ją 12 maja 2022 r. na „stan zagrożenia epidemiologicznego”. Tu też podstawą prawną była ustawa z 2008 r. O co więc chodzi? Otóż o to, że ponowne włączenie maszynki pandemicznej nie będzie wymagało nawet osobnej ustawy, wszystko jest pod prądem, maszyna jest na „stand-by” i gdy tylko się wrzuci jakiś pandemiczny żeton, zadziała jak kiedyś.

KIEDY JEST PANDEMIA, A KIEDY JEJ NIE MA?

Trudno się powstrzymać, by nie pokazać całości paranoi danego zjawiska. Kiedy ogłaszano te obostrzenia, nikt nie był zakażony, a tym bardziej nikt nie umarł. Można powiedzieć, że chodziło właśnie o prewencję. Wiele się potem mówiło o statystyce, mierzeniu fali pandemii testami, zgonach „na COVID” i „z COVID”. Przy tym zamieszaniu były tylko jednego rodzaju dane, których można się było obiektywnie trzymać – zgony ogółem. Bo trzeba przyznać, że pal tam lichy falę wywołaną testami. Ale jak na zgonach nic się nie rusza, to jaką mamy pandemię? A kiedy wprowadzano te przepisy, w danych dotyczących zgonów nic się nie działo. Zdziało się, gdy zaczęliśmy kombinować ze służbą zdrowia, ujednolicić szpitale, (nie)leczyć teleporadami.

Tak, wtedy ruszyło, ale to były fale nie wirusa, ale długu zdrowotnego, który sobie narobiliśmy nadmierną reakcją na

koronawirusa. Do tego jasno widać, że fale wywoływały (i gasiły) testy, których wzrost liczby zawsze poprzedzał fale zakażeń. Popatrzmy: w marcu 2020 r. mamy ok. 10 tys. testów dziennie, w kwietniu 2023 r. – 1,2 tys. A zakażeń np. 13 marca 2020 r. mieliśmy 68, zgonów „z COVID” – 2. Natomiast 28 kwietnia, kiedy piszę ten tekst, mamy 342 zakażenia i 6 zgonów. To wtedy testowali prawie 10 razy więcej i wynik mieli pięć razy mniejszy niż my dzisiaj, kiedy testujemy prawie 10 razy mniej, a mamy pięć razy więcej zakażonych. To teraz powinniśmy mieć pandemię, a właśnie ją zamykamy.

ZŁOGI POZOSTANĄ

Będziemy mieli pewne spadki jeszcze długo po tym, gdy jakiś władca ogłosi dobrą nowinę powrotu do „nowej normalności”. Wystarczy popatrzeć na fundusz covidowy. W ogóle finanse w COVID-19 to szalenie interesująca historia. Otóż w roku 2020, czyli apogeum covidowego szaleństwa, szpitale budowanych na stadionach, dodatkach covidowych dla służby zdrowia, które spowodowały brak zainteresowania personelu innymi chorobami niż hicior stulecia (co walenie przyczyniło się do tego, że Polska przoduje w światowym rankingu ponadnormatywnych śmierci), zanotowaliśmy wyjątkowy fenomen. Otóż po tych wszystkich fajerwerkach finansowych zostało w NFZ ponad 10 mld zł superaty. Chłopaki szastali, jak mogli, a i tak im jeszcze zostało. Spokojnie, nie zmarnowało się. Pierwsza faza była po taniości, wszelkie zaskórniaki pożarła akcja szczepionkowa. Ale kto zabroni bogatemu kupować po dziewięć dawek na głowę dwudawkowej szczepionki?

Wróćmy do funduszu. Został powołany do administrowania przez BGK i nabierał tyle panicznej kasy, że, po pierwsze, nie została wydana, a po drugie – jako że takie dobro nie może się zmarnować z powodu wycofania się COVID-19 – przeznaczono tę kasę na niecovidowe wydatki. Rząd właśnie ogłosił, że z funduszu przeznaczy 25 mld zł na dopłaty do cen energii. Tak oto spełniło się chore proroctwo, że to wszystko Putin: sfinansował grono polskich płaskoziemców do siania szepienego zwątpienia, ci nabrali Polaków, którzy powymierali, zostało więc trochę kasy, a jak podniósł nam ceny energii przez wojnę z Ukrainą, to my mu na to odpowiedzieliśmy zaoszczędzonymi w ten

okrutny sposób pieniędzmi, waląc tarczą covidową w ruski gaz. Przypomina to mieszanie w takich funduszach jak rezerwa demograficzna, która zasila przez całą III RP jakieś wymysły władz, czego efekty widać po stanie polskiej demografii.

PANDEMIA UMIEDZYNARODOWIONA

Ważne, by na końcu rozważań o scenariuszach zamykania covidowej budy wspomnieć o leśniczym, który może wygonić partyzantów z lasu. Oto bowiem trwa już od dwóch lat proces przekazywania władzy państw na rzecz duetu WHO/ONZ (na razie) w przypadku światowej pandemii. I jeśli wszystko dobrze (czyli źle) pójdzie, to już nie będzie żadnych lokalnych decyzji dotyczących pandemii i obostrzeń. Będziemy mieli zarządzanie na poziomie światowego ministerstwa zdrowia. To ono będzie sobie włączało, co chce i gdzie chce na całym świecie lub w wybranych regionach. Władze lokalne, które właśnie oddają swą decyzyjność w takich wypadkach niewybieralnym ciałom międzynarodowym, skończą mniej więcej jak nasze instytucje dopuszczające szczepionki covidowe: będą tłumaczyć na polski gotowe decyzje przesłane faksem.

Nie będzie wielkiej radości, spektakularnych fajerwerków. A tak na nie czekaliśmy, kiedy nas zamknięto na dwa, trzy tygodnie wiosną 2020 r. Teraz, po trzech latach tej miesięcznej pandemii, kopary już opadły, widzimy tę nową, wcale nie-normalną rzeczywistość i przeczuwamy jej inny niż pandemiczny bilans.

Z drugiej strony widać, że władzom nie będzie się spieszyć do spektakularnych zamknięć, bo te implikują próby podsumowań, które mogą być (tak jak w innych krajach) nieciekawe. Władza już sobie szykuje podkładki, czyli badania własne, pod polityczne – dodajmy – tezy. Co tam będzie, to się można domyśleć, chociażby po tym, że publikacja oficjalnego raportu na temat przyczyn naszego światowego przewodnictwa w zgonach ponadnormatywnych została przełożona na po wyborach. I może być tak, że całe wycofanie się z COVID-19 będzie na końcu oznaczało, że nie trzeba będzie nosić maseczek w aptekach (a nosił kto?), a w szpitalach i przychodniach zostaną. I taki będzie wielki, acz żałosny koniec światowej pandemii made in Poland.



FOT. ADRIAN STOK

Populistyczny „Laptop+”



Łukasz Zboralski

Polacy zrzucą się na laptopy dla czwartoklasistów za ponad miliard złotych. To będzie zmarnotrawienie publicznych pieniędzy przez rząd, bo nie zmieni wiedzy i umiejętności 11-latków. Wiemy to od lat z badań polskiego systemu edukacji

Centrum Obsługi Administracji Rządowej zebrało już oferty w przetargu na 394 346 laptopów dla uczniów klas czwartych szkół podstawowych. Rząd zaplanował, że wyda na to prawie 1,2 mld zł (dokładnie: 1 183 026 169,62 zł).

Zakup jest prosty – jak to w polskich przetargach – decydującym kryterium jest bowiem cena. Wiadomo więc, że najwięk-

szą szansę na ogromny kontrakt mają m.in. firma X-kom, która zaoferowała laptopy Asus w cenie 2952 zł za sztukę, oraz spółka MPD Polska ITS, oferująca cenę 2998,74 zł za jeden komputer.

Jak potężny jest ten rządowy kontrakt, najlepiej widać po dotychczasowych wygranych przetargach. X-kom w latach 2021–2022 wygrał zamówienia opiewające w sumie na 1,6 mld zł i najwięcej zarobił na zamówieniu dla Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu – blisko 800 mln (dane za Przetargi.gospodarka.pl).

Z kolei spółka MDP Polska ITS, której prezesem jest były dyrektor sprzedaży DELL, od lat świetnie obstawia przetargi dla instytucji publicznych. W latach 2016–2022 wygrała zamówienia na ponad 5 mld zł (dane za Przetargi.gospodarka.pl). Najlepsze oferty składała m.in. w Ministerstwie Edukacji i Nauki, Polskiej Agencji Kosmicznej, Urzędzie Transportu Kolejowego, Krajowym Biurze Wyborczym, Zakładzie Emerytalno-Rentowym

MSWiA, Kancelarii Senatu, Urzędzie ds. Cudzoziemców, Polskim Radiu (Radio dla Ciebie), Muzeum Narodowym w Warszawie, Ministerstwie Środowiska i Klimatu, Transportowym Dozorze Technicznym czy Agencji Rezerw Materiałowych.

CZYJ ZYSK?

Skoro laptopy – jak reklamuje to rząd – mają trafić do czwartoklasistów, to sugeruje się, że mogą poprawić sytuację edukacyjną tych dzieci. Szybkie zajrzenie w dane z badań edukacyjnych rozwiewa nadzieje, że taki cel zostanie osiągnięty. Są to zresztą badania, które pod nadzorem MEiN wykonywał Instytut Badań Edukacyjnych. Minister edukacji ma więc w szufladzie dowody na to, że ten gigantyczny wydatek nic nie zmieni w polskiej edukacji. Dlaczego?

Mówił o tym już raport z badania „Kompetencji komputerowych i informacyjnych młodzieży w Polsce” (ICILS) z 2013 r. (w późniejszej edycji badania

w 2018 r. Polska nie wzięła udziału). Badanie obejmowało ówczesnych uczniów klas drugich gimnazjów, czyli dzisiejszych ósmoklasistów.

Wynikało z niego – i to się raczej w polskich szkołach nie zmieniło – że technologie informacyjno-komunikacyjne stosuje się z oczywistych powodów prawie wyłącznie na zajęciach z informatyki. Na innych zajęciach z komputerów nie korzystało ponad 70 proc. uczniów. Po prostu nauczyciele, mimo całego swojego entuzjazmu do nowych technologii, nie potrafili ich wpłatać w nauczanie. Mogą dostać najbardziej wyszukany sprzęt, a i tak niewiele z nim zrobią (to zresztą było już dobrze widoczne na etapie zasypywania polskich szkół tablicami interaktywnymi).

Niestety, nawet zajęcia z informatyki nie zapewniają w Polsce dobrych kompetencji cyfrowych. Słabym ogniwem też nie jest sprzęt. Są nim nauczyciele, którzy zamiast uczyć dzieci myślenia algorytmicznego (mając do dyspozycji darmowe platformy do nauki programowania takie jak Scratch), miesiącami uczą je... rysowania w programie Paint czy tworzenia rozmaitych obramowań tabel w Wordzie (czy ktokolwiek robi kolorowe ramki z różnymi krojami linii w swojej pracy zawodowej?!).

Stąd i miażdżący wynik badania ICILS sprzed dekady: „Analiza zebranych danych prowadzi do wniosku, że umiejętności młodzieży silniej wiąże się z charakterystykami indywidualnymi niż z tym, co dzieje się w szkole”. A mówiąc tak, jak badaczom nie wypadało: polscy uczniowie uczą się nowych technologii sami, nie dzięki nauczycielom.

W DOMU? BĘDĄ GRAĆ

W tym kontekście wydawać by się mogło, że dziwny zwrot w komunikacji ministerstwa może ratować ten projekt. Oto bowiem minister edukacji pod koniec kwietnia zaczął wyjaśniać, że „laptopy dla czwartoklasistów” to w ogóle nie będą laptopy do używania w szkołach. – Po to przeznaczamy środki finansowe na doposażanie szkół, po to są pracownice komputerowe, by w szkołach dzieci korzystały z tych komputerów, a te laptopy są do domu. Te laptopy będą własnością rodziców tych dzieci, więc one są do użytku domowego – mówił Przemysław Czarnek w RMF FM.

To zupełne kuriozum. Z kilku powodów. Pierwszy jest taki, że biorąc pod uwagę dane nawet sprzed dekady, polscy uczniowie takiego sprzętowego wsparcia osobistego wcale nie potrzebują. Otóż, jak wskazywał raport ICILS, zdecydowana większość badanych uczniów „ma dostęp do komputerów stacjonarnych w domu (86 proc.), 75 proc. ma dostęp przynajmniej do jednego urządzenia przenośnego (żadnego komputera w domu nie ma tylko ok. 1,3 proc.), prawie wszyscy (97 proc.) mają dostęp do Internetu”. Rząd podaruje więc laptopy dzieciom, z których przynajmniej większość ma już w domu komputery.

Przypomnijmy, że badanie ICILS wykonywano na długo przed tym, gdy rodzice otrzymali od kwietnia 2016 r. od rządu Zjednoczonej Prawicy comiesięczny dodatek w kwocie 500 zł. Do końca ubiegłego roku każdy rodzic otrzymał 78 razy 500 zł, co daje kwotę 39 tys. zł. Czy można z niej było wykroić 2,5 tys. zł na przenośny komputer?

**Już dekadę temu
86 proc. uczniów
miało w domu komputer,
a 97 proc. dostęp do Internetu**

A przecież to nie wszystko. Od dawna wiele gmin przy wsparciu UE finansowało najuboższym rodzinom nie tylko sprzęt komputerowy, lecz także darmowy dostęp do Internetu (inna sprawa, że nikt nie sprawdzał, czy rzeczywiście pozwoliło to wydobyć się ludziom z bezrobocia czy po prostu sprowadzało się do przesiadywania na Facebooku). Dodajmy do tego ostatni, równie nietrafiony program „Granty PPGR – Wsparcie dzieci i wnuków byłych pracowników PGR w rozwoju cyfrowym”, w którym 30 lat po likwidacji PGR-ów rząd nagle zaprzagnął rozdać po laptopie za 2,5 tys. zł trzeciemu pokoleniu, które nawet nie wie, czym były te Państwowe Gospodarstwa Rolne (i na które od siedmiu lat rodzice dostają po 500 zł miesięcznie). Wydano na to blisko 600 mln zł.

Machając nawet ręką na te dane, które świadczą o bezcelowości kupowania laptopów tym, którzy mają kompu-

tery w domu, trzeba też zauważyć, że wyposażenie ich w ten sprzęt w niczym im nie pomoże w sferze edukacyjnej. A którą inną powinien finansować resort edukacji?

To prawda, że polscy 15-latkowie uczą się korzystania z nowoczesnych technologii sami w domu. Czego jednak się nauczyli? Z badania ICILS wynikało, że zaledwie 13 proc. z nich było w stanie zauważyć, iż dostali e-mail z domeną pocztową różniącą się od domeny, pod którą podpisywał się nadawca. 34 proc. z nich dostrzegło zagrożenie związane z niespersonalizowanym nagłówkiem wiadomości e-mail. A zaledwie 55 proc. potrafiło przejść na adres URL wpisany czystym tekstem (nie jako hiperłącze).

Dobrze wiemy, co dzieci robią z komputerami. Osiemdziesiąt osiem procent wykorzystuje je do komunikacji przynajmniej raz w tygodniu (po dekadzie na pewno tę funkcję przechwyciły już w większości smartfony i komunikatory na nich instalowane). Bardzo często uczniowie ze sprzętu w domu korzystają dla rozrywki: gier, oglądania filmów, słuchania muzyki.

– Nawet przy kształceniu twardych programistycznych umiejętności na sprzęt patrzmy na końcu – komentuje Kamil Sijko, ekspert z zakresu edukacji programistycznej, jeden ze współautorów raportu ICILS 2013. – Tymczasem w Polsce rozmawiamy o punktowym zakupie sprzętu dla jednego rocznika, zamiast o tym, jak wesprzeć nauczycieli, by lepiej nauczali, jak zmieniać program nauczania, by metodami pracy na informatyce nie było wklejanie kserówkę do zeszytów.

Wszystko wskazuje więc na to, że minister Czarnek zaprzagnął wydać 1,2 mld zł na to, by polscy 11-latkowie dostali zupełnie nowe laptopy, z których pomocą będą się głównie w domu „rozrywać”. Szkoda tych pieniędzy. Taki sam – przedwyborczy – zysk polityczny można było osiągnąć na wiele innych sposobów. Czy równie pojętny nie wydałby się wyborcom np. program darmowych wejść do muzeów dla młodych ludzi do 25. roku życia, który praktykowany jest w niektórych krajach UE?

Zamiast takiego programu będziemy mieli rozdawnictwo jeszcze szersze, bo oprócz laptopów dla czwartoklasistów rząd zapowiedział też bony dla nauczycieli – każdy ma móc kupić sobie komputer za 2,5 tys. zł.

Dominika Kulczyk podczas konferencji prasowej dotyczącej ubóstwa menstruacyjnego

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Okresowa rewolucja



Zuzanna Dąbrowska

Gdy rozbierze się na czynniki pierwsze akcję tzw. Okresowej Koalicji, wygląda ona na kolejną odsłonę walki skrajnych feministek z wymagowanym patriachatem

Wierzmy, że ten rok będzie początkiem kompleksowych zmian w życiu publicznym i społecznym w Polsce w zakresie walki z ubóstwem i wykluczeniem menstruacyjnym, a kolejne lata przyniosą długofalowe efekty naszych działań” – pisały w manifestie z marca 2021 r. działaczki organizacji kobiecych, zawiązując Okresową Koalicję. Inicjatywie patronuje Kulczyk Foundation, kierowana przez Dominikę Kulczyk, córkę zmarłego w 2015 r. miliardera Jana Kulczyka. Według okresowych aktywi-

stek w Polsce temat miesiączki wciąż jest tabu i wpisuje się w szeroko pojęte ignorowanie potrzeb kobiet. W związku z tym podniesiono potrzebę szerzenia tzw. edukacji menstruacyjnej oraz walki z ubóstwem menstruacyjnym.

Działania Koalicji zaowocowały pracami nad ustawą, która jest określana jako „pierwszy polski projekt ustawy dotyczący menstruacji”. Dokument nie jest jeszcze gotowy, ale wiadomo, że będzie zakładać wprowadzenie bezpłatnego dostępu do środków menstruacyjnych oraz edukacji na temat zdrowia menstruacyjnego we wszystkich polskich szkołach. „Zapewnienie dostępu do środków higieny oraz edukacji dotyczące cyklu menstruacyjnego pozwoli im nie tylko godnie przeżyć czas miesiączkowania, lecz także uchroni przed opuszczaniem zajęć lekcyjnych z powodu miesiączki. Odpowiednia edukacja pozwoli natomiast wzmacniać ich pewność siebie i budować wspierające środowisko wśród rówieśników, a tym samym niwelować tabu i stygmatyzację towarzyszące miesiączce” – czytamy na stronie takdlapodpasek.

pl. Okresowa Koalicja zaznacza, że nie jest to kwestia polityczna, a kwestia praw człowieka. Wskazuje na przykłady Anglii, Francji, Szkocji czy Nowej Zelandii, gdzie takie przepisy i programy już istnieją.

DZIWNE WNIOSKI

Temat szybko i chętnie podchwyciły lewicowo-liberalne media. Serwis Gazeta.pl wspólnie z Kulczyk Foundation zainicjowały kampanię społeczną „Okres w moim życiu”. Podkreślono, że „celem akcji jest normalizacja tematu menstruacji oraz zaapelowanie o wprowadzenie do polskich szkół darmowych środków higieny osobistej i edukacji menstruacyjnej”. W Dniu Kobiet, 8 marca, w największych miastach w Polsce pojawiły się plakaty z wizerunkami ambasaderek akcji (m.in. aktorki Katarzyny Figury oraz raperki Young Leosi). Można było też zobaczyć proste w przekazie plakaty z jednym słowem „okres”. W podserwisach tematycznych portalu publikowano w marcu materiały dziennikarskie na temat miesiączki. To np. felieton 62-letniej prezenterki TVN Doroty Wellman,

która sama zauważyła, że z racji na wiek pamięta, „jak w czasie okresu używano waty i ciętej ligniny. I to zdobytych z trudem. Najgorsza była wata, w kolorze szaroburym. Zupełnie niehigroskopijna”. „W stanie wojennym milicjant zatrzymał mnie z torbą nielegalnej bibuły. Na szczęście na wierzchu położyłam podpaski. Jak milicjant to zobaczył, spiekl raka i puścił mnie wolno. Nawet nie zajął do torby. Podpaski – nasza broń kobieca” – podkreśla Wellman. Jaką wartość dla nastoletnich dziewcząt, które mają być przecież rzekomo podmiotem troski Okresowej Koalicji, ma tekst dojrzałej kobiety, wspominającej PRL, nijak odnoszący się do realiów? Dobre pytanie.

Kolejne pytania pojawiają się, gdy pochylimy się nad wynikami badań przeprowadzonych przez fundację Dominiki Kulczyk, będących podstawą działań Koalicji. Według nich 67 proc. Polek przyznaje, iż zdarzyło im się, że podczas miesiączki nie miały dostępu do podpasek lub tamponów w szkole. W szkolnych sklepikach nie zawsze towar ten jest dostępny (a powinien być; to zdecydowanie ważniejsze niż energetyki i chipsy). Nie zawsze też, co autorka wie z własnego doświadczenia, pamięta się, że przyszedł ten czas miesiąca i trzeba mieć przy sobie środki higieniczne. Z tej więc perspektywy faktycznie dobrze, aby w damskich łazienkach podpaski po prostu były. Jednak czy koniecznie niezbędna jest w tym celu ustawa? Wydaje się, że to kwestia na tyle prosta i jednocześnie niezbyt obciążająca dla budżetu szkoły, aby to właśnie szkoła dała uczniom ten komfort.

Kolejny wniosek z badania głosi, że 64 proc. Polek i Polaków uważa, że środki menstruacyjne w szkołach powinny być dostępne za darmo. Z jednej strony, można się zgodzić. Koszt niewielki. Z drugiej jednak, z powodu właśnie stosunkowo niskiej ceny środków higienicznych (paczka 16 tamponów kosztuje średnio w drogerii 14 zł; na jedną miesiączkę zużywa się ok. 25 tamponów, jednak to oczywiście kwestia zupełnie indywidualna), pojawia się pytanie, czy ubóstwo menstruacyjne (brak środków na zakup podpasek i tamponów) jest faktycznie problemem tak ogromnym, jak przekonują kobiece aktywistki. Innym argumentem Okresowej Koalicji (trudno stwierdzić argumentem za czym lub przeciw czemu) jest to, że 54 proc. nastolatk

przynajmniej raz nie poszło do szkoły z powodu okresu. Tę informację trudno skomentować inaczej jak: zdarza się. Jeżeli ktoś odczuwa silny ból, a ten okresowy potrafi taki być, to powinien mieć prawo do odpoczynku. Istnieje przecież możliwość uzyskania zwolnienia lekarskiego. Co istotne, w przypadku uczennic zwolnienie z zajęć mogą wypisać rodzice.

Ostatnie dwa wyniki z badania dotyczą odpowiedzialności nauczycieli i rodziców właśnie, choć takie stwierdzenie nie pada (mówienie o roli indywidualnego wychowania nie pasuje do wizji patriarchalnego państwa stworzonego przez mężczyzn dla mężczyzn). Wskazuje się, że 35 proc. nastolatek nie jest przygotowanych na nadejście pierwszej miesiączki, 21 proc. musiało zwolnić się ze szkoły z powodu braku środków higieny menstruacyjnej. To szkoła (poprzez lekcje przyrody, a później biologii i wychowania do życia w rodzinie) oraz rodzice (poprzez opartą na zaufaniu rozmowę) są tymi, którzy mają przygotować dziewczynkę do rewolucyjnego, ale zupełnie naturalnego przecież etapu jej życia, którym jest miesiączkowanie. Ponadto, jeśli uczennica musi zwalniać się z zajęć, ponieważ nie ma podpasek, to niekoniecznie jest to efekt opresyjnego systemu, który krzywdzi kobiety (choć, jak pisałam wcześniej, dobrze byłoby, aby środki higieniczne w łazienkach szkolnych były), ale np. zwykłego zapominalstwa i faktu, że akurat żadna z koleżanek nie może jej poratować. Raport fundacji Dominiki Kulczyk zawiera też inne, mocno zaskakujące informacje – 21 proc. ankietowanych wierzy rzekomo, że podczas okresu... nie można piec ciast i kisić ogórków.

TO TYLKO PRETEKST

Gdyby chciał podejść do tej kwestii uczciwie, faktycznie rozwiązując problem, Okresowa Koalicja powinna skupić się na dostępie do podpasek w szkołach i przypominaniu, że zawsze warto mieć choć jedną przy sobie. To jednak nie spełniłoby celu ideologicznego, który wydaje się kryć za pełną troski fasadą. Przez wypowiedzi samej Kulczyk przebijają bowiem dobrze znane, feministyczne postulaty, głoszone przez panie spod znaku czerwonej błyskawicy. Promując akcję, bizneswoman stwierdziła, że „bez miesiączki nie ma życia, to dzięki niej trwamy jako rodzaj

ludzki” oraz że „pochodzimy z waginy”. Tymczasem jeden z proaborcyjnych protestów odbył się pod hasłem „Nie ma niepodległości bez macic wolności”. Zbyt podobne, by spać spokojnie.

Warto też zwrócić uwagę, które organizacje zainicjowały i wspierają Koalicję – to m.in. promujące LGBT oraz powszechny dostęp do aborcji Plakacjari, zaangażowany w organizację Marszów Równości Instytut Równości, Grupa Ponton, prowadząca zajęcia z edukacji seksualnej typu B (która oferuje dzieciom antykoncepcję zamiast wstrzeмиęźliwości seksualnej), czy Magazyn Szajn, proponujący czytelnikom teksty o np. „ceramice hydrofeministycznej”.

Ponadto rzekoma walka o „okresową równość”, co jest przecież naturalną częścią radykalnego feminizmu, ma charakter „antypatriarchalny”, czyli wprost antymęski. W historii opowiedanej społeczeństwu przez okresowe aktywistki kobiety wstydzą mówić się o okresie, ponieważ spotykają się z męskimi kpinami, a w najlepszym wypadku z niezrozumieniem. Dowodem na to ma być historia, którą Kulczyk przytoczyła w wywiadzie dla portalu Gazeta.pl. – Na radzie nadzorczej mówię tak: szanowni panowie, ja dzisiaj mam okres. Mogę więc być nieco mniej skupiona i może być tak, że będę musiała nagle przerwać nasze obrady albo w ogóle wcześniej je zakończyć. Początkowo panowie byli bardzo zdziwieni, wpadali w konsternację, a ich twarze przybierały barwę buraka – wspomina bizneswoman.

W jednym z instagramowych wpisów nawołuje z kolei: „My, kobiety, musimy się wzajemnie wspierać i same o siebie zadbać. Jesteśmy kreatorkami i mamy w sobie tyle samo mocy, co mężczyźni. Trzeba to mówić głośno i ja mam w sobie taką potrzebę. Kobieta może być przedsiębiorczynią, sportowczynią czy prezydentką. Może działać w tych samych obszarach, co mężczyzna. I tak jak on – odnosić sukcesy i ponosić porażki”. Te wypowiedzi jasno pokazują, że Okresowa Koalicja nie została zawiązana, aby budować bardziej komfortową przestrzeń dla dojrzewających dziewczynek, ale aby podsycać wojnę płci, w której ideologicznie poprawna jest wygrana tylko jednej z nich. Miesiączka to pretekst.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MARTA SUDOWSKA



Z Jackiem Piekara, pisarzem
rozmawia Radosław Wojtas

Wciąż z przyjemnością piszę nowe książki

RADOSŁAW WOJTAS: Ma pan w tym roku powody do świętowania. Mija 20 lat od ukazania się pierwszej książki z inkwizytorskiego cyklu...

JACEK PIEKARA: Jest jeszcze jeden jubileusz, w który aż nie chce mi się wierzyć. We wrześniu 1983 r., czyli równo 40 lat temu, ukazały się moje dwa premierowe opowiadania. Jedno w „Problemach” – „Zakłęte miasto”, a drugie w „Fantastyce” – „Wszystkie twarze szatana”. Miałem wtedy 18 lat i było to dla mnie ogromne przeżycie! Co do 20 lat od wydania pierwszej książki z serii inkwizytorskiej, to dopiero pan zwrócił mi na to uwagę. Ależ ten czas leci!

Niedawno do księgarń trafiła najnowsza, najgrubsza w pańskiej karierze powieść „Ja, in-

kwizytor. Dziennik czasu zarazy”. I superprodukcja z udziałem kilkudziesięciu lektorów.

Reakcja na słuchowisko jest fantastyczna, a na stronie Audioteki pojawiło się kilkaset komentarzy. Superprodukcja momentalnie stała się też numerem jeden na liście bestsellerów. Bardzo się cieszę, że Audioteka zaproponowała mi tak fantastyczny format, zwłaszcza że, cytując Ferdka Kiepskiego: „To, proszę pana, nie są tanie rzeczy”.

Wielu słuchaczy ubolewało, że to nie Janusz Zadura odgrywał tym razem główną rolę.

Janusz Zadura pojawił się również, chociaż rzeczywiście w mniejszej roli, ale jak zwykle odegrał ją wspaniale. Nato-

miast w roli głównej wystąpił Leszek Lichota (żartobliwie mówię o nim, że zanim został Znachorem, to był Inkwizytorem) i moim zdaniem ta interpretacja postaci jest również znakomita. Inna od dotychczasowej, ale zarówno Janusza Zadury, jak i Leszka Lichoty słucha się fantastycznie.

Odsłuchał pan całości?

Kiedy książka trafia do księgarń, to jej autor najczęściej ma jej serdecznie dość. Bo przecież wcześniej poświęcił długie godziny pisania, nanoszenia poprawek, pracy z redaktorem, czytał każdą stronę wiele razy... I generalnie ma się ochotę odpocząć od danego tytułu. Kiedy jednak

na stronie Audioteki ukazało się słuchowisko, to od razu przesłuchałem je w całości – a to aż 15,5 godziny! Mimo że doskonale znałem fabułę, słuchałem z zainteresowaniem, gdyż dla artysty zawsze jest fascynujące, jak inny artysta – reżyser czy aktor – widzi jego dzieło. Jak je zrozumiał, jak zinterpretował, jakie nadał mu nowe cechy czy jakich cech go pozbawił. Mówiłem już o Leszku Lichocie i Januszu Zadurze, ale jestem też zachwycony drugą główną rolą i występem Jarosława Gajewskiego. Fantastyczny pokaz aktorskich umiejętności zrobili również dwie panie – Marta Wągrocka i Karolina Bacia.

Nietrudno się domyślić, co było inspiracją do powstania „Dziennika”. W posłowie do książki pisze pan, że jest to przede wszystkim powieść obyczajowo-kryminalna, jednak nie sposób nie zauważyć, że jest to także pański komentarz dotyczący zjawisk i zachowań obserwowanych podczas pandemii COVID-19.

Kiedy czytamy wspomnienia świadków czy relacje historyków z czasów różnych epidemii, poczynawszy od antycznej Grecji i zarazy ateńskiej, poprzez epidemię czarnej śmierci aż do czarnej ospy i teraz COVID-19, możemy zauważyć, że mijają wieki, a pewne ludzkie obawy i zachowania są niezmiennie. Zmienili się jako społeczeństwo w dużo mniejszym stopniu, niż mogłoby się nam to wydawać. Mamy niezwykle osiągnięcia techniczne, nasz świat stał się industrialny, nowoczesny, zmieniły się pojęcia czasu i przestrzeni dla współczesnego człowieka w stosunku do pojęcia czasu i przestrzeni, które miał np. człowiek średniowiecza, ale pewne lęki, obawy, zachowania społeczne pozostały w zasadzie takie same. Podobne są również rygory prawne, wprowadzane, by chronić obywateli. A jeśli chodzi o obywateli, to wielu z nich szuka nadzwyczajnych cudownych czy magicznych recept i bez trudu zawierza szarlatanom. I tysiąc lat temu, i dziś.

Czy było coś, czego – mimo znajomości historii – się pan nie spodziewał; coś, co pana zaskoczyło?

Zaciekłość i fanatyzm niektórych ludzi. Rozumiem, że można się wściekać na kogoś, kto chce nas siłą zmusić do przyjęcia szczepionki, jeśli uważamy, że to trucizna, ale nie rozumiem nienawi-

ści skierowanej przeciwko tym, którzy szczepionkę przyjąć chcieli. Tak samo jak nie rozumiem ataków, często fizycznych ataków, na osoby, które nosiły maseczki. Z drugiej strony zdarzały się osoby, które życzyły śmierci wszystkim nieszczepionym. Tak więc skala fanatyzmu mnie zaskoczyła, choć trzeba przyznać, że był on podsycany w mediach społecznościowych. Zarówno przez trolli, jak i przez rosyjską agenturę, która wymyślała np. niestworzone historie o całych rodzinach czy całych wioskach, które wymarły pod wpływem wściecia szczepionki. Albo o tym, że szczepionki służą wprowadzaniu do ludzkiego ciała pasożytów.

Jakie plany po „Dzienniku”? „Płomień i krzyż 4”?

Czwarty tom „Płomienia i krzyża” już jest gotowy, ale musi jeszcze chwilę poczekać na premierę, bo nie wydaje się w tym samym czasie dwóch książek tego samego autora, żeby ze sobą wzajemnie nie konkurowały.

To jednak nie wszystko. W tym roku przeprowadzimy bardzo ciekawy eksperyment. W Empik Go ukaże się superprodukcja, słuchowisko ze świata inkwizytorskiego „Mroczne wieki. Brytania”. Nie będzie to opowieść o moim głównym bohaterze Mordimerze Madderlinie, a akcja będzie się toczyła dużo wcześniej, ok. X i XI w. Na terenie Brytanii trwa wojna między słabymi jeszcze wówczas inkwizytorami a potężnymi sabatami czarownic, które rządzą rozdrobnioną Brytanią przy pomocy lokalnych feudałów, służącym im dla zysku lub ze strachu. Czyli zobaczymy odwróconą sytuację: to nie inkwizytorzy są myśliwymi ścigającymi zwierzyne w postaci heretyków, czarownic, wiedźm, demonologów i odstępców, tylko inkwizytorzy żyją w strachu, pozamykani w fortecach. Forma słuchowiska przez rok będzie jedyną formą dla tej książki, gdyż nie ukaże się ani wersja papierowa, ani wersja e-book. Chcemy sprawdzić, w jaki sposób rynek przyjmie opowieść ze świata inkwizytorów, która będzie wyłącznie słuchowiskiem.

A inkwizytor Mordimer Madderlin, bohater znany z kilkunastu już książek, kiedy powróci?

Mordimer Madderlin kolejne przygody przeżyje w powieści „Miasto Słowa Bożego”, w której trafi do ludnego,

bogatego miasta, w którym rozpoczynają się rządy reformatorów oraz rewolucjonistów. W skrócie można powiedzieć, że zobaczymy tam połączenie Girolamo Savonaroli z Marcinem Lutrem. Reformatorzy wzywają do oczyszczenia Kościoła z nieprawości i do skromnego, pobożnego życia. A to oczywiście nie spodoba się Watykanowi. I w środku tego właśnie sporu, przypadkowo, wyłduje główny bohater, będący w trakcie delikatnej misji prowadzonej dla jednego z magnatów. Powieść ukaże się w wydawnictwie Zysk i Spółka, być może jeszcze na Gwiazdkę.

Czytelnicy często pytają o „Szubienicznika” – obyczajowo-kryminalną trylogię z czasów sarmackich, która nie doczekała się do tej pory trzeciego tomu. Doczeka się?

Tak! Zawarliśmy porozumienie z wydawnictwem Zysk i Spółka, które nie tylko opublikuje trzeci tom, lecz także wznowi dwa poprzednie. Zapewne również ukaże się wydanie specjalne łączące wszystkie trzy części w jednym, ekskluzywnym wydaniu.

Rok jubileuszowy wygląda więc na pracowity...

Jest jeszcze jedna fantastyczna dla mnie informacja. Otóż dzięki porozumieniu z Virtualo oraz z Empik Go zostaną przygotowane wznowienia moich debiutanckich powieści i opowiadań. Książki, które pisałem, mając 20 (i trochę więcej) lat, ukażą się teraz w wersji audio oraz e-book. Oczywiście ostrzeżemy czytelników, że to nie są nowości, lecz powrót do dalekiej przeszłości. Zważywszy, że mój zbiór „Zakłète miasto” z roku 1991 właśnie kupiłem na Allegro za 90 zł (musiałem, bo gdzieś zgubiłem swój egzemplarz, a takie są ceny tego wydania), widać, że nadal są czytelnicy, którzy taką daleką podróż chcą odbywać. A na jesieni tego roku w podróż po świecie inkwizytorów będzie można wyruszyć także w grze wideo „Ja, inkwizytor”. Od czterech lat jest ona przygotowywana przez studio The Dust i prace nad nią właśnie dobiegają końca.

Wspomina pan o wydawnictwie Zysk i Spółka oraz Virtualo i Empik Go, ale nie usłyszeliśmy nic o Fabryce Słów, w której dotychczas ukazywały się pana książki.

Zdecydowałem się definitywnie zakończyć współpracę z Fabryką Słów. ■

Wydawnictwo straciło prawa do wydania ogromnej większości moich książek, ale nie chce się z faktem tej straty pogodzić. Będę więc występował o sądowe potwierdzenie wygaśnięcia umów, a prawnicy badają też sprawę pod kątem wniosku do prokuratury. To smutne, że tak się kończy 20-letnia współpraca.

Przez te 20 lat towarzyszy panu inkwizytor Mordimer Madderdin. Najpierw były pierwsze opowiadania o inkwizytorach, z czasem wymyślił pan całe uniwersum. Alternatywne średniowiecze z wizją chrześcijaństwa, w którym Chrystus nie umiera i nie zmartwychwstaje, nie jest miłosierny, ale w którym schodzi z krzyża i dokonuje pomsty na wrogach. Kiedy ten świat zaczął się rodzić?

Miałem 12 lat i pamiętam moje zdumienie na lekcjach religii, kiedy zastanawiałem się, dlaczego Chrystus pozwolił się ukrzyżować. Dlaczego – skoro był Bogiem, był tak potężny i mógł uczynić wszystko – nie objął władzy i nie wprowadził swoich rządów? Jeszcze wtedy nie był to oczywiście żaden pomysł na kreację świata, raczej pytanie, które zadawało sobie logicznie myślące dziecko. No i potem minęło wiele lat i przyszedł czas, kiedy to pytanie zamieniło się w kilkanaście książek...

Nie ma pan czasem dość Mordimera Madderdina?

Przede wszystkim nie ograniczam się do „cyklu inkwizytorskiego”. Napisałem również dystopię najbliższej przyszłości („Przenajświętsza Rzeczpospolita”), powieści z czasów sarmackich („Charakternik”, „Szubienicznik”), powieść, którą można nazwać współczesnym realizmem magicznym („Alicja”), horror fantasy („Necrosis”) czy współczesny horror („Bestie i ludzie”).

A druga sprawa, że mój główny bohater wcale mi się nie znudził i ciągle z przyjemnością piszę nowe książki o nim. To naprawdę nie jest tak, że cokolwiek robię na siłę – bo są wysokie nakłady, jest sprzedaż, jest kasa i nie można zarządzić kury znoszącej złote jaja. Gdyby tak było, to moja ostatnia książka miałaby stron 250, a nie ponad 600...

Są rzeczy, których nie lubi pan pisać? Albo inaczej – inne obowiązki związane z zawodem pisarza, które wykonać trzeba, ale które nie przynoszą panu frajdy?

Pewne fragmenty książki są dla autora bardzo ciekawe z punktu widzenia kreacji literackiej, a inne z kolei są mniej interesujące czy wręcz nużące do napisania (ale napisać je trzeba). Często robię tak, że wybieram wszystkie te najciekawsze fragmenty i piszę je na początku, a na koniec zostaje napisanie fragmentów, które z jakichś powodów wydały mi się twórczo mniej interesujące. No i kiedy zostało takich fragmentów sporo, to trudniej przekonać się do tego, żeby usiąść do pisania. Ale dowiedziałem się, że nie tylko ja popełniam ten błąd, ponieważ na to samo uskarżał się Stephen King.

W „Pamiętniku rzemieślnika” Stephen King radzi, by pozwalać postaciom ożywać. Nie zmuszać ich do niczego, dać się im zaskakiwać. Czy wymyślni przez pana bohaterowie potrafią pana czymś zaskoczyć?

W „ruskiej trylogii” („Przeklęte krajiny”, „Przeklęte kobiety”, „Przeklęte przeznaczenie”) dominującym bohaterem jest pewna kobieta. W założeniach miała to być kompletnie inna postać i wcale nie miała odgrywać tak wielkiej roli, jaką ostatecznie odegrała. Stała się kołem zamachowym całej fabuły, najważniejszą

postacią trylogii. Więc tak, takie rzeczy się dzieją i nie można zamykać się na podobne „wołanie” postaci, która mówi: „Chcę być ważniejsza, należy mi się to!”. Przy pisaniu opowiadań najczęściej mam napisany bardzo dokładny konspekt i od początku do końca staram się go trzymać. Ale przy pisaniu powieści pozwalam sobie na większą swobodę i wtedy zdarza się, że pewni bohaterowie, którzy mieli być tylko postaciami epizodycznymi, pojawić się w jednej scenie, zaczynają odgrywać coraz większą rolę.

Myślę sobie, że to muszą być strasznie ciekawe postaci, skoro nie pozwoliły się autorowi zamknąć tylko w jednej scenie, wyróżniły się czymś, czymś do siebie przekonały, chciały dłużej żyć.

I taka właśnie jest postać, która zdominowała wszystkie trzy tomy „ruskiej trylogii”. Otwarcie się na podobne doświadczenie sprawia, że pisanie książki jest bardziej atrakcyjne dla autora. Bo nawet on do końca nie wie, jaka nowa koncepcja niespodziewanie się pojawi. Pisarz powinien być otwarty na każdy scenariusz, chociaż oczywiście wolność musi być też ograniczona jakimś rodzajem dyscypliny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



„Ja, inkwizytor. Dziennik czasu zarazy” to 16. tom bestsellerowego cyklu ze świata inkwizytorów. Chronologicznie osadzona mniej więcej w połowie serii, skonstruowana tak, że można ją czytać bez znajomości innych tomów. Akcja powieści toczy się w mieście Weilburg, które dotknęła śmiertelna zaraza. Bramy miasta zostały zatrzasknięte, a izolacja staje się dobrym pretekstem dla ludzi chcących załatwić swoje prywatne i polityczne interesy. W takim miejscu i w takim czasie inkwizytor Mordimer Madderdin stoczy walkę o ocalenie niewinnych, o ukaranie zbrodniarzy, a przede wszystkim – o utrzymanie choćby resztek sprawiedliwości.

Jacek Piekara jest jednym z najpopularniejszych polskich pisarzy, a stworzony przez niego inkwizytor Mordimer Madderdin stał się, obok wiedźmina Geralta z Rivii, jednym z najbardziej rozpoznawalnych bohaterów polskiej fantastyki. Bestsellerowy „cykl inkwizytorski” osadzony jest w świecie alternatywnego chrześcijaństwa, w którym Chrystus zszedł z krzyża, dokonał zemsty na wrogach i na czele swej armii podbił Rzym. Świat bez dzieła zbawienia pogrążony jest w grzechu, zbrodniach i mroku. Działa w nim potężna i groźna magia, żyją wiedźmy, demonolodzy i nekromanci, nawiedzają go demony oraz złe duchy. Główny bohater, Mordimer Madderdin, jest obdarzonym nadprzyrodzonymi zdolnościami inkwizytorem, który zwalcza wrogów świętej wiary. Dla wielu czytelników stał się bohaterem atrakcyjnym dzięki temu, że okrucieństwo, bezwzględność i cynizm potrafi mieszać z nieoczekiwaną wielkodusznością oraz ściśle przestrzega własnego kodeksu moralnego, niezależnego od kodeksów wymyślonych przez władzę. A jego obserwacje świata i ludzi często przepełnione są gorzkim, zjadliwym humorem.

Inne książki Jacka Piekary (autor napisał łącznie ich ponad 30) to m.in.: „Przenajświętsza Rzeczpospolita” (dystopia nieodległej przyszłości), „Alicja” (dwa tomy w poetyce realizmu magicznego), „Szubienicznik” (sarmacka trylogia), „Charakternik” (powieść z subtelnymi elementami fantasy oparta na historii XVIII-wiecznej Polski, „Necrosis. Przebudzenie” (horror fantasy), „Ani słowa prawdy” (zbiór opowiadań o czarodzieju Arivaldzie z Wybrzeża, jedyna książka autora odpowiednia także dla dzieci).

Bill Nighy jako pan Williams w filmie Olivera Hermanusa
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Śmierć, czyli życie



Piotr Gociek

„Living” to jeden z najlepszych filmów 2022 r. Kazuo Ishiguro adaptuje Kurosawę, który adaptował Tolstoja, a wszystko to uwiarygadnia wielką kreacją Bill Nighy

Ciężko umierać – mówi pan Watanabe, bohater filmu „Ikiru”. – Nie mogę po prostu umrzeć, kiedy nie wiem, po co żyłem.

„Ikiru”, arcydzieło Akiry Kurosawy, nosi polski tytuł „Piętno śmierci” – wyjątkowo nietrafny. Bo przecież jest to film o tym, jak żyć, a nie o tym, jak umierać.

ZAMIESZANIE W UPORZĄDKOWANYM ŚWIECIE

„Living” to brytyjska odpowiedź na „Ikiru”. Celowo nie używam zwrotów „brytyjska wersja” czy „remake”, choć film nominowany był do Oscara w kategorii „najlepszy scenariusz adaptowany”. To jednak adaptacja bardzo szczególna, wymykająca się zwykłym regułom takich przedsięwzięć. Więcej o tym później. Najpierw wróćmy do pana Watanabe – czy raczej, skoro mowa o brytyjskim filmie, do pana Williamsa.

Poznajemy go w drodze do pracy. Jak tysiące innych londyńskich urzędników każdego ranka dojeżdża do pracy w metropolii pośród innych, podobnych sobie dżentelmenów w iście brytyjskich unifor- mach – trzyczęściowy granatowy garnitur w prążki, lśniąca buty, nieodzowny

Brytyjski urzędnik dowiadyuje się, że nie zostało mu wiele czasu do przeżycia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



■ parasol, melonik na głowie, w drodze do pracy zaś zawsze lektura, zwykle „Times” lub „Daily Mirror”. Powściągliwy, budzący respekt samym swoim zachowaniem jest urzędnikiem idealnym. Żadna niedokładność w papierach nie ujdzie jego uwagi, brak odpowiedniej sygnatury wstrzymuje bieg sprawy, niechlujnie przygotowana teczką – lub po prostu teczką z kwestią budzącą wątpliwości – trafi na stertę dokumentów, które zbierać będą kurz.

Ten uporządkowany świat zostaje roztrząskany, gdy pan Williams słyszy od lekarza wyrok: rak i najwyżej rok życia. Może pół roku. W zderzeniu z własną śmiertelnością pan Williams próbuje uporządkować własne życie, ale szybko odkrywa, że nie ma za bardzo czego porządkować: oprócz pracy ma jedynie dorosłego syna, który choć żyje pod tym samym dachem, wydaje się odległy jak mieszkaniec obcej planety. Rozważa samobójstwo. Zastanawia się, jak przeżyć ostatnie miesiące. Korzystając z życia, to oczywiście, ale nikt nigdy nie nauczył go żyć.

Czuję się teraz o tyle niekomfortowo, że muszę całą opowieść streścić, a przecież nie powinno się widzowi odbierać przyjemności odkrywania fabuły na własną rękę. Na szczęście jednak „Living” (podobnie jak „Ikiru”) to film, w którym ważniejsze od zakrętów fabuły jest przesłanie i to, jak rzecz cała jest opowiedziana i zagrana. Dopowiem więc: na drodze pana Williamsa stanie była podwładna z urzędu, która pilnie go potrzebuje, bo bez jego podpisu na dokumencie nie może podjąć nowej pracy. Jej

młodość, pozorna bez troska, vitalność, piękno, energia – wszystko to budzi pana Williamsa do życia. Nie do chuci – do życia, choć rozplotkowani sąsiedzi wiedzą lepiej: starego głupca widuje się w restauracjach z młodą dziewczyną, wiadomo, co to musi oznaczać.

Ten platoniczny związek jest jednak także skazany na przegraną, bo nie można żyć cudzym życiem. Co dalej? Zaskakujące dla bezdusznego urzędnika rozwiązanie: dzięki Bogu za petentów! Za sprawą grupy matek ze zbombardowanej dzielnicy na stercie spraw, którym nie nadano biegu, czeka wniosek o budowę placu zabaw dla dzieci. Nieszczęsne kobiety zdążyły już zetrzeć obcasy, wędrując od Annasza do Kajfasza po wszystkich wydziałach gmachu, w którym pracuje pan Williams. Zawsze brakowało jakiegoś stempelka i za każdym razem psychologia brała górę: to nie nasze kompetencje, powinien się tym zająć ktoś inny. Olśnienie spływa na pana Williamsa. Wraca do pracy, gdzie zamienia się w nieustraszonego, cierpliwego i skutecznego bojownika tej niwy drobnej, ale ważnej sprawy. Tym zajmował się będzie aż do rychłej śmierci.

Pana Williamsa zagrał Bill Nighy, który za swą kreację nominowany był do Oscara. Powinien go dostać: pisałem o tym, gdy Akademia szykowała swoje decyzje, bo jest to kreacja wybitna, na pewno najwybitniejsza w minionym roku, a dla Nighy’ego – po prostu życiowa. Rola oszczędna, a głęboko poruszająca. Pan Williams w tym wykonaniu to figura tragiczna, ale z elementami komizmu i skąpą w melancholii.

U Kurosawy było inaczej – pan Watanabe był przede wszystkim postacią głęboko cierpiącą, a w ostatniej części filmu wręcz chrystusową, bo wypełnienie finalnej misji stało się jego drogą krzyżową – z upadkami, nadstawianiem drugiego policzka, walką z bólem i poniżeniem. Grany przez fenomenalnego Takashiego Shimurę pan Watanabe był przygarbionym małym człowieczkiem o zbolalej twarzy, którego cierpienie uszlachetnia. Pan Williams jest enigmą. Nie może być inaczej, skoro to symbol brytyjskości – okazywanie uczuć byłoby łamaniem etykiety.

CO PO NAS ZOSTANIE?

Przesłanie obu filmów jest jasne: żyjemy poprzez innych i dla innych, tyle po nas zostanie, ile innym damy. Trzeba więc zawczasu myśleć, co przed bramami nieba mieć będziemy na swoją obronę, gdy padnie pytanie: „Co zrobiłeś ze swoim życiem?”. Ale są też istotne różnice – by je prześledzić, trzeba się cofnąć do dzieła, które zainspirowało Kurosawę do nakręcenia „Ikiru”. A była to nowela Lwa Tołstoja „Śmierć Iwana Iljicza”, przypowieść głęboko chrześcijańska.

Główny bohater utworu Tołstoja, sędzia Iwan Gołowin, nie jest ani bezdusznym biurokratą, ani odciętym od radości życia żywym trupem (u Kurosawy dziewczyna nazwała pana Watanabe „mumią”, w scenariuszu Ishiguro pan Williams dostaje przydomek Mr Zombie). Gołowin, umierając w wieku lat 45, ma za sobą spory kawałek życia także poza swoją profesją. Nie było to życie puste, ma czego żałować, swoje nagrzeszył. Jego odchodzenie – jego umieranie na raty – jest natomiast wielką medytacją. Chodzi w niej nie tylko o to, kiedy i czy postępował właściwie, lecz także o to, czym właściwie jest życie, a czym śmierć. Nowela Tołstoja to dzieło religijne, Gołowin u kresu odkrywa, że „strachu żadnego nie było, bo i śmierci nie było. Zamiast śmierci jaśniało światło”. Życie mogło być męką wiodącą ku śmierci, ale śmierć jest bramą wiodącą dalej. „To, co siejesz, nie ożyje, jeżeli wprzód nie obumrze” – czytamy w pierwszym Liście do Koryntian (1 Kor 15, 36). Kto sięgnie po tekst Dariusza Karłowicza „Śmierć jako przedmiot wiary. Medytacja na Wielką Sobotę” (Teologia Polityczna on-line, 4.04.2023), ten odnajdzie w tych rozważaniach także klucz do „Śmierci Iwana Iljicza”.

Dla Kurosawy w „Ikiru” niesłychanie ważny był wątek społeczny. Spójrzmy na czasy, w których rozgrywa się jego opowieść – rok 1952, kończy się amerykańska okupacja, kraj szuka nowych dróg w przyszłość, nowej tożsamości, nowego powodu do istnienia. Ważną częścią tych poszukiwań jest wielka imitacja. Widać to szczególnie po nocnej odysei pana Watanabe” – nocne życie Tokio to błada imitacja amerykańskich „roaring twenties”. Istotne są i wątek przemiany głównego bohatera, i pytanie o obietnicę nowej przyszłości. Łączą się bardzo wcześniej, już na początku filmu, gdy odkrywamy, że ćwierć wieku wcześniej pan Watanabe jako człowiek pełen ochoty do działania i żądny zmian miał w szufladzie gotowy projekt reformy swojego urzędu. Długa, bolesna i wspaniała rozegrana scena stypy po Watanabem to jedna z najboleśniejszych satyr wymierzonych w politykę i biurokrację, jakie pokazano na ekranie. Pijani koledzy z pracy podziwiają zmarłego kolegę (gdy nie ma już wśród nich przełożonych), oddają mu hołd i obiecują poprawę. Wiemy, że

Przesłanie obu filmów jest jasne: żyjemy poprzez innych i dla innych

do niej nie dojdzie. Co pozostaje? Akt jednostkowego męstwa i walki o dobro. Kurosawa zamyka film obrazem, który można rozmaicie interpretować: Czy postać w kapeluszu na moście (widzimy tylko ciemną sylwetkę) to obserwujący dzieło pana Watanabego kolega z pracy czy może sam Watanabe, już po drugiej stronie, odchodzący powoli w zaświaty?

W filmie Olivera Hermanusa całej tej warstwy nie ma, mamy jedynie dyskretny sygnał wizualny: gdy pan Williams podejmuje działanie, zwykle wędruje ku światłu. Scenariusz Kazuo Ishiguro zamyka całą historię w ramach dramatu jednostki; wątków społeczno-politycznych brak. I tu wypada wrócić do zasygnalizowanego na początku

wątku: dlaczego jest to adaptacja bardzo nietypowa, szczególna. Otóż opowiada Ishiguro (w dodatkach do brytyjskiej edycji Blu-ray), że celowo nie studiował scenariusza Kurosawy. I że postanowił z rozmysłem obejrzeć film „Ikiru” tylko raz. Nie chciał kopiować ani przekładać, stworzył własną opowieść, która zmienia się, jak zmieniają się gawędy podawane z ust do ust – każdy kolejny narrator odciska na nich własne piętno. Akcja „Living” rozgrywa się w roku 1953, ale jest to umowny, baśniowy rok 1953, bo np. obraz szeregow dżentelmenów w identycznych ubraniach jadących do pracy zaczerpnął Ishiguro z własnego dzieciństwa – podziwiał ich, stojąc na peronie stacji w drodze do szkoły. Jest więc „Living” snem we śnie, wspomnieniem we wspomnieniu; jest przefiltrowanym odbiciem tego, co było odbiciem już wtedy, gdy Kurosawa adaptował wątki z Tołstoja. Lustra potrafią zniekształcać, ale mają ważną zaletę – by cokolwiek w nich dostrzec, trzeba patrzeć we właściwą stronę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA





FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Narodziny królestwa



★★★★★

**REŻ. EDWARD
BAZALGETTE**
**„SIEDMIU
KRÓLÓW MUSI
UMRZEĆ”**
**WIELKA
BRYTANIA 2023**

wyst. Alexander
Dreymon, Harry
Gilby, Mark Rowley

Pierwsze odcinki „Upadku królestwa” („The Last Kingdom”) recenzowałem obszernie w „Do Rzeczy” wiosną 2017 r. Każda saga ma swój koniec i oto teraz film „Siedmiu królów musi umrzeć” zamyka historię, którą wcześniej Bernard Cornwell przedstawił w 13 powieściach, a różni producenci (BBC i Netflix) w pięciu sezonach serialu. Uhtred z Bebbanburga odzyskał swoje ziemie i rodową siedzibę, ale przecież jego losy były pretekstem do dużo bogatszej sagi. „Wymyślona przez siebie historię opowiadałem w znacznie szerszym kontekście, którym są początki angielskiej państwowości” – pisał Bernard Cornwell.

Były to trudne i powikłane początki, nieustanne wojny i rozejmy, sojusze i zdrady. Rywalizujące ze sobą królestwa Brytanii

zmagaly się jednocześnie z najazdami wikingów; w piątym sezonie wikingi władca Irlandii Anlaf buduje wielką koalicję, która ma ostatecznie podbić całą wyspę. Edmund, wnuk Alfreda Wielkiego, szuka schronienia u Uhtreda, bardziej lękając się konkurentów do korony niż Normanów. A nad wszystkim unosi się przepowiednia: „siedmiu królów musi umrzeć – oraz kobieta, którą kochasz”.

Film Edwarda Bazalgette’a (reżyserował też kilka odcinków serialu, a także dwa epizody „Wiedźmina”) ma te same wady i zalety co cała seria. Zalety: gromada ciekawych bohaterów z Uhtredem na czele (i charyzmą grającego go Alexandra Dreymona), ładnie odtworzony świat X stulecia, wartka akcja. Wady: powtarzalność pewnych rozwiązań fabularnych i nadmierny pośpiech w wędrówce

przez kolejne zakręty historii. Całość (serial plus film) obejmuje zdarzenia z niemal siedmiu dekad, Uhtreda w filmie jednak nie postarzano – cuda małego ekranu! Zamknięcie opowieści zadowoli więc głównie fanów, widać w nim zmęczenie materiału.

Ciekawego psikusa spłatali scenarzyści dbającemu o odpowiednią dawkę wątków LGBT Netflixowi – wprowadzili postać gejowskiego kochanka króla, ale szybko okazuje się, że to postać dwulicowa i podstępna. Sam zaś król – głęboko wierzący – nie ma wątpliwości, że popełnia straszny grzech. I dopiero gdy się tego grzechu wyrzeknie, ocali przyszłość krainy, którą najpierw homoseksualnym romansem na skraj przepaści doprowadził. Co do Uhtreda – czas pożegnać go na dobre, choć w świecie popkultury nigdy nic nie jest pewne. ©©



NOWE SERIALE: „DOBRE MATKI”

Pierwsze dwa epizody tej serii pokazano na festiwalu w Berlinie – aplauz był zasłużony. Inspirowana opartą na faktach książką Alexa Perry’ego opowiada historię kobiet, przeciwstawiających się kalabrijskiej mafii. Obraz Włoch nie ma tu nic wspólnego z mitologiami mafijnymi tworzonymi

w „Ojcu chrzestnym”. Świat 'ndranghety jest pełen ekstremalnej przemocy, co gorsza akceptowanej przez tych, którzy żyją w jej świecie. Nie przez wszystkich – czego dowodzi ta opowieść.

Piotr Gociek

• miniseria „Dobre matki”,
Wielka Brytania/Włochy 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- miniseria „Podejrzeni” („Suspect”), Wielka Brytania 2022
- sezon 2 „Łasuch” („Sweet Tooth”), USA 2023
- miniseria „Hydraulicy z Białego Domu” („White House Plumbers”), USA 2023

CANAL+
ONLINE

max

Brawo, ropucho!

KINO

Thomas Harris jakiś czas temu ujawnił, że sława mu ciąży, więc zapewne przychylnym okiem spogląda na młodszych kolegów, wychwalanych za powieści naśladujące „Czerwonego smoka” i „Milczenie owiec”. Sadyistyczne wizje są wielce poczytne, lecz nie czarujmy się: dopiero udana ekranizacja wynosi pisarzy na gwiazdorską orbitę. Donato Carrisi, nie ufając filmowcom, sam stanął za kamerą, by opowiedzieć historię potwora, który morduje, gdyż wychowała go kobieta pozbawiona macierzyńskiego instynktu. Micky – ropucha – miewa czasem ludzkie odruchy, bo cała sztuka polega przecież na tym, by zatrzeć granicę dzielącą kata i ofiarę.

Carisi lubi umieszczać akcję

swych dreszczowców w uroczych krajobrazach. W jeziorze Como, uważanym za jedno z najpiękniejszych na świecie, pływają więc poćwiartowane zwłoki. Czy świat naprawdę jest aż tak zły, że musimy kibicować zwyrodnialcom, jeśli tylko jakimś cudem zdołali zachować resztki dziecięcej

naiwności? Uczniowie Harrisa starają się, by takie myśli nie przychodziły czytelnikom i widzom do głów. Mnożą atrakcje, poboczne wątki tudzież cudowne zbiegi okoliczności. Kto jest kim, wiadomo jednak od samego początku. Smoka mógł zabić tylko rycerz o czystym sercu. Zagadkę pokoju z zielonymi drzwiami potrafi rozwiązać jedynie czuła na niewieścią krzywdę tropicielka. ©©



★★★★★
REŻ. DONATO CARRISI
„JESTEM OTCHŁANIĄ” („LO SONO L'ABISSO”)
WŁOCHY 2022

wyst. Gabriel Montesi, Michela Cescon, Sara Ciocca



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WĘGERSKA POMARAŃCZA

arte



★★★★★
REŻ. PÉTER BACSÓ
„ŚWIADEK” („A TANÚ”)
WĘGRY 1969

József Pelikán, strażnik wału przeciwpowodziowego, ma ośmioro dzieci, lecz jakoś sobie radzi. Przypadkowe spotkanie z dawnym znajomym, obecnie ministrem, przewróci mu życie do góry nogami.

Antybohater znad Dunaju jest „ideologicznie zielony” i rozumem nie grzeszy, mimo to Partia z uporem będzie mu powierzać odpowiedzialne zadania, np. wyhodowanie węgierskiej pomarańczy. Pelikána prześladowe pech, ale towarzysz z bezpieki widzi w nim idealnego świadka koronnego w pokazowym procesie politycznym. Bacsó nie miał temperamentu Barei ani talentu Munka, jednak kara za wykipowanie nonsensów komunizmu była dotkliwa: film przeleżał na półce 12 lat. Pod szyldem „klasyka europejskiego kina” czasem sprzedaje się produkty przeterminowane. Ze „Świadkiem” jest dokładnie odwrotnie. Parowóz dziejów wraca w stare koleiny, a „atmosfera międzynarodowa gęstnieje” (o stężeniu absurdu nie wspominając). ©©

wyst. Ferenc Kállai, Lajos Öze, Zoltán Fábri

MARTWI PRZED ŚWITEM



★★★★★
REŻ. LEE CRONIN
„MARTWE ZŁO: PRZEBUDZENIE” („DEAD EVIL RISE”)
USA 2023

Bruce Campbell i Sam Raimi sprawdzają, ile soku zostało w wielokrotnie wyciśniętej cytrynie, lecz tym razem jako producenci. Troskę o scenariusz i reżyserię scedowali na przybyśza z Irlandii. Ten przeniósł tytułowego demona z lasu do miejskiej dżungli i uwięził go w podziemiach upadłego banku. Ale od czego są trzęsienia ziemi i młodzieńcy lubiący szum starych płyt? Winyle, nagrane sto lat temu, nie są jedynym oldskulowym gadżetem: pozostałe to z nóż, strzelba i piła łańcuchowa. Tym razem używają ich kobiety, co dobrze świadczy o orientacji Cronina w hollywoodzkich trendach. Horror typu gore najlepiej miał się w epoce, gdy o dronach, telefonach komórkowych i komputerach nikomu się nie śniło, więc by krwawa zabawa mogła się rozkręcić, bohaterowie muszą zostać pozbawieni elektronicznych urządzeń. Okazuje się, że zło ma jedną dobrą cechę: jest z natury konserwatywne. Wiesław Chełmniał

wyst. Lily Sullivan, Alyssa Sutherland, Morgan Davies

GRA TYGODNIA: „THE LAST OF US PART I” (PC)

W dniu premiery tytuł był w zasadzie niegrywalny. Stan techniczny wołał o pomstę do nieba. Czy po ponad miesiącu i kilkudziesięciu łatkach jest lepiej? Tak, ale wciąż daleko od ideału. Na spręcie w niewielkim stopniu przewyższającym minimalne wymogi

najpewniej nie pogracie. Szkoda tak fatalnej optymalizacji, bo to bardzo dobra gra, niesiona ostatnio falą popularności serialu HBO. Miał być hit, dostaliśmy to, co ostatnio nazbyt często serwuje nam branża: półprodukt, który nie powinien wyjść jeszcze z fazy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



betatestów. Ale nie skreślajmy. Łatanie trwa. ©©
Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Akcji, TPP
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Naughty Dog/Iron Galaxy Studios; Sony IEntertainment

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Do księgarń, ale już!

Musiło minąć prawie sto lat, byśmy mogli przeczytać znakomite, wytrzymujące porównania z najświetniejszymi pozycjami literatury dla dzieci, z „Kubusiem Puchatkiem” włącznie, „Cudowne kuracje doktora Popotama” Leopolda Chauveau. Autor przyszedł na świat we francuskim Lyonie w roku 1870, a pierwsze wydanie książki miało miejsce w roku 1927 (!).

Mamy tu w jednym Milne’a i Loftinga, Kiplinga i Topora, Selme Lagerlöf, a jak kto się uprze, to i Schulza z Leśmianem pospołu. Grzegorz Kasdepke, nasz guru od literatury dziecięcej, twierdzi, że Chauveau „urodził się o 100 lat za wcześnie; jego bajki wydają się napisane przez rówieśnika Grety Thunberg. Są przewrotne, dowcipne, czule wobec natury, krytyczne wobec ludzi, a na dodatek sprawiają wrażenie antypedagogicznych, miodzio!”. Streszczać ich nie ma sensu, trzeba je przeczytać i zachwycić się, bo te historie są arcydziełne, do tego wspaniałe przez autora zilustrowane.

Leopold Chauveau jest zresztą dziś bardziej chyba znany w świecie jako plastyk: rzeźbiarz, malarz i rysownik. W zeszłym roku w paryskim Muzeum Orsay miała miejsce duża wystawa jego prac. A z zawodu był lekarzem, doświadczenia wojenne (pierwszej wojny światowej, podczas której stracił żonę i dwóch synów; najmłodszego imieniem Renaud uniemożliwił potem w „Cudownych kuracjach...” sprawiły, że przestał być chirurgiem. Ale podły czas znów dał mu znać o sobie w samym końcu życia. I tak, jak niósł pomoc rannym na frontach, tak w 1940 r., tuż przed śmiercią, uczestniczył w organizacji ośrodka dla uchodźców.



FOT. MUZÉUM ORSAY

Lekarz jest też tytułowym bohaterem przełożonej teraz na polski książki Leopolda Chauveau. Niezwykły to doktor; dość powiedzieć, że w przeciwieństwie do zwykłych lekarzy leczy swoich pacjentów także po ich śmierci, bo przecież właśnie wtedy potrzebują jego najbardziej. Nie wskrzesza ich, a skąd! Popotam protestuje, gdy mu się to sugeruje, on po prostu leczy, jako że – powiada – „śmierć jest tylko chorobą, trochę poważniejszą od innych”.

Ale i zdrowym, no może nie całkiem, Popotam pomaga. Gdy słoniątku rekin odgryzł ogon, doktor przypomniał sobie, że rakom odrastają nogi, kiedy się je utnie, zalecił więc poszkodowanemu jeść całe mnóstwo raków. Słonik może przesadził, w każdym razie ogon mu wprawdzie odrósł, za to chodzić zaczął do tyłu. Popotam zastosował wówczas – przynajmniej – radykalną metodę, postanowił bowiem uciąć słoniątku i głowę, i ogon, a następnie pozamieniać je miejscami. Nie zgodziła się jednak na to mama delikwenta („Ach, te kobiety!”, „Trochę uparte, fakt”), doktor musiał więc poradzić sobie w inny sposób, z czym oczywiście nie miał najmniejszych kłopotów.

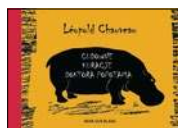
Dzieci – zapewnia tłumaczka książki Maria Raczkiewicz-Słedzińska – nie będą wcale przeżalone dość okrutnym światem przedstawionym w „Cudownych kuracjach doktora Popotama”: „Nawet najstraszniejsze okropności, jak wyrywanie zębów olbrzymowi lubiącemu zjadać małe pulchne dzieciaczki wracające do domu czy krokodyl w kawałkach, który po operacji sklejenia w całość ma kłopoty z połknięciem żyrafy, są tak absurdalne i przedstawione z takim humorem, że wybuchy śmiechu stają się szczepionką na różne strachy, jakich często nie brak przed snem”.

Drodzy czytelnicy, sięgnijcie po tę książkę, a jeśli wasze dzieci czy wnuki okażą się odporne na jej uroki, jeśli nie będą się śmiać przy lekturze do rozpuku, a i wzruszać, bo „Cudowne kuracje...” wywołują różne emocje – to ich strata, widać szwankuje im wyobraźnia. Jestem jednak pewny, że takie wypadki będą absolutnie sporadyczne. Bo może i Roland Topor przesadził nieco, twierdząc swego czasu, że w porównaniu z Chauveau wszystkie inne książki są nudne i głupie, ale daje do myślenia to, że ten autor ilustrując bajki La Fontaine’a, z lekka je... poprawiał. Dobrze, że nie przyszło mu do głowy zrobić to samo z Biblią, bo i do niej przyłożył swą rękę rysownika. A z bajkami to skomplikowana sprawa, w końcu Renaud, spolszczony przez tłumaczkę jako Henio, poucza ojca:

*– Ty nie umiesz pisać tak, jak ja mówię.
W tych bajkach nigdy nie mówię tak, jak
mówię naprawdę.*

*– Tak jest ładnie, jeśli trochę to poprawię.
– Wcale nie! Gdybyś pisał dokładnie tak,
jak mówię, te bajki by były o wiele lepsze.*

Nie wiem, może i tak, ale „Cudowne kuracje doktora Popotama” lepsze być nie mogły. Rzeczywiście są cudowne. ©©



★★★★★

LEOPOLD
CHAUVEAU
„CUDOWNE
KURACJE
DOKTORA
POPOTAMA”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

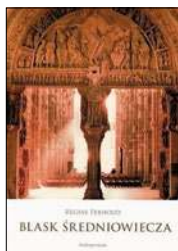
Inaczej o średniowieczu

Od tej książki rozpoczęła się wspaniała przygoda Régine Pernoud, francuskiej mediewistki (1909–1998), której konserwatyści całego świata powinni stawiać pomniki. Jej prace obalały oświeceniowe (a potem marksistowskie) mity o „wiekach ciemnych”, ukazując średniowiecze (zwłaszcza wieki X–XIII) w zupełnie innym świetle. „Blask średniowiecza” z 1944 r. zapowiada wachlarz tematów, które będą fascynowały francuską autorkę przez kolejne dekady. „Spędzi pani całe życie na przerabianiu tego dzieła i na pisaniu go na nowo” – zapowiedział proroczo po premierze malarz Léon Gischia. Tak też się stało. Tyle rzeczy było do odkłamania! Czytajmy więc Pernoud i podsuwajmy dzieciom, by poznały prawdę o sztuce, szkołach i obyczajach średniowiecznych. Także o polityce – więc feudalna była, jak zauważa Pernoud, unikatowym w dziejach kontraktem wolnych ludzi opartym na przysiędze wierności, a z drugiej strony – przysiędze opieki i ochrony. Pernoud opowiada też o kluczowej roli mądrych i wpływowych kobiet. Laurów

od feministek jednak nie będzie, bo bohaterki Pernoud to ważne figury w dziejach zachodniego chrześcijaństwa.

Gdy przejdziemy do rozważań o politycznej historii wieków średnich, pomocna okaże się książka Dana Jonesa „Świt królestw. Jasna historia wieków ciemnych”. Wbrew podtytułowi nadanemu przez polskiego wydawcę (w oryginale było to „Powers and Thrones: A New History

of Middle Ages”) brytyjski historyk nie poświęca 800 stron na polemikę za wszelką cenę, lecz próbuje namalować obszerną panoramę. W wielu rzeczach zgadza się z Pernaud, choć w bibliografii próżno szukać dzieł francuskiej mediewistki. Jones wydaje się zamknięty w świecie opracowań anglojęzycznych, co jest w przypadku średniowiecza grzechem, bo odcina go nie tylko od Pernaud, lecz także takich autorów jak Pierre Riché czy René Grousset. Jones zwraca jednak uwagę na to, co się działo poza Europą (Bizancjum, wzrost potęgi Mongołów) oraz analizuje czas między upadkiem Rzymu a rokiem 1000, kluczowym dla formowania się nowej epoki. ☺☺



★★★★★
RÉGINE PERNOUD
„BLASK ŚRĘDNIOWIECZA”
INSTYTUT
ANDEGAVENUM
2023



★★★★★
DAN JONES
„ŚWIT KRÓLESTW”
ZNAK 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim rozmawia Tomasz Rowiński – czwarta część obszernego wywiadu rzeki. A zaczęło się od tomu „Bóg, Biblia, Mesjasz” przygotowanego przez duet Grzegorz Górny, Rafał Tichy.



„NIECH WASZA MOWA BĘDZIE: TAK, TAK; NIE, NIE”
FRONDA

Ponury obraz nierówności społecznych w przedwojennej Anglii i zjadliwa krytyka dobrze sytuowanych socjalistów klasy średniej, którym człowiek pracy po prostu cuchnie. Przekład: Bartłomiej Zborski.



GEORGE ORWELL
„DROGA NA MOŁO W WIGAN”
VIS-À-VIS ETIUDA

Trzecia na polskim rynku książka szwajcarskiego humorysty, zbiór świetnych surrealistycznych opowiadań „sabotażysty rzeczywistości”, jak pisze o nim w posłowie Małgorzata Łukasiewicz.



FRANS HOHLER
„WIELKI KARZEŁ”
PIW

Z dziejów gier i zabaw: historia wstępu i upadku firmy TSR, która wydała pierwszą grę fabularną „Dungeons & Dragons”. Tak powstała nowa gałąź rozrywki, a i wpływ na literaturę fantasy był niebagatelny.



BEN RIGGS
„UPADEK SMOKA”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „ŻEGNAJ, AARICIO”

Imponujący powrót do świata Thorgala. Sędziwy bohater po śmierci ukochanej otrzymuje niespodziewaną szansę na to, by znów ją ujrzeć. Obszerna opowieść spleta ze sobą wątki z tomów „Zdradzona czarodziejka” oraz „Gwiezdne dziecko”. Jest to także historia alternatywna – wzruszający hołd złożony Thorgalowi, Aari-



ROBIN RECHT
„THORGAL SAGA. ŻEGNAJ, AARICIO”
EGMONT 2023

ci i ich twórcom w ramach projektu „Thorgal Saga”, do którego zaproszono uznanych artystów europejskiego komiksu.



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Z książką do łóżka

Jakie książki leżą na państwa szafkach nocnych? Co najchętniej czytają państwo przed snem? Literatura faktu? Beletrystyka? Może jakiś romans? A może poradnik? Albo jakaś lektura duchowa? Statystycznie rzecz ujmując, najczęściej jest to kryminał, najpewniej autorstwa Remigiusza Mroza, albo literatura obyczajowa, romans lub powieść erotyczna. To się dziś czyta w Polsce. A co czytało się kiedyś? Tym tropem podąża wystawa „Co czytano w alkowach?”.

„Wystawa poświęcona jest książkom, które zapewne mogły być czytane w zaciszu alkowy i umożliwia czytelnikom

pogłębienie prywatnych zainteresowań i wiedzy, jednak przede wszystkim dostarczały przyjemności i rozrywki”. Obok dzieł fundamentalnych, które musiały się znaleźć jeśli nie w alkowie, to w bibliotece każdego szanującego się intelektualisty (np. łacińska edycja dzieł Wergiliusza z lat 1475 i 1476 czy pierwsze polskie tłumaczenie „Eneidy” przez Andrzeja Kochanowskiego, młodszego brata Jana Kochanowskiego) znalazły się dzieła mniej znane i dziś już niemal zapomniane (np. „Kalwinka na pustyni wychowana” z 1788 r. czy „Nadobna Paskwalina”, wierszowany romans Samuela Twardowskiego z 1701 r.). ©©

GDZIE? *Kraków, Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego*
KIEDY? *do 30 lipca*



FOT. MUZEUM IM. EMERYKA HUTTEN-CZAPSKIEGO



FOT. ADAM GUT

SATYRA NA WSPÓŁCZESNOŚĆ

Czarny humor. Satyra, która daje do myślenia. Wystawa dzieł Brytyjki Miriam Elii skupia się na pracach będących komentarzem do pandemii i postapandemicznego porządku. Artystka wyśmiewa „nowy porządek społeczno-polityczny, kwestionuje nowe „reguły gry”, które nastały wraz z wybuchem pandemii i wprowadzeniem lockdownu, ocenia reperkusje oraz nowy porządek światowy znany jako Wielki Reset – globalną inicjatywę zapoczątkowaną przez Światowe Forum Ekonomiczne”. ©©

GDZIE? *Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski*
KIEDY? *do 11 czerwca*

NA SŁUCH

Elektroniczni Prasłowianie

Skandynawowie mają wikingów i nordyckie boginie. My, Słowianie, posiadamy Świętowitę, Kupałę, Peruna i wiele innych bóstw. Ich pamięć wskrzeszają panowie: Artur Szolc (perkuszja), Robert Srzednicki (klawisz, gitary) i Kris Wawrzak (gitara basowa).

Słownych opowieści nie ma na płycie za dużo. Jedyną piosenkę („Swaróg”) wykonuje Mariusz Duda (Riverside), i to po angielsku. Reszta wokali jest mało zrozumiała i ma głównie demoniczny charakter. W „Kupałę” usłyszymy połączenie starocerkiewnego śpiewu liturgicznego (Krzysztof Drabikowski z Batushki) z sabatem czarownic (Inga Habiby, Anna Drabikowska, Dyba Lach).

Muzycznie jest to rodzaj bogato aranżowanego gotyckiego folku, w którym instrumenty dawne (m.in. dulcimer, flety, lira korbowa, bałajka) mieszają się z samplem, syntezatorami i gitarami. Słowiańszczyzna jest w tym wszystkim dość umowna i sprowadza się do tytułów utworów i oprawy graficznej albumu. Dzięki temu nagrania mogą zaistnieć pod każdą szerokością geograficzną niezależnie od rodowodu bóstw i demonów. Najważniejszy jest tajemniczy, podniosły nastrój, a poszczególne kompozycje można by śmiało wykorzystać w filmach fantasy i grach komputerowych. Z drugiej strony płytę można polecić nawet miłośnikom uduchowionych dzieł Dead Can Dance. ©©



★★★★★
ANDRZEJ KORZYŃSKI
„CZŁOWIEK Z ŻELAZA/
CZŁOWIEK Z MARMURU”
GAD

Minęła pierwsza rocznica śmierci kompozytora. Upamiętnia ją kompakt z muzyką do głośnych filmów Andrzeja Wajdy. ©©



★★★★★
THE NATIONAL
„FIRST TWO PAGES OF FRANKENSTEIN”
4AD

Melancholijna muzyka Amerykanów ma wielu zwolenników. Dziesiąty album jest mniej kataraktyczny od wcześniejszych. To bardziej medytacyjna płyta utkana z odcieni szarości. Stonowany śpiew Matta Berningera ma kojącą siłę, mimo że tematyka tekstów często nie jest wesoła. ©©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ



★★★★★
MUSIC INSPIRED BY
„MUSIC INSPIRED BY SLAVS”
MYSTIC

Jakub Skrzywanek mówi, jak jest



FOT. PAWEŁ WYKSIK



Grzegorz Kondrasiuk

Jaki problem rozwiązuje „Spartakus. Miłość w czasach zarazy”? Polskiej nietolerancji, a konkretnie transfobii

ziemi”. Katolikom niepokodzący nie śmierć w ogólności – oraz śmiercią Jana Pawła II w szczególności – Skrzywanek uprzejmie podsuwa rozwiązanie, czyli udział w skrajnie werystycznie zainscenizowanej rekonstrukcji ostatnich chwil życia papieża Polaka. Nasuwa się pytanie: A jeśli ktoś jednak po swojemu (np. dzięki wierze w Boga, zdarzającej się przecieć wśród konserwatystów, i dzięki pogrzebowi, obrzędowi pożegnania) jakoś śmierć we wszystkich aspektach do wiadomości przyjął – to już nie musi tego dzieła oglądać?

„Spartakus. Miłość w czasach zarazy” to dzieło już okrzyknięte ważnym i przełomowym. Z dalekiego Szczecina atakuje właśnie najważniejsze polskie festiwale, gdzie obejrza je nie tylko zaprzyjaźnieni z reżyserem krytycy i szczecińska publiczność (już za chwilę na warszawskich WST). Jaki problem rozwiązuje? Mianowicie problem polskiej nietolerancji, a konkretnie transfobii. Spektakl składa się z dwóch części: pierwsza, w stylistyce teatru dokumentalnego, odtwarza

wieczór i noc na młodzieżowym oddziale szpitala psychiatrycznego; druga to świecki, uteatralizowany w wymyślonej formule folklorystycznej „ślub” jednopłciowej pary, za każdym razem innej, zgłaszającej się do współudziału. Ślub ten ma być symbolicznym aktem odczarowania transfobicznej Polski – jest to niespełnione marzenie pierwowzoru bohaterki spektaklu, która zmarła śmiercią samobójczą. I tutaj żarty się kończą, a zaczynają się wątpliwości. Część dokumentalna pokazuje, jak do szpitala trafia nastolatka nieutożsamiająca się z własną płcią, z depresją wymagającą natychmiastowej pomocy. Sceny, na kanwie autentycznych historii i reportaży Janusza Schwertnera, są poruszające dzięki transformacyjnemu, godnemu szacunku, fizycznemu aktorstwu zespołu szczecińskiego Teatru Współczesnego. Nie ma tu odrobiny fałszu, choć ta rzeczywistość jest zagęszczona, wypreparowana, zmontowana z katalogu sytuacji ekstremalnych (groteskowe próby terapii, gwałt, próby samobójcze, niedobory personelu, zawodowa

znieczulica, niekompetencja). Czerwona lampka zapala się w momencie pokazania filmów z wywiadem z dwoma matkami transnastolatków. Skrzywanek używa tych autentycznych post-traumatycznych świadectw, oskarżeń rządu PiS o te śmierci, prowadząc własny wywód. Są to, według niego, ofiary reżimowych rządów, które nie mogą pójść na marne, ale – jak tytułowy Spartakus – mają położyć podwaliny pod szczęśliwą przyszłość. Prowadzi erystyczne gry, stosuje zabieg ramowania, podsuwając pod oczy widowni sugestywny obrazek, i woła: „Włącz myślenie!”. Tylko że kropki przez niego postawione można połączyć zupełnie inaczej. Nic nie wiemy o latach poprzedzających samobójstwo... I nikt nie zadaje sobie trudu rzetelnego wyjaśnienia, skąd mamy w Polsce trwającą już od dekad zapaść służby zdrowia.

Tekst z cyklu „Kroplówka”, poświęconego oświeceniowo-socrealistycznym wykwitom współczesnego polskiego teatru politycznego. ©©

„SPARTAKUS. MIŁOŚĆ W CZASACH ZARAZY”

**TEATR WSPÓŁCZESNY
W SZCZECINIE**

**REŻYSERIA: JAKUB SKRZYWANEK
SCENARIUSZ: WERONIKA MUREK
I JAKUB SKRZYWANEK
PREMIERA: 13 MAJA 2022 R.**

Czołowy dydaktyk polskich scen jest świeżo upieczonym dyrektorem szczecińskiego Teatru Współczesnego, namaszczonego przez samą Annę Augustynowicz. Każdy swój spektakl poświęca wybranemu problemowi dręczącemu „współczesnego człowieka”. Problem w nim stawia, wystawia na scenie – a potem go rozwiązuje. Przystępuje do prób z tezami sformułowanymi na podstawie własnych przemyśleń, obserwacji, spotkań oraz lektur. Zapewnia przy tym, że jest tak bardzo obiektywny, jak tylko się da, że waży racje wszystkich stron. W teatrze wydaje sprawiedliwy wyrok, mówiąc nam, jak jest, i ogłaszając obiektywną konieczność, od której nie ma ucieczki.

W „Opowieściach niemożliwych” (Teatr Powszechny, Warszawa 2021) Skrzywanek odnalazł receptę na patriarchalną kulturę przemocy – zarówno w środowiskach konserwatywnych (za Żeromskiego-Borowczyka „Dziejami grzechu”), jak i liberalnych (niesławna sprawa Romana Polańskiego). Receptą tą ma być ekoseksualizm, czyli nawiązywanie intymnych stosunków z florą, zobrażowane w trzeciej części spektaklu-tryptyku. Z kolei „Śmierć Jana Pawła II” (Teatr Polski w Poznaniu, 2022) – to opieram się na wywiadach z twórcą, spektakl wciąż przede mną – ma być rozwiązaniem problemu z wypieraniem brzydoty śmierci, dreczącym według Skrzywanek nasz naród, a szczególnie tę jego część, która wciąż pozostaje w mrokach średniowiecza. To teza nr 1, a nr 2 (najważniejsza, zamieszczona, żeby nie było wątpliwości w ulotkach i programach) to ta o polskim społeczeństwie, „które wciąż nie pogodziło się ze śmiercią Jana Pawła II – tego być może ostatniego Boga na



I ty zostaniesz szpiegiem Rosji



Łukasz Warzecha

Komisja do badania wpływów rosyjskich może okazać się narzędziem do likwidacji opozycji politycznej, a ustawa szpiegowska zamknie usta dziennikarzom lub organizacjom pozarządowym

Wojna za naszą granicą jest wygodnym uzasadnieniem dla różnego rodzaju ograniczeń wolności, podobnie jak była nim pandemia. Jednak dwie procedowane obecnie w parlamencie regulacje idą w szczególnie niebezpieczną stronę. To

obecnie będący na etapie Senatu projekt ustawy o Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 oraz na razie będąca na etapie poselskiego projektu ustawa o zmianie kodeksu karnego

oraz ustaw o obronie ojczyzny, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Trudno powiedzieć, czy projektodawcy obu tych aktów mają pełną świadomość konsekwencji ich ewentualnego uchwalenia i ogromnych konstytucyjnych wątpliwości wokół nich. Możliwe, że traktują je po prostu jako próbę pokazania, że „coś robią”, oraz narzędzia bieżącej walki politycznej. Tyle że te właśnie narzędzia mogą w przyszłości osiągnąć ich samych.

NIEBEZPIECZNA KOMISJA

Projekt ustawy o komisji do spraw rosyjskich wpływów trafił do Sejmu

na początku grudnia. Kiedy w styczniu znalazł się w sejmowej Komisji Spraw Wewnętrznych, odrzucono go głosami m.in. poseł Solidarnej Polski Anny Marii Siarkowskiej. Pani poseł stwierdziła wtedy, że projekt narusza gwarantowane w art. 45 konstytucji prawo do sprawiedliwego procesu. W następstwie głosowania polityk została odwołana przez PiS ze składu komisji.

– Ta ustawa powinna się właściwie nazywać „ustawą do spraw odbierania praw publicznych przeciwnikom politycznym”. Mielibyśmy do czynienia z sytuacją, w której komuś winy by nie udowodniono, ale zostałyby pozbawiony praw publicznych – tłumaczyła posłanka Siarkowska w rozmowie opublikowanej na moim kanale YouTube. – Polska jest państwem prawa i każdy ma prawo do sprawiedliwego procesu – mówiła. I dodawała: – Ustawy, która łamie tę konstytucyjną zasadę, popierać nie wolno.

Skąd tak surowa ocena? Komisja ma być pozasądowym organem z prawem do wydawania czegoś na kształt wyroków, ale bez przestrzegania procedury dowodzenia winy. Miałaby mieć status podobny do komisji do spraw reprywatyzacji, czyli istniałaby niezależnie od parlamentu, a jej członkami wcale nie musieliby być posłowie. Za to większości sejmowej zagwarantowano możliwość dowolnego ukształtowania jej składu. Wprawdzie prawo do zgłaszania kandydatów na dziewięć miejsc w komisji przysługuje każdemu klubowi parlamentarnemu (ale już nie kołu), jednak członkowie wybierani są zwykłą większością, w praktyce więc cały dziewięćosobowy skład może zostać obsadzony przez aktualnie rządzących. Członkostwo w komisji wygasa jedynie w określonych przypadkach – członka komisji odwołać nie można. Zatem dopóki sam nie zrezygnuje (względnie umrze lub zostanie skazany prawomocnym wyrokiem) i dopóki komisja istnieje, dopóty powołana do niej osoba będzie w niej zasiadała. I to mając dzięki temu rangę sekretarza stanu.

Przewodniczącą komisji z grona jej członków wybiera premier. Jak więc wiadać, wszystko zostało pomyślane w taki sposób, żeby pozbawić opozycję, a także prezydenta, jakiegokolwiek wpływu na kształt tego ciała.

Przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej są przekonani, że głównym celem komisji ma być uderzenie w jej polityków, przede wszystkim w Donalda Tuska. Być może taki jest cel główny, ale niejedyny, gdyż komisja swoich działań wcale nie musi ograniczać do osób z najwyższych stanowisk. Artykuł 4. ustawy mówi o tym, kim komisja ma się zajmować. Przede wszystkim mają to być funkcjonariusze publiczni lub członkowie kadry kierowniczej wyższego szczebla, którzy „pod wpływem rosyjskim” działali „na szkodę interesów Rzeczypospolitej Polskiej”.

Dalej następuje dziewięciopunktowy katalog dziedzin, w których ramach to działanie mogło mieć miejsce. Jest w nim m.in. „udział w przygotowaniu lub prezentacji stanowiska Rzeczypospolitej Polskiej na forum międzynarodowym, w szczególności w ramach prac organizacji międzynarodowej, której Rzeczpospolita Polska jest członkiem”. Ustawa definiuje co prawda pojęcie „rosyjskiego wpływu”, ale w sposób bardzo nieprecyzyjny. Nie definiuje natomiast, czym ma być „działanie na szkodę interesów RP”. W dodatku stwierdza, że działanie będące domniemanym rosyjskim wpływem mogło być prowadzone „metodami zarówno prawnie dozwolonymi, jak i bezprawnymi”.

Jak to wszystko należy rozumieć? Przepisy skonstruowano tak, aby członkom komisji pozostawić jak największą swobodę interpretacji. W praktyce może się okazać, że dla postawienia danej osoby przed komisją wystarczy mgliste domniemanie i niespełnianie wymogów procesowych założenia, oparte na arbitralnej ocenie zgodnych z prawem działań i tak samo arbitralnej ocenie, czy zaszkodziły one interesom RP. Załóżmy, że dany funkcjonariusz publiczny spotykał się w ramach swoich obowiązków służbowych z przedstawicielem Federacji Rosyjskiej, a zarazem miał wpływ na decyzje, które członkowie komisji oceniają jako sprzeczne z polskim interesem. To już wystarczy, żeby przeprowadzić przed komisją „rozprawę” (takie prawo daje jej ustawa), zdecydować o środkach „zaradczych” wobec tej osoby, a nawet ewentualnie złożyć w jej sprawie doniesienie do prokuratury.

Komisja nie musi trzymać się dowodów, stosować domniemania niewinności czy wątpliwości rozpatrywać na

korzyść obwinionego. Celowo została zaplanowana w taki sposób, żeby funkcjonować jako organ administracji wydający właśnie decyzje administracyjne. Takie decyzje można zaskarżyć do sądu administracyjnego, ale ten co do zasady kontroluje poprawność ich wydania, a nie kwestie merytoryczne. W praktyce więc wychodzi na to, że jeśli wobec danej osoby komisja postanowi o środku „zaradczym” i zrobi to zgodnie z ustawą, to dana osoba nie ma drogi odwoławczej co do meritum postanowienia.

MŁOT NA PRZECIWNIKÓW

Owe środki zaradcze trudno odczytać inaczej niż jako wymierzone w przeciwników politycznych. Katalog ma trzy punkty. Po pierwsze – cofnięcie poświadczenia bezpieczeństwa lub nałożenie zakazu otrzymania poświadczenia bezpieczeństwa na okres do 10 lat. Oznacza to wyeliminowanie danej osoby z zasiadania na wszystkich stanowiskach wymagających takiego certyfikatu, a w przypadku posła – we wszystkich komisjach, gdzie jest taki wymóg. Po drugie – zakaz pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi na czas do 10 lat. To z kolei oznacza zakaz zajmowania większości stanowisk publicznych, a także samorządowych, czyli w praktyce wyklucza daną osobę z życia politycznego. Po trzecie – co jest już jakimś kuriozum – cofnięcie pozwolenia na broń lub zakaz jej posiadania na czas także do 10 lat.

Wszystkie te konsekwencje mogą spotkać osobę, której w sensie prawnym niczego nie dowiedziono. To właściwie rodzaj sądu kapturowego.

Komisja ma jednak również sposób, żeby nękać właściwie dowolne osoby publiczne, także spoza wcześniej wskazanej kategorii decydentów. W projekcie ustawy czytamy, że bada ona również przypadki wpływów rosyjskich na działalność osób innych niż pełniące funkcje kierownicze, „o ile w istotny sposób oddziaływały one na bezpieczeństwo wewnętrzne lub godziły w interesy RP” w zakresie m.in. wpływu na środki masowego przekazu, rozpowszechniania fałszywych informacji, działalności stowarzyszeń lub fundacji lub funkcjonowania partii politycznych. Łapią się więc dziennikarze i publicyści, działacze organizacji pozarządowych

■ albo politycy, którzy nie pełnili funkcji kierowniczych. Co prawda, wobec tych osób nie można orzec środka zaradczego, ale można skierować zawiadomienie do prokuratury, a poza tym za niestawienie się przed komisją można orzec karę w wysokości najpierw 20 tys. zł, a kolejnym razem nawet 50 tys. zł.

Nietrudno przewidzieć, że Senat postanowi o odrzuceniu projektu w całości. Z kolei do odrzucenia postanowienia Senatu w Sejmie potrzeba będzie większości bezwzględnej, czyli liczba głosujących za będzie musiała być większa od łącznej liczby głosujących przeciw i wstrzymujących się. W ostatnim głosowaniu projekt przeszedł większością 233 głosów, czyli przy niemal pełnej mobilizacji nie tylko klubu Zjednoczonej Prawicy (228 głosów, nie głosowała m.in. poseł Siarkowska), lecz także posłów „zaprzysiężnionych”. Czy uda się to powtórzyć – nie wiadomo. Wcześniej pojawiały się sygnały o sceptycznej postawie prezydenta Andrzeja Dudy, więc nie jest też pewne, czy ustawa została by podpisana.

Być może prezydent zdaje sobie sprawę, że PiS z charakterystyczną dla siebie dezynwolturą tworzy narzędzie, które można wykorzystać także przeciwko niemu. Przecież z obu stron padają wzajemne oskarżenia o sprzyjanie Moskwie. Po ewentualnej zmianie władzy wystarczy zmodyfikować ustawę o komisji i uznać, że oznacza to konieczność powołania jej składu na nowo – praktykę tę wprowadził sam PiS w innych sprawach – a następnie zacząć za pomocą tego ciała szykanować polityków ugrupowania obecnie rządzącego.

WĄTPLIWE ROZWIĄZANIA

Nieco inne i szerzej nawet sięgające skutki może mieć ustawa szpiegowska. Projekt został zgłoszony jako poselski, co sprawia, że nie dotyczy go procedura konsultacji społecznych. Uzasadnienie mówi o dostosowaniu regulacji do obecnej „situacji geopolitycznej”. Być może część proponowanych zmian – np. podniesienie górnej granicy kar za przestępstwa związane ze szpiegostwem – jest zasadna. Natomiast w propozycji są też rozwiązania co najmniej wątpliwe.

To przede wszystkim zmiany w art. 130 Kodeksu karnego, dotyczą-

cym działania na rzecz obcego wywiadu. Znalazł się w nim paragraf przewidujący karę minimum ośmiu lat pozbawienia wolności za rozpowszechnianie „nieprawdziwych lub wprowadzających w błąd informacji” w połączeniu z braniem udziału w działalności obcego wywiadu. To nowa kategoria przestępstwa. Wątpliwości budzi postawienie obok „informacji nieprawdziwych” – prawdziwość lub nieprawdziwość to raczej jasna kategoria – informacji „wprowadzających w błąd”, co jest już sformułowaniem mglistym, które można interpretować dość dowolnie.

Najbardziej jednak kontrowersyjny jest proponowany par. 7, który trzeba tu zacytować w całości: „Kto wiadomość, której ujawnienie lub wykorzystanie może wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej, przekazuje osobie lub innemu podmiotowi, co do którego na podstawie

Albo mamy do czynienia z dyletanctwem, albo przepisem napisanym tak, by stworzyć paranoję podejrzeń

towarzyszących okoliczności powinien i może przypuszczać, że bierze on udział w działalności obcego wywiadu, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”.

Projektodawca skopiował tutaj konstrukcję z art. 292 Kodeksu karnego, który dotyczy tzw. nieumyślnego paserstwa: „Kto rzecz, o której na podstawie towarzyszących okoliczności powinien i może przypuszczać, że została uzyskana za pomocą czynu zabronionego, nabywa lub pomaga do jej zbycia albo tę rzecz przyjmuje lub pomaga do jej ukrycia, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. To samo sformułowanie pojawia się w innych przepisach, np. w Kodeksie karnym skarbowym.

Problem w tym, że to, co może mieć uzasadnienie w przypadku innych rodzajów przestępstw, może mieć dramatyczne skutki w przypadku spraw dotyczących szpiegostwa. Z literalnego odczytania przepisu wynika bowiem, że można zostać ukaranym za przek-

azywanie informacji osobie, co do której – zdaniem prokuratury – powinniśmy przypuszczać, że jest agentem obcego wywiadu, ale która wcale nim być nie musi! Jeśli dodamy do tego dużą swobodę interpretacji sformułowania „może wyrządzić szkodę” RP, to dostajemy przepis, który bardzo skutecznie może uciszyć wszystkich chcących zasygnalizować dziennikarzom czy organizacjom porządkowym coś niepokojącego w sferze działania państwa.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której pracownik MON dostrzega niepokojącą lukę w mechanizmie obronności, którą nikt nie chce się zająć. O tym problemie postanawia w końcu powiadomić jakieś medium i kontaktuje się z jego przedstawicielem. To wystarczy, aby oskarżyć go na podstawie proponowanego przepisu. Prokuratura może uznać, że wiadomość mogła wyrządzić szkodę państwu, a jej dysponent powinien przypuszczać, że dziennikarz, z którym się kontaktuje, może pracować na rzecz obcego wywiadu. Choć w rzeczywistości nie musi z nim mieć nic wspólnego.

Albo zatem mamy do czynienia z dyletanctwem w tworzeniu przepisów i zwykłym brakiem wyobraźni, albo też jest to przepis celowo napisany w taki sposób, aby stworzyć paranoję podejrzeń i zamknąć usta wszystkim tzw. sygnalistom.

Dodajmy do tego wprowadzenie kary za „czynienie przygotowań” do działania na rzecz obcego wywiadu – tu znów istnieje duża dowolność interpretacyjna – a dostajemy receptę na ciąg obsesyjnych podejrzeń i czysto polityczne motywowanych oskarżeń. W tym zestawieniu zawarte w tym samym projekcie przywrócenie PRLowskiego zakazu fotografowania, który przy dzisiejszych technologiach jest absurdalny i będzie uderzał jedynie w praworządnych obywateli, jest już tylko wisienką na torcie.

Wojna i zagrożenie bezpieczeństwa zawsze sprzyjały dokręcaniu obywatelom śrub. Uchwalona w następstwie ataków z 11 września 2001 r. amerykańska ustawa Patriot Act miała obowiązywać jedynie tymczasowo, a jej części były w mocy aż do 2020 r. – przez 19 lat! Łatwo wprowadzać ograniczenia wolności. Znacznie trudniej idzie ich znoszenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.



Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA



Niedziela
11:00



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Katolicy na celowniku



Paweł Chmielewski

Amerykańskie służby wzięły na celownik tradycyjnych katolików. W tajnym raporcie FBI opisano ich jako bliskich ekstremistów i rasistów, bo... sprzeciwiają się aborcji oraz ideologii LGBT. Służby podjęły konkretne działania, pozyskując źródła osobowe i rozpoczynając infiltrację kapłanów i wiernych

Był agent FBI, sygnalista Kyle Seraphin, opublikował 8 lutego 2023 r. wewnętrzny raport kontrwywiadu dotyczący inwigilacji tradycyjnych katolików. Oddział Federalnego Biura Śledczego w Richmond w Wirginii postanowił wziąć ich na celownik, żeby „chronić obywateli stanu przed zagrożeniem białej supremacji”. „Brutalni ekstremiści” głoszący rasizm czy antysemityzm mieli zacząć budować swoje struktury wśród katolików uczęszczających na Mszę łacińską. Agenci

FBI wymienili wprost Bractwo Kapłańskie św. Piusa X oraz Bractwo Kapłańskie św. Piotra, a zatem struktury zarówno niezależne od władz diecezji, jak i tym władzom podlegające. Warto pamiętać, że Richmond nie jest pierwszym lepszym amerykańskim miastem: to stolica stanu Wirginia, na którego terenie znajduje się duża część aglomeracji Waszyngtonu. Centra obu miast dzielą zaledwie niespełna dwie godziny jazdy samochodem. Katolicy tradycyjni z Richmond mają związki z tymi ze stolicy. Operacja wobec nich dotyka pośrednio również wiernych z Waszyngtonu.

W raporcie agenci nie przytoczyli żadnych dowodów na rzekomy ekstremizm wśród katolików. Dokument został oparty na twierdzeniach, które kilkanaście lat temu (sic!) ogłosiła w sieci Southern Poverty Law Center (SPLC). Grupa opublikowała wówczas listę „nienawistnych” mediów i organizacji katolickich. SPLC to skrajnie lewacka agenda, która nienawidzi wszystkiego, co choćby tylko pachnie prawicą, religią, rodziną czy tradycją. Cieszy się wsparciem finansowym m.in. George’a Sorosa. Jest zaangażowana w promocję aborcji, homo- i transseksualizmu. Na liście SPLC znalazły się m.in. znane wielu polskim czytelnikom portale: The Remnant Michaela Matta, walczący od dziesięcioleci

z każdą herezją (także z antysemityzmem i rasizmem), czy też Church Militant, zaangażowany m.in. w wyjaśnianie skandali seksualnych wśród... tradycyjnych zgromadzeń katolickich.

ROZBUDOWANA OPERACJA

Autorzy raportu FBI nie wzięli poprawki na skrzywienie swojego głównego źródła. Zresztą obok listy SPLC oparli się już tylko na artykułach z... lewicowej prasy. Z dokumentu wynika, że sami są głęboko zakorzenieni w lewackim światopoglądzie. Jako „problem” z katolikami tradycyjnymi wskazali np. sprzeciwianie się aborcji. Dokumentowi brakuje wewnętrznej logiki. Agenci FBI z jednej strony przyznali, że biali rasiści mają fundamentalny kłopot z docieraniem do tradycyjnych katolików, bo z jednej strony jako protestanci żywią „głęboko zakorzoną niechęć” do katolicyzmu, a z drugiej sami katolicy uważają ich po prostu za heretyków. Ta obiektywna rzeczywistość nie przeszkodziła jednak autorom raportu twierdzić kilka zdań później, że zagrożenie jest poważne, dlatego trzeba podjąć stosowne, dobrze przemyślane działania kontrwywiadowcze.

Ujawniony dokument FBI spotkał się z niemal powszechną krytyką. Sam Kyle Seraphin wskazał celnie na jego niemery-

toryczność i niezgodność ze standardami Biura. To samo stwierdzili prokurator generalny stanu Wirginia Jason Miyares i 19 innych prokuratorów stanowych, którzy napisali list otwarty do dyrektora FBI, Christophera Wraya. W liście podkreślono, że działania Biura naruszają pierwszą poprawkę do amerykańskiej konstytucji – uderzają w tradycyjnych katolików nie z powodu jakichś konkretnych działań wymierzonych w amerykański porządek, ale dlatego, że mają poglądy niezgodne z aktualną linią administracji Joe Bidena i dominantą światopoglądową w samym FBI. To nie jest błąd zarzut: pierwsza poprawka gwarantuje nie tylko wolność religii, lecz także słowa i prasy, stanowi tym samym fundament wolnościowego systemu USA. Władze FBI, znalazłszy się pod presją, przeprosiły za raport i uznały go za incydentalny, pozbawiony realnego znaczenia. Problem jednak w tym, że to tłumaczenie zupełnie niewiarygodne.

Wkrótce okazało się, że dokument był jedynie przyczynkiem do podjęcia bardzo konkretnych i szeroko zakrojonych działań przeciwko katolikom. FBI nie tylko opisało „zagrożenie” ze strony katolickich tradycjonalistów, lecz także postanowiło rozpocząć ich aktywną inwigilację. Biuro ujawniło więcej szczegółów, odpowiadając na pytania kongresmana Jima Jordana z Ohio, który jest szefem specjalnej komisji zajmującej się wykorzystywaniem przez administrację Bidena służb federalnych przeciwko prawicy. FBI przyznało, że udało mu się zwerbować jednego tajnego współpracownika, który informował je o działaniach katolików w Richmond i miał stanowić punkt wyjścia do zbudowania całej siatki informatorów. Biuro planowało dotrzeć do duchownych i świeckich liderów w Bractwie Kapłańskim św. Piusa X oraz w strukturach diecezjalnych, by zdobywać nowe źródła i monitorować „podejrzaną aktywność”. W całej sprawie nie chodzi więc o jeden niefrasobliwy raport, ale o rozbudowaną operację FBI wymierzoną w ludzi związanych z Mszą trydencką.

SYSTEM KONTRA KATOLICY

W amerykańskich służbach postawy antychrześcijańskie nie są nowością. Przykładem jest Peter Strzok, były wysoki rangą agent Biura, kierownik śledztwa w sprawie rzekomych rosyjskich wpływów w kampa-

Tragedią naszych czasów jest to, że katolicy tradycjonałści zagrożeniem są także dla... Watykanu

nii wyborczej, która wyniosła do prezydentury Donalda Trumpa. Kiedy w Waszyngtonie odbywały się protesty pro-life, Strzok esemesował z Lisą Page, prawniczką Biura (ich korespondencja została ujawniona w sieci). Page pisała, że „nienawidzi tych ludzi”, a sam Strzok określał ich mianem „pieprzonych demonstrantów, którzy blokują ulice”. Pro-liferzy są przez służby regularnie napastowani, formalnie zgodnie z prawem. W sierpniu 2022 r. funkcjonariusze SWAT otoczyli o godz. 7 dom Marka Houcka, ojca siedmiorga dzieci. Z wycelowanymi karabinami walili w drzwi, by na oczach całej rodziny zatrzymać mężczyznę. Postawiono mu zarzuty dotyczące utrudniania dostępu do kliniki aborcyjnej. Pod analogicznym zarzutem w październiku 2022 r. FBI zatrzymało innego pro-lifera, Paula Vaughna. W obecnym roku skazano na więzienie franciszkanina o. Fidelisa Moscinskigo i całą grupę współpracujących z nim pro-liferów. Wszyscy robili to samo: „nękali” aborcyjne kliniki. Podobnych spraw są dziesiątki; jeszcze więcej jest przypadków przeciwko krytykom restrikcji covidowych. Republikanie mówią wręcz o zjawisku celowego wykorzystywania służb celem niszczenia opozycji politycznej demokratów.

Amerykański system polityczny nie pierwszy zresztą raz występuje przeciwko autentycznemu katolicyzmowi. W 2015 r. ukazała się książka katolickiego prawnika Davida Wemhoffa pt. „John Courtney Murray, Time/Life, and the American Proposal”. Wemhoff opisał w niej wysiłki, jakie podejmował „deep state” USA w celu zmiany nauczania Kościoła katolickiego w czasie Soboru Watykańskiego II. Tytułowy John Courtney Murray był amerykańskim jezuitą i teologiem; odegrał kluczową rolę na Soborze w sprawie wolności religijnej. To dzięki jego wykładom ojcowie soborowi zgodzili się na ostateczny kształt deklaracji „Dignitatis humanae”, która na miejsce tradycyjnego nauczania Kościoła o tym, że nikt nie ma prawa do

błędu, wprowadziła liberalny sofizmat „swobody sumienia”, co stało się podstawą rezygnacji przez Kościół z roszczeń do wpływu na kształt prawodawstwa państwowego i do posiadania statusu religii uprzywilejowanej (bo prawdziwej). Wemhoff pokazał, że pozycja, którą zdobył Murray w Rzymie w czasie Soboru, została osiągnięta dzięki wsparciu założyciela magazynu „Time” Henry’ego Luce’a, protestanta, który działał w porozumieniu ze służbami amerykańskiego rządu.

Amerykanie chcieli zaadaptować Kościół do „nowych czasów”, to znaczy – do liberalnego systemu, który sami stworzyli. To się rzeczywiście w dużej mierze udało.

PAPIEŻ PRAWIE JAK FBI

Tragedią naszych czasów jest to, że katolicy tradycjonałści zagrożeniem są także dla... Watykanu, który w swojej polityce coraz częściej zamienia głoszenie tradycyjnej nauki na snucie liberalnej narracji. Papież Franciszek próbuje tę grupę po prostu usunąć z Kościoła. W 2021 r. wydał dokument „Traditionis custodes”, za pomocą którego próbował całkowicie rozbić wspólnoty tradycyjne; później wyprowadził jeszcze kilka dalszych ciosów, wydając kolejne wymierzone w „tradysów” dokumenty. Dlaczego? Cóż, katolicy tradycjonałści krytykują tak bliskie mu: relatywizm religijny, współpracę z globalistami, lekceważenie społecznego znaczenia zbrodni aborcji czy zagrożeń ideologii LGBT. Być może dlatego na skandal raportu FBI tak słabo zareagował Episkopat USA. Wprawdzie sprawę dość wyraziście skomentował ordynariusz Richmond, Barry Knestout, oceniając działania Biura jako naruszenie konstytucji USA. Jednak po stronie całego Episkopatu zabrakło jasnego głosu. Oświadczenie wydał jedynie kard. Timothy Dolan, przewodniczący Komisji ds. Wolności Religijnej. Hierarcha rozpoczął nie od obrony wolności katolików, ale od... potępiania przemocy, nienawiści i rasizmu, tak jakby tradycjonałści byli jednak winni. Dopiero w dalszej części tekstu po prostu zacytował słowa bp. Knestouta, nie dodając od siebie prawie nic.

Cóż, biskupi nie będą „umierać” za tradycyjnych katolików. Mogliby narazić się w ten sposób nie tylko administracji Joe Bidena, lecz także administracji papieża Franciszka...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Ponad 60 lat temu świat stanął na krawędzi atomowej zagłady. Wydarzenia, które przeszły do historii pod nazwą „kryzysu kubańskiego”, dramatycznie zapisały się w pamięci wszystkich, którym dane było je śledzić. Zakupy towarów pierwszej potrzeby robiły wtedy gospodynie domowe w Moskwie, Warszawie i Nowym Jorku, gotowość bojową ogłoszono zaś w jednostkach wojskowych na całym świecie.

Historię kryzysu kubańskiego datować można na wiele sposobów. Najbardziej popularna jest chronologia „trzynastu dni”, nawiązująca do tytułu książki napisanej przez bezpośredniego uczestnika tych wydarzeń, Roberta Kennedy’ego. Mowa o okresie zaczynającym się 16 października 1962 r., kiedy prezydentowi Johnowi F. Kennedy’emu pokazano zrobione przez samolot szpiegowski U-2 zdjęcia budowanych na Kubie instalacji rakietowych, mogących służyć do wystrzeliwania sowieckich pocisków nuklearnych. Transport ich na Kubę zaczął się jednak już kilka miesięcy wcześniej. Na wyspę dostarczono w sekrecie nie tylko uzbrojone w głowice jądrowe rakiety średniego i krótkiego zasięgu, lecz także rakiety przeciwlotnicze, myśliwce i bombowce zdolne do przenoszenia bomb atomowych. Towarzystwo im ok. 40 tys. sowieckich żołnierzy.

Reakcja prezydenta Stanów Zjednoczonych była zarazem stanowcza i rozważna. Uznał on, że obecność sowieckiej broni jądrowej w odległości 90 mil od amerykańskich wybrzeży jest nie do zaakceptowania. Zdecydował się zmusić sowieckiego przywódcę, Nikitę Chruszczowa, do wycofania z Kuby zarówno broni jądrowej, jak i środków jej przenoszenia. Zarazem zrobił, co w jego mocy, by dać Chruszczowowi możliwość wycofania się z zaistniałej sytuacji z twarzą, unikając eskalacji konfliktu i wojny jądrowej.

Wśród doradców prezydenta i czołowych polityków amerykańskich postawa taka wcale nie była wtedy dominująca. Większość generałów z Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, uczestniczących w powołanym wtedy sztabie kryzysowym, namawiała prezydenta do zaatakowania Kuby i rozwiązania kryzysu metodami militarnymi. Także wśród urzędników cywilnych ujawniły się w tej kwestii drastyczne różnice zdań. Kenne-

Świat na krawędzi



Dariusz Wieroniejczyk

Co sprawiło, że atomowy armagedon zagroził ludzkości w październiku 1962 r.? Czy dzisiejsza sytuacja związana z wojną na Ukrainie może być porównywana z tamtym konfliktem – i jakie są pomiędzy nimi podobieństwa oraz różnice?



dy wybrał rozwiązanie kompromisowe: ogłosił „kwarantannę” Kuby i rozkazał marynarce wojennej USA zatrzymywać i kontrolować wszystkie sowieckie statki i okręty wojenne zmierzające w stronę wyspy. Znamienne jest jednak, że w swo-

im wystąpieniu telewizyjnym nie nazwał tego „blokadą” (co jednoznacznie kojarzyło się z działaniami podejmowanymi podczas wojny), a właśnie „kwarantanną”. Nie zgodził się też na atakowanie sowieckich okrętów i instalacji wojskowych.

W tym czasie doszło do najbardziej spektakularnych wydarzeń, o których z dużym opóźnieniem dowiedzieli się historycy i światowa opinia publiczna. Pokazują one, jak wiele w momentach kryzysu zależeć może nie od świadomych wyborów przywódców, a od przypadkowych sytuacji i nieuzgadnianych z przełożonymi decyzji dowódców niskiego szczebla. Trzy takie wydarzenia miały miejsce w „najgorętszym” dniu kryzysu – 27 października 1962 r.

PUNKTY ZAPALNE

Z powodu błędu nawigacyjnego zgubił się nad obszarem Alaski i wleciał w sowiecką przestrzeń powietrzną amerykański samolot szpiegowski U-2. Na jego spotkanie ruszyła grupa sowieckich odrzutowców. Dla ich odparcia z Alaski wystartowały amerykańskie myśliwce przechwytyjące. Do bitwy powietrznej nie doszło „o włos”, gdyż sowieckie samoloty przerwały pościg na krótko przed spotkaniem z maszynami US Air Force.

Tego samego dnia nad Kubą sowiecka bateria rakiet przeciwlotniczych – bez autoryzacji Moskwy, ale wskutek żądań Fidela Castro wspartych zgodą przebywającego na Kubie sowieckiego generała – zestrzeliła samolot U-2, zabijając pilota. Dla niektórych doradców Kennedy’ego był to wystarczający casus belli – Rosjanie oddali pierwszy strzał, zginął major amerykańskiego lotnictwa Rudolf Anderson. Pojawiła się propozycja zbombardowania rosyjskiej wyrzutni, z której wystrzelono fatalny pocisk. Kennedy osobiście zdecydował, że na ten „pierwszy krok” w stronę wojny Stany Zjednoczone nie odpowiedzą.

Najbardziej dramatycznym epizodem tego dnia było jednak zaatakowanie „ćwiczebnymi” ładunkami głębinowymi sowieckiej łodzi podwodnej typu Foxtrot. Amerykanie nie wiedzieli, że była ona uzbrojona w torpedę z głowicą jądrową. Sowiecki kapitan, pozbawiony łączności z Moskwą i – jak twierdzili Rosjanie (amerykańscy historycy uważają to za całkiem prawdopodobne) – „ostrzegawczo” ostrzelany po wynurzeniu przez amerykańskie samoloty, rozkazał odpowiedzieć na domniemany atak za pomocą ładunku atomowego. Nie trzeba dodawać, że atakowanie sowieckich okrętów nie było przez dowództwo US Navy dopusz-

czone, „strzały ostrzegawcze” oddano zaś w stronę łodzi podwodnej bez autoryzacji przełożonych. Decyzja spanikowanego, ale postępującego zgodnie z sowieckimi procedurami kapitana została w ostatniej chwili wstrzymana przez prawdziwego bohatera tego dnia, przebywającego na pokładzie okrętu szefa sztabu podwodnej floty – Wasilija Archipowa. Śmiało można powiedzieć, że to on, w większym nawet stopniu niż Kennedy czy Chruszczow, powstrzymał wtedy świat przed stoczeniem się w otchłań atomowego konfliktu.

Dalsze losy kryzysu kubańskiego są już historią zmierzającą do szczęśliwego zakończenia. Z inicjatywy obydwu stron w mediację zaangażował się przewodniczący Organizacji Narodów Zjednoczonych – U Thant. Bardzo ważną rolę

Ostrzelany kapitan sowieckiej łodzi podwodnej dał rozkaz, by odpowiedzieć ładunkiem atomowym

odegrały apele o rozpoczęcie negocjacji wystosowane przez papieża Jana XXIII. W trakcie negocjacji pomiędzy dyplomatami obu stron ustalono wycofanie z Kuby sowieckich rakiet, bombowców i pocisków nuklearnych oraz wystosowano oficjalne zapewnienie Amerykanów, że nie dokonają oni – ani nie będą wspierać – żadnej inwazji wojskowej na Kubę. Amerykanie zobowiązali się też do wycofania z Turcji zainstalowanych już tam rakiet średniego zasięgu Jupiter, przystosowanych do przenoszenia ładunków nuklearnych. Kennedy podjął się wykonania tego kroku w ciągu kilku miesięcy po wycofaniu rosyjskich rakiet z Kuby. Miało to służyć uniknięciu bezpośredniego łączenia obu kroków przez amerykańską opinię publiczną, a co za tym idzie – zachowaniu twarzy przez amerykańską administrację. Wycofanie rakiet z sojuszniczej Turcji miało wyglądać na decyzję samodzielną, a nie bezpośredni efekt sowieckiego szantażu.

Za końcową datę kryzysu „trzynastu dni” uważa się 28 października. Tego dnia odbyło się spotkanie Roberta

Kennedy’ego z ambasadorem ZSRS z Waszyngtonie, Anatolijem Dobryninem. Obie strony ustaliły na nim kroki, które miały zostać podjęte w celu rozwiązania kryzysu. Pierwsze sowieckie rakiety zaczęto wywozić z Kuby już 5 listopada 1962 r., dwa tygodnie później Rosjanie zgodzili się także na wycofanie z wyspy swoich bombowców, a Amerykanie zdjęli blokadę morską. 1 kwietnia 1963 r. przystąpiono do wycofywania amerykańskich rakiet Jupiter z Turcji.

ROZWAGA, KONSEKWENCJA, SPOKOJ

Przyczyny, z powodu których świat uniknął w roku 1962 konfliktu nuklearnego, wydają się dość złożone. Wielu wskazuje tu na osobiste zasługi prezydenta Johna F. Kennedy’ego. W trakcie kryzysu wykazał się on nadzwyczajną rozwagą, konsekwencją i spokojem. Nie pozwolił też, by zarządzanie kryzysem wymknęło się z ręki polityków. Amerykański historyk Martin J. Sherwin twierdzi, że bezpośrednio przed kryzysem kubańskim Kennedy miał okazję przeczytać znakomitą książkę Barbary Tuchman „Sierpniowe salwy”, poświęconą okolicznościom wybuchu pierwszej wojny światowej. Jeśli rzeczywiście tak było, to historia opowiedziana przez Tuchman okazała się nie tylko nauczycielką życia, lecz także przepisem na uniknięcie katastrofy, dzięki któremu udało się zapobiec powtórzeniu największej tragedii politycznych omyłek XX stulecia.

Pamiętajmy, że obaj bohaterowie rozgrywanego wtedy dramatu bezpośrednio uczestniczyli w walkach drugiej wojny światowej. Prezydent Kennedy był w czasie wojny dowódcą amerykańskiego kutra torpedowego, staranowanego i zatopionego na Pacyfiku przez japoński niszczyciel „Amagiri”. Kennedy zachował się wtedy odwrotnie, przepłynął, mimo kontuzji, kilka kilometrów do najbliższego brzegu, ratując przy tym życie rannych i poparzonych kolegów. Z własnego doświadczenia wiedział, jak podejmować szybkie i ryzykowne decyzje. W trakcie kryzysu kubańskiego prezydent Kennedy miał tylko 45 lat, a jednak napięcie związane z tymi dniami było dla niego przeżyciem nadzwyczaj wyczerpującym.

Nikita Chruszczow to postać, która powinna być polskiemu czytelnikowi

■ znająca. Od lat 30. był jednym z najbliższych współpracowników Józefa Stalina, uczestnikiem jego zbrodni, a także śmiertelnie niebezpiecznych intryg i rozgrywek politycznych. Sztuka przetrwania ich nie udało się wielu członkom stalinowskiego kierownictwa. W czasie wojny Chruszczow delegowany był do sztabów sowieckich frontów, uczestniczył też jako komisarz polityczny w bitwie stalingradzkiej.

„NIE POCIĄGAĆ ZA KOŃCE LINY”

O tym, że niewątpliwie zbrodniarz Chruszczow nie był jednak tak prymitywnym głupcem, jakim portretują go czasem zachodni publicyści, świadczy pismo wysłane przez niego Kennedy’emu w samym epicentrum kryzysu. Oto jego fragment: „Panie Prezydencie. Pan i ja nie powinniśmy razem pociągać za końce liny, na której zawiązał Pan węzeł wojny. Im bardziej ciągnąć będziemy tę linę, tym mocniej zaciśnie się ów węzeł. Może nastąpić moment, gdy węzeł zaciśnięty zostanie tak mocno, że nawet ten, kto go zawiązał, nie będzie miał już siły go poluzować i trzeba będzie go przeciąć. Nie muszę Panu wyjaśniać, co oznaczać będzie takie cięcie, ponieważ Pan sam doskonale rozumie, jak straszliwymi siłami dysponują oba nasze kraje”.

Choć jest to metafora prosta, nie sposób jej odmówić oryginalnej obrazowości i siły przekonywania.

Ważnym czynnikiem w rozwiązaniu kryzysu kubańskiego było podejście do siebie obu skonfliktowanych stron. Zdały sobie one sprawę, że dla każdego z przywódców niezbędne jest nie tylko „zachowanie twarzy”, lecz także wycofanie się z kryzysowej sytuacji w sposób akceptowalny dla pozostałych uczestników kierownictwa politycznego. Żaden z liderów nie był „jedynowładcą”; obaj musieli się liczyć z koniecznością przekazania do swoich decyzji establishmentu politycznego i dowódców wojskowych. W wypadku Kennedy’ego duże znaczenie miała też opinia publiczna.

Niezwykle istotne w rozwiązaniu kryzysu okazały się obdarzone międzynarodowym autorytetem instytucje międzynarodowe, takie jak ONZ (i jego przewodniczący U Thant) oraz urząd papieski, w osobie Jana XXIII. Obaj przywódcy supermocarstw wykorzystywali

Kryzys na Ukrainie jest dla pokoju światowego groźniejszy od kryzysu kubańskiego

je jako mediatorów, na których apele o pokój i negocjacje mogli się powoływać, uzasadniając konieczność deeskalacji kryzysu i odpowiedniego rozegrania go w oczach społeczności międzynarodowej. Dzisiejszy upadek autorytetu ONZ – a zwłaszcza zanik politycznej roli papieża – jest niewątpliwie czynnikiem, który zmienił sytuację międzynarodową na gorsze.

Dla rozwiązania kryzysu kubańskiego kluczowa była ścisła kontrola, którą sprawowali Amerykanie i Rosjanie wobec podporządkowanych sobie państw satelickich. Rolę odgrywaną w przebiegu kryzysu przez kubańskiego przywódcę Fidela Castro ocenić można jako nadzwyczaj niebezpieczną – wręcz złowrogą. Jego histeryczne apele do Chruszczowa o eskalację zaangażowania militarnego oraz próby bezpośredniego wpływania na lokalnych dowódców wojskowych na Kubie o mało nie doprowadziły do wywołania kryzysu spod kontroli. Dla Castro inwazja amerykańska na Kubę wydawała się nieuchronna, a pełne zaangażowanie sowieckie w ewentualne działania zbrojne jawiło się jako jedyna szansa ratunku. Stało to w całkowitej sprzeczności z logiką wzajemnych ustępstw – które ostatecznie ocaliły świat przed zagładą. Podobnie możliwości zignorowania tureckich protestów towarzyszących wycofaniu z Turcji rakiet Jupiter umożliwiła Amerykanom udaną deeskalację konfliktu.

Największym zagrożeniem dla zachowania pokoju w konflikcie kubańskim nie była nadmierna kontrola przywódców nad działaniami sił zbrojnych i polityków obu państw – były nim raczej dekompozycja systemu władzy i przypadkowa nawet utrata tej kontroli. Taki właśnie przestudiowany szczęśliwie przez prezydenta Kennedy’ego proces doprowadził do wybuchu pierwszej wojny światowej. Serbia z powodu wewnętrznego chaosu nie nadzorowała własnego wywiadu wojskowego, na którego czele stał przy-

wódca „tajnej” organizacji terrorystycznej Czarna Ręka – płk Dragutin Dmitrijević („Apis”). Carska Rosja z kolei nie była w stanie trzymać w ryzach własnego ambasadora w Serbii – wpływowego i zarazem niezwykle wojowniczego Nikołaja Hartwiga. Ten, jak twierdzą historycy, zawdzięczał samodzielną pozycję bliskiej, a nawet „intymnej” znajomości swej żony z naczelnym dowódcą armii carskiej, wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem. Carski minister spraw zagranicznych Sazonow (szwagier zamordowanego, być może przy udziale ochrony, premiera Stołypina) nie był nawet informowany o wielu poczynaniach własnego ambasadora. Można powiedzieć, że to utrata przez Rosję sterowania i kontroli nad własnymi strukturami władzy, w rezultacie wewnętrznego kryzysu imperium, doprowadziła pośrednio do zamachu sarajewskiego i samobójstwa Europy. Brak ścisłego nadzoru nad pograżonymi w chaosie państwami satelickimi i umożliwienie im samodzielnych wrogich poczynań wobec drugiego mocarstwa były w mojej ocenie jedną z przyczyn „sierpniowych salw”, które pogrzebały Europę w roku 1914.

TRUDNIEJSZA SYTUACJA

Pojawia się wśród polityków opinia, że kryzys na Ukrainie jest dla pokoju światowego groźniejszy od kryzysu kubańskiego. Jest to moim zdaniem opinia słuszna. Wiele czynników, które przed półwieczem działały na rzecz zachowania pokoju, dziś straciło na znaczeniu. Świat stał się bardziej wielobiegunowy, co zmusza światowych graczy do toczenia równoległego pojedynku na kilku bardzo niestabilnych szachownicach. Co gorsza, system polityczny Stanów Zjednoczonych wydaje się dzisiaj znacznie bardziej podzielony i zdecydowanie mniej sterowny niż w czasach zimnej wojny. Poziom amerykańskiego przywództwa też się raczej w ostatnich latach nie poprawił. Dodajmy do tego duży stopień autonomii, którym cieszy się Ukraina w rozgrywanym na swojej ziemi konflikcie światowych mocarstw. Czy nie jest on znacznie większy od tego, którym cieszyła się „bratnia Serbia” w sojuszu z imperium Romanów? Wszystko to nie składa się raczej na obraz nadmiernie optymistyczny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



KOMUCHOŻERCA

Armia Hallera

LESZEK ŻEBROWSKI

Podczas pierwszej wojny światowej Polacy stworzyli wiele różnych jednostek wojskowych, licząc na odzyskanie niepodległości, po bardzo długiej niewoli. Wymodlona „wojna narodów” stała się faktem i dawała nadzieję, że wreszcie państwa rozbiorowe przestaną mieć nad nami władzę. Były różne orientacje, tworzone zarówno przy boku państw zaborczych, jak i we Francji. Propagandowo najbardziej znane są Legiony (w istocie był tylko jeden Legion – Zachodni, formowany w Krakowie), a w nich I Brygada, najmniej liczna, dowodzona przez brygadiera Józefa Piłsudskiego (ten stopień, parawojskowy, otrzymał od Austriaków jako „urzędnik wojskowy VI rangi”).

Największym przedsięwzięciem wojskowym Polaków było utworzenie Armii Polskiej we Francji. Miała też ona największe znaczenie polityczne, ponieważ podlegała w całości polskiemu władzom cywilnym, Komitetowi Narodowemu Polskiemu, uznanemu przez aliantów zachodnich za prawowity rząd polski. Formacja ta nazywana była różnie: Armią Błękitną (od koloru mundurów), Armią Hallera (od nazwiska jej dowódcy, gen. Józefa Hallera), a nawet „Armią Dmowskiego, Paderewskiego i Hallera”. Propozycję objęcia dowództwa nad nią otrzymał bowiem Roman Dmowski (najbardziej znany na Zachodzie polityk polski), ale odmówił, tłumacząc, że jest cywilem. Józef Piłsudski – również cywil – takich oporów nie miał. Kto wie, jak potoczyłyby się nasze dalsze losy, gdyby Dmowski tę funkcję wówczas przyjął?

Armia składała się z ochotników, werbowanych głównie w USA i Kanadzie, a także w Brazylii i krajach europejskich. Ponadto wstępowali do niej jeńcy z armii niemieckiej i austrowęgierskiej. Osiągnęła ona imponujący stan – ponad 70 tys. oficerów i żołnierzy, ponadto podporządkowały się jej formacje tworzone na terenie Rosji, w tym m.in. dywizje piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego i płk. Waleriana Czumy. Sprawą najważniejszą stało się jej przerzucenie, po zakończeniu pierwszej wojny światowej, do odradzającej się Polski. Proces ten rozpoczął się 19 kwietnia 1919 r.

Niezwykle ważną sprawą było jej wyposażenie (z zasobów francuskich): broń pancerna (w tym artyleria i czołgi), własne lotnictwo i inne niezbędne w wojsku sprzęty, w tym samochody. Trudno sobie wprost wyobrazić ówczesne działania frontowe bez tej armii – rozgromienie wojsk ukraińskich w Małopolsce Wschodniej, a następnie walki w obronie Rzeczypospolitej w wojnie z bolszewikami w latach 1919–1921.

Generał Józef Haller, odwołany z jej dowództwa przez Piłsudskiego już w czerwcu 1919 r., powrócił jako twórca i dowódca ponadstutysięcznej (!) Armii Ochotniczej. ©©



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Awantura o ser

SŁAWOMIR KOPER

Bona Sforza z wiekiem robiła się coraz bardziej małostkowa i nie potrafiła się pogodzić z tym, że po małżeństwie Zygmunta Augusta z Elżbietą Habsburżanką (6 maja 1543 r.) zaczęto ją nazywać „starą królową”. Dostawała wówczas ataków szału i wykrzykiwała, że nie jest „starą”, tylko „wielką królową”. Do tego pastwiła się psychicznie nad synową, poniżając ją na każdym kroku. Nawet z wręczeniem prezentu ślubnego czekała przez tydzień. Nie był on zresztą specjalnie wyrafinowany, podobno był to dość małej wartości naszyjnik.

Po Krakowie krążyły opowieści, że Bona miała grozić Elżbiecie śmiercią, i w tej sytuacji interweniował dworzanin młodej królowej, Włoch Jan Marsupin. Oficjalnie odgrywał rolę tłumacza Habsburżanki i jako człowiek mający z nią osobisty kontakt ułożył listę ponad 20 zarzutów, które potwierdzały złe traktowanie dziewczyny. Prosił o audiencję u Bony, ale musiał czekać na spotkanie aż trzy dni. Doszło wreszcie do tego, że nie chcąc, by „wielka królowa” go oddaliła, spędził wiele godzin pod jej drzwiami. Inna sprawa, że rozmowa nie przyniosła żadnych efektów, gdyż Bona przyjęła Włocha z Elżbietą u boku, która była zbyt wystraszona, by cokolwiek powiedzieć.

Stara królowa postanowiła pozbyć się z dworu wścibskiego Marsupina. Wykorzy-

stała do tego sprawę wydania synowej parmezanu z jej prywatnych zapasów. Pewnego dnia Elżbieta zażyczyła sobie sera, który uchodził wówczas za drogi i rzadki przysmak. W jej spiżarni nie było parmezanu, poprosiła zatem, by przyniesiono go jej z zapasów teściowej. W tej sytuacji Bona rozpoczęła energiczne śledztwo w sprawie sera, a właściwie plotek, które zaczęły krążyć na ten temat. Miała powód, gdyż Marsupin i jego poplecznicy skorzystali z okazji, by opowiadać, że Bona usiłuje zagłodzić synową na śmierć.

Wielu historyków twierdziło, że był to przykład małostkowości Bony. W rzeczywistości jednak królowa rozegrała sprawę na zimno. Chciała obrzydzić życie habsburskiemu agentowi i wykorzystała nadarzącą się okazję. Zwołała naradę dostojników i przeprowadziła atak na Marsupina, a senatorowie ją poparli i zażądali ukarania winnych „serowego skandalu”. Atmosfera spotkania była tak gorąca, że królowa zaczęła nawet wykrzykiwać, iż Marsupina każe obić kijami.

Niebawem los habsburskiego szpiega się dopełnił. Zrozumiał to, gdy nie wpuszczono go do zamku w Niepołomicach, gdzie zatrzymał się dwór królewski. Spędził noc w stajni, nabawił się ostrej febrы i wkrótce potem wyjechał z Polski. Bona osiągnęła swój cel. ©©

Co mówią zapiski kard. Gulbinowicza?



Rafał Łatka

Odmowa wiedzy, brak umiejętności krytycznej oceny źródeł archiwalnych i celowe manipulacje – uwagi na temat tekstu Agnieszki Bugały pt. „Nieznane pamiętniki kardynała odnalezione”

W poprzednim numerze „D Rzeczy” ukazał się tekst Agnieszki Bugały poświęcony otrzymanym przez nią pamiętnikom kard. Henryka Gulbinowicza. Bardzo dobrze się stało, że dysponujemy kolejnym ciekawym źródłem dotyczącym najnowszej historii Kościoła, które powinno uzupełnić naszą wiedzę na temat życia i działalności wspomnianego hierarchy. Gorzej, że na razie jedyną osobą, która analizuje zawartość tego materiału, jest dziennikarka i przedstawicielka środowiska, które twierdzi, że kard. Gulbinowicz został skrzywdzony i niesłusznie pomówiony, a jego życiorys funkcjonujący w sferze publicznej przed 2019 r. w istocie nie wymagał rewizji...

Tekst, do którego się odnosi, zawiera liczne błędy, które można podzielić na trzy zasadnicze kategorie: tendencje hagiograficzne połączone z odmową wiedzy; brak umiejętności krytycznej oceny źródeł archiwalnych; celowe manipulacje – poniżej omówię każdą z nich.

DZIAŁALNOŚĆ PRZED 1976 R.

Redaktor Bugała, co nie jest żadną tajemnicą, należy do wrocławskiego środowiska obrońców „niezłomnego”

życiorysu kard. Gulbinowicza. Widać to niestety bardzo wyraźnie również w tekście „Nieznane pamiętniki kardynała odnalezione”. Artykuł poprzedza lead z biogramem hierarchy, który został tak ułożony, żeby przekonać czytelnika, iż Gulbinowicz był postacią bez skazy (poza – jak się można domyślać – niesłusznym zdaniem autorki ukaraniu go przez Stolicę Apostolską w 2019 r.).

Charakterystyczne jest to, że biogram hierarchy rozpoczyna się dopiero wraz z objęciem przez niego funkcji metropolity wrocławskiego. Nie ma w nim ani słowa o życiu i działalności ks. Gulbinowicza przed 1976 r., do którego nawet przy przyjęciu najkorzystniejszych interpretacji nijak nie pasuje określenie „niezłomny”. W istocie jako administrator apostolski w Białymstoku bp Gulbinowicz prezentował uległą wobec władz komunistycznych postawę; proponował dygnitarzom partyjnym współdziałanie i wreszcie utrzymywał od 1969 r. (przez 16 kolejnych lat) tajne kontakty z funkcjonariuszami aparatu bezpieczeństwa. Za to red. Bugała informuje, że był przez SB represjonowany i otrzymał od IPN status pokrzywdzonego (co jest prawdą, ale nie unieważnia wspomnianych wyżej wątków życiorysu). Nie ma w tekście również ani słowa o okolicznościach wyboru hierarchy na metropolitę wrocławskiego i kluczowym fakcie, że komuniści odrzucili wcześniej siedmiu kandydatów na stanowisko przedstawionych przez kard. Wyszyńskiego (z których każdy był zdaniem SB bezwzględnie wierny Kościołowi i cieszył się zaufaniem prymasa; a w przypadku Gulbinowicza tak nie było i właśnie dlatego zgodzono się na jego kandydaturę). O uległej wobec władz po-

stawie hierarchy świadczą wprost liczne dokumenty aparatu bezpieczeństwa PRL oraz Urzędu ds. Wyznań, a także opracowania naukowe przygotowane przeze mnie i Filipa Musiała. Ignorowanie tych źródeł, obecnych w obiegu naukowym, musi budzić zdumienie.

Odmowa wiedzy zaprezentowana przez red. Bugałą wprost przekłada się niestety na analizę zawartości pamiętników kard. Gulbinowicza, której dokonała. O braku przygotowania do opracowywania tego rodzaju źródeł historycznych świadczy to, że dla autorki tekstu raz są to pamiętniki, a kiedy indziej dzienniki. Już studenci I roku dowolnego kierunku humanistycznego widzą fundamentalną różnicę między tymi dwoma kategoriami źródeł relacyjnych. Określenie ich statusu wymaga precyzji językowej i wrażliwości na ocenę tego rodzaju materiałów, której w tekście dziennikarki nie widać.

W istocie nie dowiadujemy się z tego artykułu, kiedy dokładnie ks. Gulbinowicz zaczął prowadzić zapiski ani kiedy powstała ostatnia notatka. Redaktor Bugała nie zastanawia się i nie tłumaczy, czemu wpisy z lat 70. są lakoniczne. Nie dokonała nawet podstawowego sprawdzenia, które od razu nasuwa się każdemu historykowi – a mianowicie: co hierarcha pisze na temat swoich spotkań z funkcjonariuszami SB (czy w ogóle to robi), jak wyglądają jego zapiski z tych dni. Jeśli nic nie pisze lub robi to w sposób oględny, to mocno wpływa to na





ocenę wiarygodności źródła, którym są jego pamiętniki. Bugała anonimizuje krytyczne wypowiedzi ks. Gulbinowicza dotyczące różnych osób, co powoduje, że nie sposób poddać ich sprawdzeniu (wydaje się, że jest to zabieg celowy, mający pokazać przenikliwość hierarchy, ale bez wchodzenia w szczegóły, które historyk mógłby zweryfikować). Równie absurdalne jest twierdzenie, że kard. Gulbinowicz nie miał wpływu na nominacje biskupie swoich wychowanków. Zatem zupełnym przypadkiem jest to, że kilku z jego bliskich współpracowników zostało biskupami? Oraz zupełnym zbiegiem okoliczności większość z nich została ukarana przez Stolicę Apostolską za krycie księży pedofilów (tego też rzecz jasna z tekstu dziennikarki się nie dowiemy).

MIJANIE SIĘ Z PRAWDĄ

Z tekstu red. Bugały nie dowiemy się też tego, że są inne źródła, które weryfikują zapiski ks. Gulbinowicza i pokazują, że niejednokrotnie mijał się on z prawdą. Dziennikarka podkreśla, jak ważna miała być dla hierarchy jedność Episkopatu, a nie zauważa, że takie rozmowy z SB, które prowadził, są tej jedności oczywistym zaprzeczeniem. Poza tym – jak wynika z analiz wywiadu PRL w czasie pobytów w Watykanie w drugiej połowie lat 80. – abp/kard.

Gulbinowicz podważał pozycję prymasa Józefa Glempa w Stolicy Apostolskiej i u Jana Pawła II.

Niestety, zamiast rzetelnej analizy źródła historycznego otrzymujemy dowolne zestawienie cytatał mające świadczyć o wielkości kard. Gulbinowicza, jego żarliwej religijności, inteligencji oraz przenikliwości. Redaktor Bugała jest tak zapatrzona w wielkość swojego bohatera, że postrzega go jako człowieka bez żadnych wad, a pamiętniki hierarchy, które otrzymała od wglądu, służą jej wyłącznie do stawienia wielkości metropolity wrocławskiego i okładania pałką niewymienionych z nazwiska osób, które dokonały rewizji „niezłomnego” życiorysu ks. Gulbinowicza. Mają też być źródłem, które rozstrzyga wszelkie wątpliwości na rzecz hierarchy – tak się przynajmniej pani redaktor wydaje...

Redaktor Bugała używa także klasycznych metod manipulacyjnych zaczerpniętych wprost z „Erytyki” Schopenhauera. Najlepszym tego przykładem jest zdanie znajdujące się w leadzie tekstu: „Co pewien czas pojawiała się informacja, że ci, którzy zdecydowali się napisać życiorys kard. Henryka Gulbinowicza od nowa i oskarżyć go o współpracę z bezpieką,

powinni uważać, bo jego zapiski mogą nagle »wypłynąć« i wtedy zatrzęsie się ziemia. Oto są. Nieznane pamiętniki kard. Henryka Gulbinowicza odnalazły się we Wrocławiu”. Rozbiór krytyczny tej wypowiedzi pokazuje jasno, jakie cele Bugała chce osiągnąć: wrzucić wszystkich, którzy uważają, że potrzebna była rzeczywista rewizja życiorysu ks. Gulbinowicza, do jednego worka, jako tych, którzy oskarżali go o współpracę z SB, oraz definitywnie rozstrzygnąć, iż zawartość pamiętników uwalnia hierarchę od zarzutów kontaktów z aparatem bezpieczeństwa.

Zatem, po pierwsze, nikt z poważnych badaczy, którzy opisali kontakty ks. Gulbinowicza z SB, nie twierdził, że współpracował on z bezpieką (robił to tylko niektórzy dziennikarze). Po drugie, dla każdego, kto racjonalnie analizuje rzeczywistość, jest oczywiste, że utrzymywanie przez 16 lat kontaktów z funkcjonariuszami bezpieki odpowiedzialnymi za niszczenie Kościoła rewiduje życiorys duchownego, który takie relacje utrzymywał (nie wchodzi tu już w kwestię słabości obyczajowych hierarchy, które z pewnością również nie sytuują go w gronie niezłomnych kapłanów). Po trzecie, nie rozumiem, w jaki sposób zapiski osobiste hierarchy miałyby unieważniać dokumentację SB dotyczącą jego osoby. Mogą one tylko uzupełnić naszą wiedzę na ten temat, a nie zanegować to, co oczywiste, że ks. Gulbinowicz przez wiele lat łamał zakaz Episkopatu Polski dotyczący tajnych kontaktów z aparatem bezpieczeństwa.

Osobiste zapiski hierarchy są z pewnością źródłem ciekawym i ważnym. Nie mają jednak mocy unieważniania innych źródeł historycznych dotyczących życia kardynała. Obiektywna ocena ujawnionych zapisków na pewno pozwoli uzupełnić biografię. Postulować jednak trzeba, by było to krytyczne opracowanie dokonane przez historyków z odpowiednim warsztatem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone. W kolejnym numerze „Do Rzeczy” odpowiedź autorki.



Witold Repetowicz

Kolejne decyzje OPEC+ dotyczące obniżenia produkcji ropy, podjęte wbrew naciskom USA na jej zwiększenie, to niejedyny dowody na przesuwanie się dotychczasowych arabskich partnerów Ameryki w kierunku Chin i Rosji

W ciągu dwóch ostatnich lat geopolityczny układ na Bliskim Wschodzie uległ poważnemu przeobrażeniu. Kwestią otwartą jest jednak to, na ile te zmiany są trwałe.

Jeszcze we wrześniu 2020 r., gdy Izrael podpisywał ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem i kilkoma innymi państwami arabskimi Porozumienia Abrahamowe, normalizując stosunki, wydawało się, że wszystko zmierza ku stworzeniu izraelsko-arabskiej koalicji antyirańskiej pod patronatem USA. Pierwsze próby jej tworzenia miały zresztą miejsce w Warszawie – na nieszczęsnej „konferencji bliskowschodniej” w 2019 r. Region przecinały wówczas też różne inne linie konfliktu, m.in. między Turcją i Katarą a innymi państwami arabskimi, a po wycofaniu się Trumpa z porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego (tzw. JCPOA) narastała perspektywa konfrontacji z Iranem. Duże znaczenie miało przy tym to, że poprzedni prezydent USA łatwiej dogadywał się z autokratami typu Erdoğan czy Netanjahu i despotami takimi jak Muhammad bin Salman niż z przywódcami świata demokratycznego. W tym kontekście wybór Joe Bidena był złą wiadomością dla wielu bliskowschodnich liderów.

CIEMNE CHMURY

Za początek przegrupowania sił na Bliskim Wschodzie można uznać normalizację między Arabią Saudyjską i ZEA a Katarą na początku 2021 r. Jednocześnie zaczęło dochodzić do ocieplenia

Dwóch Muhammadów kontra Joe



Szejk Muhammad bin Zajid (z prawej) i saudyjski następca tronu Muhammad bin Salman, Zjednoczone Emiraty Arabskie, 24 listopada 2018 r.

FOT. BALKIS PRESS/ABACA/PAP

w relacjach arabsko-tureckich. To jeszcze nie była zła wiadomość dla nowej ekipy w Waszyngtonie, gdyż wszystko odbywało się w obrębie państw uznawanych przez USA za sojuszników lub partnerów. Ciemne chmury nad relacjami między USA a głównymi rozgrywającymi w regionie widać było jednak wyraźnie.

Biden, a jeszcze bardziej zdominowany przez demokratów Senat z wpływowym przewodniczącym komisji zagranicznej Bobem Menendezem, zdecydowanie podkreślali, że demokracja i prawa człowieka będą definiować kierunki polityki zagranicznej USA. Biden jeszcze przed swoim wyborem nie krył niechęci do saudyjskiego następcy tronu Muhammada bin Salmana, obiecując, że zapłaci za zlecenie zamordowania opozycyjnego dziennikarza Dżamala Chaszukdżiego, pochwytowanego piłą mechaniczną w konsulacie saudyjskim w Stambule. Przyszły prezydent zapowiadał też, że Arabia Saudyjska stanie się pariasem i nie dostanie żadnej broni od USA, by kontynuować swą morderczą wojnę w Jemenie (zresztą demokraci w Kongresie już w 2019 r. próbowali zablokować wsparcie militarne USA dla Saudów, jednakże spotkało się to wówczas z wetem Trumpa).

Biden nie krył też swojej niechęci do tureckiego prezydenta Recepty Tayyipa Erdoğan i wywołał wściekłość Ankarę, gdy otwarcie stwierdził, że trzeba doprowadzić do zmiany władzy w Turcji (podkreślił, że chodzi o drogę legalną). Turcja też zresztą została objęta zakazem sprzedaży uzbrojenia, w tym bardzo jej potrzebnych myśliwców F-35. Warto jednak podkreślić, że stało się to jeszcze za kadencji Trumpa, choć kluczową rolę odegrał w tej kwestii Kongres, a nie prezydent. Stało się tak niejako automatycznie, w związku z ustawą zakazującą sprzedaży amerykańskiej broni krajom, które jednocześnie kupują ją od Rosji (CAATSA), a Turcja zakupiła tam system obrony przeciwrakietowej S-400.

Już za kadencji Bidena Pentagon próbował znaleźć kompromisowe rozwiązanie, ale wojownicza postawa Erdoğan temu nie sprzyjała, a senator Bob Menendez zapowiedział, że zablokuje jakiegokolwiek sprzedaż broni do Turcji.

Kolejną niepokojącą dla Arabii Saudyjskiej i ZEA kwestią były plany Bidena

reaktywacji JCPOA, choć akurat w tej kwestii nic się na razie nie ruszyło.

Wielu ekspertów uważa, że na szybko ewolucję stosunku państw arabskich do USA wpłynęła antycypacja wycofywania się Amerykanów z regionu w celu skoncentrowania się na Pacyfiku. Niemniej jest to zapowiadane od wielu lat i nie za bardzo się materializuje. Z jednym istotnym wyjątkiem – wycofania się z Afganistanu. Wprawdzie nie jest to Bliski Wschód, ale sceny, które w sierpniu 2021 r. miały miejsce na lotnisku w Kabulu, wpłynęły na postrzeganie USA jako rzekomo słabnącej potęgi. Warto jednak przypomnieć, że to nie Biden, lecz Trump podjął decyzję o wycofaniu się z Afganistanu, podpisując układ z talibami, w czym pośredniczył Katar. Naiwnością byłoby też sądzić, że arabskich przywódców bardziej interesuje paniczna ucieczka Afgańczyków niż zmiany ge-

rrząd, gdyż państwo żydowskie i tak potrzebuje wsparcia USA, a obecność ekstremistów w rządzie konfliktuje go zarówno ze światem arabskim, jak i z żydowskim lobbym w USA. Netanjahu nie ma instrumentów, by wpływać na wynik przyszłorocznych wyborów w Ameryce, a jego popularność w samym Izraelu spadała na łeb na szyję. Gdyby dziś odbyły się wybory, to premierem zostałby tam Benny Gantz, z którym Biden nie miałby żadnych problemów.

Z kolei jordański król Abdullah już trzykrotnie odwiedzał Waszyngton od czasu elekcji Bidena. USA nie mają też problemów z gazowym gigantem, czyli Katar, którego relacje z Rosją zawsze były chłodne, ze względu na wsparcie, którego ten emirat udzielał czercheńskim separatystom. W kwietniu 2022 r. Biden nadał Katarowi status kluczowego sojusznika (Major Non-NATO Ally). Obecnie status taki ma 19 państw na świecie,

Konszachty saudyjskiego księcia Muhammada bin Salmana z Władimirem Putinem sięgają 2015 r.

opolityczne spowodowane wycofaniem. Ponadto to Biden podpisał z Irakiem porozumienie o utrzymaniu obecności wojskowej USA w tym kraju, choć po tym, jak na rozkaz Trumpa zabito w Bagdadzie irańskiego generała Kasema Sulejmaniego oraz dowódcę szyickich oddziałów Abu Mahdiego al-Muhandisa, tamtejszy parlament zażądał wycofania wojsk amerykańskich z Iraku. USA nie zamierzają również wycofywać się z Syrii, gdzie cały czas współpracują z Kurdami i utrzymują 900-osobowy kontyngent.

PROBLEM Z PRZYWÓDCAMI

Joe Biden ma więc nie tyle problem z Bliskim Wschodem, ile z niektórymi przywódcami. Jeżeli chodzi o Turcję, to wiele może się zmienić po wyborach 14 maja, gdyż na razie sondaże wskazują na przewagę rywala obecnego prezydenta. Jeśli dojdzie do zmiany władzy w tym kraju, to będzie reset w stosunkach amerykańsko-tureckich i duży wstrząs dla krnąbrnych monarchów regionu.

Z kolei ochłodzenie na linii USA – Izrael uderza tylko w Beniamina Netanjahu i jego

w tym sześc na Bliskim Wschodzie, przy czym nie należą do nich ani Zjednoczone Emiraty Arabskie, ani Arabia Saudyjska.

Problem zatem dotyczy Muhammada bin Salmana i władcy Abu Zabi Muhammada bin Zajida. Ten pierwszy odpowiada za wkładanie administracji Bidena kija między szprychy w postaci korzystnych dla Rosji decyzji o cięciach produkcji ropy. Konszachty saudyjskiego księcia z Putinem sięgają 2015 r., zanim jeszcze usunął on swego kuzyna Muhammada bin Nayefa z drogi do tronu. W rezultacie, w grudniu 2016 r., a zatem już po wyborze Trumpa na prezydenta, powstał format OPEC+, czyli układ organizacji zrzeszającej 13 państw – producentów ropy (zdominowanej przez Arabię Saudyjską) z Rosją i tworzący w ten sposób groźny kartel naftowy. Dwa lata później na szczycie G20 Muhammad bin Salman, już jako następca tronu i niekwestionowany władca, publicznie „przybił piątkę” z Putinem. To, że w tym czasie Trump wycofał się z JCPOA, również było bardzo korzystne dla obu despotów, gdyż w ogromnym stopniu ograniczyło

■ udział w rynku Iranu. A Iran w 2014 r. był bardzo chętny, by wchodzić w miejsce Rosji, gdy ta uderzała w tony szantazu naftowo-gazowego.

WPŁYWANIE NA WYBORY?

Gdy 24 lutego 2022 r. rozpoczęła się wojna na Ukrainie, baryłka ropy WTI kosztowała 84 dol., co stanowiło i tak już duży wzrost po niskich cenach okresu covidowego. Cena szybko poszybowała w górę do 120 dol., by jednak znów spaść do 97 dol. pod koniec kwietnia. USA zaczęły jednak naciskać na OPEC, by zwiększyły produkcję i zastąpiły ropę rosyjską. Między innymi w tym celu Biden w lipcu 2022 r. odbył swoją pierwszą wizytę na Bliskim Wschodzie, spotykając się w saudyjskiej Dżuddzie z liderami 10 państw arabskich. Szczególnie niewygodne było dla amerykańskiego przywódcy spotkanie z Muhammadem bin Salmanem, który dzięki temu jeszcze bardziej umocnił swoją pozycję. Książę obiecał zwiększenie zdolności produkcji, ale nie samą produkcję. Niedługo potem wyszło na jaw, że w kwietniu 2022 r. saudyjski książę wsparł zięcia Trumpa Jareda Kushnera, inwestując w jego niewielką firmkę 2 mld dol. Kilkaset milionów poszło następnie na inwestycje w Izraelu. To wywołało szok w USA i spekulacje, że saudyjski książę chce wpłynąć na amerykańskie wybory, by demokraci stracili większość w Kongresie, zwłaszcza w Senacie (Menendez przestałby wówczas być szefem komisji zagranicznej), a w 2025 r. Trump wrócił do władzy.

Teorię tę potwierdzało to, że tuż przed wyborami do Kongresu (tzw. midterm), na początku października, OPEC+ podjął decyzję o redukcji produkcji ropy, powodując w ciągu kilku dni wzrost ceny baryłki (WTI) z 75 dol. do 91 dol. Oburzeni kongresmeni i senatorowie zaczęli grozić uchwaleniem ustawy NOPEC, pozwalającej na pozywanie przed amerykańskie sądy państw odpowiedzialnych za działania antykonkurencyjne na rynku ropy, a także wycofaniem wojsk USA stacjonujących w pustynnym królestwie.

Ten drugi ruch zmieniłby układ sił na Bliskim Wschodzie na korzyść Iranu, a Saudowie, a do pewnego czasu również ZEA, byli wystawieni na dronowe ataki wspieranych przez Iran jemeńskich Huthi. Emiraty wołały dłużej nie ryzyko-

Arabskim księżom nie udało się wpłynąć na wybory w USA w 2022 r., ale nie zamierzają rezygnować

wać i w sierpniu 2022 r. znormalizowały relacje z Iranem. Rozmowy w tej sprawie toczyły się również między Iranem a Saudami od kwietnia 2021 r. za pośrednictwem Iraku, ale w 2022 r. utknęły w martwym punkcie. Tymczasem w marcu 2023 r. nagle oba kraje dokonały pełnej normalizacji relacji i zaczęły demonstracyjnie się bratać, a jako brokera dealu ogłoszono Chiny. Nieco wcześniej, w grudniu 2022 r., doszło w Rijadzie do szczytu chińsko-arabskiego, na którym ogłoszono szerokie plany wspólnych inwestycji. Skłoniło to niektórych komentatorów do wniosku, że Chiny wyparły USA z regionu. Na razie to zbyt daleko idące stwierdzenie, a realność zapowiedzi zweryfikuje przyszłość.

Wkrótce potem Muhammad bin Salman znów jednak uderzył w interesy USA. Na początku kwietnia OPEC+ ponownie obciął produkcję ropy, powodując wzrost cen, który jednak okazał się dość umiarkowany, i w połowie kwietnia baryłka WTI kosztowała 83 dol. Jednocześnie jednak wśród tajnych dokumentów, które w kwietniu wyciekły z Pentagonu, pojawiła się notatka dotycząca schwytanych rosyjskich agentów, którzy mieli się przechwalać, że nakłonili ZEA do współpracy z Rosją przeciwko wywiadowi USA i Wielkiej Brytanii. Choć nie można wykluczyć w tym wypadku prowokacji rosyjskiej (Emiraty stanowiąc zaprzeczają, by było to prawdą), to faktem jest, że Emiraty stały się dla Rosji głównym kanałem omijania sankcji. Rosyjskie firmy zaczęły przenosić swoją aktywność z Europy do Dubaju, a w mieście tym zaroziło się od Rosjan i rosyjskiego kapitału, często objętego sankcjami i ukrywanego w miejscowych bankach. Rosyjska obecność jest tam widoczna do tego stopnia, że miasto to zaczęto nazywać Dubajgradem.

Relacje Emiratów z Rosją są jednak głębsze, a klan matki Muhammada bin Zajida (Bani Fatima) od lat tworzył sieć

półprywatnych kontaktów z kremlowskimi elitami. Warto również pamiętać, że to należące do władcy Dubaju linie Emirates były jednym z głównych środków przerzutu migrantów na Białoruś, gdy Łukaszenko postanowił użyć ich do atakowania polskiej granicy.

BĘDZIE SILNA ODPOWIEŹ?

Próba wpłynięcia na amerykańskie wybory w 2022 r. zakończyła się porażką, ale wszystko wskazuje na to, że arabscy książęta nie zamierzają rezygnować. Otwarte pozostaje pytanie, czy administracja Bidena zdecyduje się na jakąś silną odpowiedź.

Amerykanie na razie starają się dokonać reaktywacji JCPOA, co otworzyłoby Iranowi drogę do światowego rynku węgłowodurów. Wielce wątpliwe, by nie chciał się on wówczas odkuć i podporządkować się cięciom w altruistycznym geście sympatii wobec Rosji i Saudów. W tym kontekście warto jednak pamiętać, że despotyczne monarchie Bliskiego Wschodu niewiele różnią się od Rosji w wykorzystywaniu surowców energetycznych do celów politycznych oraz w procederze korumpowania europejskich elit. Niedawna afera Qatargate, z grecką wiceprzewodniczącą europarlamentu na liście płac gazowego emiratu, to tylko czubek góry lodowej i nie dotyczy to wyłącznie Kataru.

Tymczasem bliskowschodnie petromonarchie są coraz bardziej zainteresowane inwestowaniem w Europie, w tym w media i kluby sportowe, co umożliwi im wywieranie politycznej presji i oddziaływanie na opinię publiczną oraz nastroje. W tym kontekście również saudyjskie i emirackie inwestycje w Polsce mogą się wiązać z politycznymi konsekwencjami – i o tym należy pamiętać.

Jedyną drogą, by uniknąć politycznych nacisków ze strony tych państw, jest uniezależnienie się od produkowanych przez nie surowców energetycznych i kontrolowanie pozyskiwanych przez nie wpływów. Inaczej może się okazać, że aby mieć energię, trzeba będzie siedzieć cicho i nie krytykować despotów nawet, jeśli będą się kumać z Rosjanami przeciwko naszym interesom lub w inny sposób ingerować w sprawy wewnętrzne. Polityki i pieniędzy w tym wypadku rozdzielić nie można. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

MUSK PRZYWRACA MIEDWIEDIEWA

Były prezydent Rosji napisał na Twitterze, że nie ma sensu utrzymywać stosunków dyplomatycznych z Polską. „To państwo dla nas nie powinno istnieć dopóty, dopóki u władzy są tam absolutni rusofobi, a polscy najemnicy znajdują się na Ukrainie” – stwierdził Dmitrij Miedwiediew. Dodał, że tych ostatnich należy „eksterminować jak śmierdzące szczury”. Jego wpis został usunięty. Ale po kilku dniach wrócił opatrzone komentarzem zwracającym uwagę, że narusza standardy społeczności, ale będzie widoczny z uwagi na „interes publiczny”. Miedwiediew natychmiast pochwalił tę decyzję. „Muskowi udało się jednak zmienić coś na Twitterze” – podsumował.

– kobieta może tam dokonać aborcji do 22. tygodnia, ale tylko wówczas, gdy uzyska pisemną zgodę ojca dziecka.

KONIEC COVIDOWEJ APLIKACJI

Niemcy wydali na aplikację 220 mln euro. Dzięki niej użytkownik był m.in. powiadamiany o tym, że miał kontakt z osobą zakażoną COVID-19. Po trzech latach niemiecki rząd wyłącza alerty w tej aplikacji. Nie wiadomo nawet, czy były skuteczne. Takich danych o jej działaniu nikt nie gromadził.

SPÓŹNIONA SZCZEPIONKA

Meksykanie ogłosili sukces – opracowali własną szczepionkę na COVID-19. Prace trwały dwa lata i brała w nich udział firma Avimex, wspomagana przez rząd. Teraz nie wiadomo, co z tą szczepionką robić. Eksperti medyczni w Meksyku uważają, że korzystanie ze szczepienia na wariant wirusa sprzed dwóch lat ma nikły sens.

© © **Łukasz Zboralski**

WRÓŻKA NA ETACIE W BIURZE POSELSKIM

Pod koniec ubiegłego roku w Niemczech aresztowano Birgit Malsack-Winkemann – była deputowaną AfD do Bundestagu (w latach 2017–2021) i była sędzię sądu w Berlinie. Wpadła podczas obławy na członków organizacji Obywatele Rzeszy, którzy mieli planować siłowe przejęcie władzy za Odrą. Jak ujawnił teraz tygodnik „Die Zeit”, wśród aresztowanych w tej aferze jest również wróżka-astrolożka. Okazało się, że Birgit Malsack-Winkemann zatrudniała ją na etacie w swoim biurze poselskim.

FOT. FLORIAN CAERTNER/PHOTOHEX/GETTY IMAGES

PIGUŁKI ABORCYJNE W JAPONII

Ministerstwo zdrowia w Japonii dopuściło do obrotu po raz pierwszy pigułek aborcyjną. Aktywiści pro-choice uważają, że to niewiele zmienia, bo w Japonii obowiązuje wciąż „przestarzałe i patriarchalne” prawo

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Odwrotna dyskryminacja



JACEK PRZYBYLSKI

Ile mamy płci? Dwie. Taka odpowiedź jeszcze niedawno wydawała się oczywista. W USA takie stwierdzenie grozi już jednak poważnymi konsekwencjami. Przekonał się o tym 12-letni Liam Morrison, uczeń nowojorskiej szkoły, który przyszedł na salę gimnastyczną w koszulce z napisem: „Są tylko dwie płci”, za co trafił na dywanik do dyrekcyj. Gdy odmówił zdjęcia „kontrowersyjnej koszulki”, wezwano jego ojca, który okazał się równie zatwardziałym konserwatystą. Efekt? Chłopca wyrzucono ze szkoły, bo jego przekonania „celowały w klasę chronioną”...

Aseksualni, niebinarni i cisplcio- wi mają pełne prawo demonstrowania swoich przekonań, a w szkołach pełno jest plakatów zachwalających „różnorodność”. Lewicowi „postępowcy” mogą też jawnie twierdzić, że płci jest dokładnie 56. Że są tylko dwie, mówić nie wolno i basta! I na nic się zda wolność słowa czy Pierwsza Poprawka do Konstytucji USA.

Czy ten „postęp” zza oceanu trafi też do Polski? „Oczywiście jako społeczeństwo jesteśmy przyzwyczajeni do binarnego podziału i definicji dwóch płci. Nie oznacza to jednak, że to słuszne” – przekonywała już

w 2020 r. „Gazeta Wyborcza”. Rok później „Polityka”, odpowiadając na pytanie „Ile istnieje płci?”, pisała: „Dwie, trzy, pięć, 10, 56, nie wiadomo?” i przekonywała, że „w każdej populacji są osoby (kilka procent), które nie mieszczą się w [...] binarnym podziale”. Szkoły gotowe?

Konserwatyści długo siedzieli cicho, sądząc, że każdy ma prawo do swoich przekonań. Dziś wyraźnie widać, że lewica nie podziela tego poglądu. Po przeczytaniu tego felietonu lepiej więc spalić lub dobrze ukryć egzemplarz. Za jego posiadanie w przyszłości może bowiem grozić surowa kara...

Problemów bez litu



Piotr Włoczyk

Zachód ma duży problem: Chińczycy zajmują dominującą pozycję na kluczowym rynku litu. Bez łatwego dostępu do tego cennego metalu ciężko rozwijać m.in. elektromobilność



Salar de Uyuni w Boliwii słynie z ogromnych złóż litu
GASTON BRITO MISEROCHI/GETTY IMAGES

Wielkie słone jeziora na południu Boliwii od lat ściągają tłumy turystów. W tym roku będą się tu pojawiały inne tłumy: chińskich robotników i inżynierów. Na początku tego roku rząd Boliwii rozstrzygnął przetarg na budowę kopalni litu w miejscu, które kryje największe na świecie złoża tego coraz cenniejszego metalu. Szacuje się, że pogranicze Boliwii, Chile i Argentyny skrywa pod ziemią ponad połowę całych światowych zasobów litu – metalu, bez którego przemysł elektroniczny nie byłby się w stanie rozwijać. Baterie, które bazują na litie, są też z kolei coraz bardziej potrzebne w przemyśle motoryzacyjnym przedstawiającym produkcję na napęd elektryczny.

Władze Boliwii wybrały chińską ofertę, odrzucając tym samym konkurentów m.in. z USA i Europy.

Olbrzymi kopalniany kompleks zbuduje na wysokości 4 tys. m n.p.m. chińskie konsorcjum, na którego czele stoi CATL. Ta chińska firma zajmująca się produkcją baterii liczy sobie zaledwie 12 lat, ale już jest największym na świecie producentem akumulatorów litowo-jonowych do aut elektrycznych, posiadając ok. jednej trzeciej udziału w światowym rynku.

Amerykianie, którzy odpadli w wyścigu o boliwijski lit, nie kryją niepokoju w związku z chińską ekspansją w Ameryce Południowej

Chińczycy zainwestują w wydobycie litu z boliwijskich jezior ponad miliard dolarów. Amerykanie, którzy odpadli w wyścigu o boliwijski lit, nie kryją niepokoju w związku z chińską ekspansją w Ameryce Południowej. Obawy wyraża zresztą nie tylko wielki amerykański biznes, lecz także Pentagon. Lit zaczął bowiem być uważany za strategicznie ważny surowiec, coś w rodzaju ropy naftowej XXI w.

„Ten region jest bogaty w surowce i niepokoi nas przebiegła i agresywna działalność naszych konkurentów – po-

wiedziała w marcu podczas wysłuchania w amerykańskim Kongresie gen. Laura Richardson, kierująca Dowództwem Południowym USA, którego zadaniem jest obrona amerykańskich interesów w Ameryce Łacińskiej. „Chiny poszerzyły swoje zdolności w zakresie wydobywania surowców, budowy portów i manipulowania poszczególnymi rządami za pomocą agresywnych metod inwestycyjnych” – dodała gen. Richardson. Jak widać, Waszyngton zupełnie wprost oskarża Chińczyków o zdobywanie kolejnych kontraktów w nieczysty sposób.

NOWA ROPA

Coraz częściej słyhać opinie, że lit to nowe „czarne złoto”. Metal ten nazywany jest zresztą „białym złotem”. Obecna technologia produkcji baterii powoduje, że bez dostępu do ogromnych ilości litu nie uda się zrealizować politycznych celów, które przed producentami aut stawiają zachodnie rządy. W UE od 2035 r. będzie obowiązywał zakaz sprzedaży nowych aut spalinowych, tą samą drogą idą bardziej „postępowe” stany w USA (m.in. Nowy Jork i Kalifornia). Amerykańscy giganci motoryzacyjni już zresztą stawiają sobie za cel zwiększenie do 2030 r. produkcji aut elektrycznych do poziomu 40–50 proc. całości produkcji. Dominacja Chin na rynku tego niezbędnego metalu oznaczać może więc dla Zachodu spore problemy.

„Istnieje bardzo duże zagrożenie, że Chiny będą dla litu tym, czym OPEC stał się dla ropy naftowej. Z tą różnicą, że my, Amerykanie, sami byliśmy dużym producentem ropy naftowej. Tego samego nie da się powiedzieć o litie” – przestrzegali niedawno amerykański „Forbes”.

Jak szacuje kalifornijski producent akumulatorów samochodowych OneCharge, „sama Ameryka będzie potrzebowała do 2034 r. 500 tys. ton nieprzetworzonego litu do napędzania aut elektrycznych. USA produkują dziś jednak ułamek tej liczby”.

Z kolei według banku UBS Chińczycy będą w stanie wydobywać nawet 700 tys. ton litu w 2025 r. w porównaniu z niecałymi 200 tys. ton w 2022 r. Według tej instytucji w obecnym tempie Chiny będą w ciągu dwóch lat kontrolowały jedną trzecią światowej podaży „białego złota”. W innej kluczowej kate-

gorii Pekin już jest absolutnym dominatorem. Według danych Międzynarodowej Agencji Energii Chiny dostarczają na światowy rynek trzy czwarte globalnej produkcji baterii litowo-jonowych.

Obecnie to Australia jest największym na świecie producentem litu (odpowiada za mniej więcej połowę globalnego wydobycia tego metalu), wyprzedzając w tej kategorii Chile oraz Chiny. Jednak to właśnie w Chinach skupia się przemysł przetwórczy, który generuje w tym sektorze największe zyski. Po drugiej stronie Atlantyku również widać w tej kwestii minorowe nastroje. „Lit i metale

**W ciągu ostatniej dekady
Chiny wydały ponad
60 mld dol. na rozwój
swojego przemysłu litowego**

ziem rzadkich wkrótce będą ważniejsze niż ropa naftowa i gaz” – mówiła szefowa KE Ursula von der Leyen we wrześniu ubiegłego roku w czasie swojego orędzia o stanie Unii. „Dziś Chiny kontrolują światowy przemysł przetwórczy. Niemal 90 proc. metali ziem rzadkich i 60 proc. litu przetwarza się w Chinach” – podkreślała szefowa KE.

Chińska dominacja w tym sektorze nie wzięła się znikąd. W ciągu ostatniej dekady Chiny wydały ponad 60 mld dol. na rozwój swojego przemysłu litowego.

„Chiny są na prowadzeniu, jeżeli chodzi o lit, a reszta świata niewystarczająco szybko zareagowała na ich dominację. Czapki z głów przed Chińczykami. Świat nie potrafi grać w tę grę” – powiedział na temat swoich konkurentów w rozmowie z CNBC Simon Clarke, prezes American Lithium. „Przez dekady zabezpieczali dla siebie najlepsze złoża na świecie, robiąc to bez rozgłosu i zyskując know-how w dziedzinie technologii litowo-jonowej. A my reagowaliśmy na to bardzo wolno” – dodał Clarke z dużą dozą samokrytyki.

Wszystkie prognozy pokazują ogromny wzrost popytu na lit i – co naturalne – skok cen tego metalu, ale w ostatnich miesiącach ceny litu to istny rollercoaster. Jeszcze w listopadzie zeszłego roku lit kosztował niemal 90 tys. dol. za tonę,

obecnie zaś tona kosztuje ok. 20 tys. dol. Spadek tłumaczony jest złymi wynikami sprzedaży aut elektrycznych w Chinach, ale sytuacja na rynku znów może się szybko diametralnie odmienić. Mimo spektakularnego spadku ceny litu w ostatnich miesiącach eksperci zwracają uwagę, że nie dalej jak cztery lata temu metal ten był dwa razy tańszy niż dziś.

AFRYKA NA CELOWNIKU

Chińczycy wygrywają też z Zachodem w Afryce. Brytyjski „Financial Times” pisze wręcz o „mineralnej zimnej wojnie” na Czarnym Lądzie. Ostatnio Brytyjczycy zagwarantowali sobie dostęp do dużych złóż litu w Namibii, ale Chińczycy szybko przebili ten sukces wielkim kontraktem zawartym z rządem Zimbabwe. To pokazuje przewagę ChRL w wyścigu o lit. Chińczycy nie boją się inwestować w krajach tak mało stabilnych politycznie jak Zimbabwe, gdzie zachodni biznes zawsze musi się liczyć z groźbą nacjonalizacji. Chiny tego problemu nie mają. Doskonale potrafią dogadywać się z dyktatorami i są w stanie zagwarantować sobie nienaruszalność własnych interesów gospodarczych.

Próbując poprawić sytuację USA, Joe Biden wysłał do Afryki Amosa Hochsteina, swojego specjalnego przedstawiciela, który ma zapewnić Ameryce dostęp m.in. do afrykańskiego litu. Jego diagnoza nie pozostawia jednak złudzeń – Chiny nie dadzą się łatwo wysadzić z siodła.

„To jest jedno z głównych wyzwań dla USA i dla reszty świata. W miarę, jak wdrażamy czystsze, bardziej zielone i zupełnie nowe systemy energetyczne, musimy zagwarantować sobie zdyswersyfikowane łańcuchy dostaw – powiedział Hochstein w wywiadzie z CNBC. – Nie możemy mieć łańcuchów dostaw, które są zależne od jednego kraju, jakkolwiek by to był kraj. Musimy zbudować zdyswersyfikowany system wydobycia i przetwórstwa w kontekście baterii i turbin wiatrowych. Z perspektywy ekonomicznej to jedyny sposób, by to wszystko działało. Wydobycie musi być kontrolowane przez wiele krajów i musi tu istnieć konkurencja” – powiedział Hochstein. Paradoksalnie więc Ameryka domaga się w kwestii wydobycia i przetwórstwa kluczowych surowców stworzenia... wielobiegunowego świata.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim,
przewodniczącym Rady ds. Rolnictwa
i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP,
byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki



Kronika zapowiadanej katastrofy



RYSZARD GROMADZKI: W czerwcu ubiegłego roku przestrzegał pan na łamach „Do Rzeczy” przed konsekwencjami, jakie będzie miał dla polskiego rolnictwa niekontrolowany napływ zboża z Ukrainy na nasz rynek. Przewidywał pan wtedy, że tranzyt ukraińskiego zboża przez Polskę wobec braku odpowiedniej infrastruktury transportowej i logistycznej będzie czystą fikcją. To wszystko, co wydarzyło się na naszym rynku zbożowym w ostatnich miesiącach, można nazwać kroniką zapowiadanej katastrofy...

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Nie mam żadnej satysfakcji, że właściwie spełniło się wszystko, co przewidywałem. Wystarczy trochę wiedzy na temat rynków rolnych, a nie jest to wiedza tajemna, żeby przewidzieć skutki napływu dużej

ilości zboża do kraju, który sam jest istotnym producentem zbóż. Musimy w zależności od plonów eksportować od 6 do 10 mln ton zboża rocznie. Przewidzieć, co się wydarzy, jeśli napłynie dużo zboża z Ukrainy, nie było wcale trudno. Nie tylko ja przestrzegałem przed takim scenariuszem, mówili o tym rolnicy i eksperci. Te ostrzeżenia zostały zbagatelizowane albo były jakieś inne przyczyny niepodjęcia tego tematu. Słyszałem o tym, że mówienie głośno na ten temat to podburzanie rolników, sam też spotkałem się z takim zarzutem. Argumentowano, że udział zboża ukraińskiego jest niewielki i na pewno nie zdestabilizuje naszego rynku.

Sprawa była bagatelizowana nie tylko w Polsce, lecz także w Komisji Europejskiej. Słyszałem, jak komisarz Wojciechowski mówił, że Europie potrzebne jest zboże, że przekierowanie ukraińskiego zboża do Europy jest wręcz korzystne. Tylko biedak nie dodał, że zboże jest potrzebne w Hiszpanii, Portugalii i w Europie Południowej, a nie w Polsce, która nie ma odpowiedniej infrastruktury, by tak duże, dodatkowe ilości zboża wywieźć.

Niestety, co można było łatwo przewidzieć, zboże ukraińskie „rozwaliło” rynki krajów graniczących z tym państwem. Komisja Europejska w końcu to przyznała, a polski rząd rwie włosy z głowy, że jest ogromny problem, który będzie



FOT. RADER PIETRUSZKA/PAP

wszystkim w Polskę. Towarzyszyło temu dużo różnej patologii.

Kiedy rozmawialiśmy w ubiegłym roku, mówił pan, że Polska nie dysponuje silosami do przechowywania zboża z Ukrainy, PKP nie mają przystosowanych do przewozu zboża wagonów, a nabrzeża naszych portów w większości są w rękach zagranicznych firm i też nie są w stanie sprawnie przeładować ukraińskiego zboża.

Zapowiedzi, że Amerykanie wybudują u nas silosy, Niemcy dostarczą wagony, że nastąpi udrożnienie portów, były gołosłowiem. Zostaliśmy z problemem sami. Komisja Europejska oferuje jakąś symboliczną pomoc – ale to grosze w stosunku do strat, które ponieśli rolnicy – i w „geście Piłata” przerzuca odpowiedzialność na kraje członkowskie. Oczywiście ta odpowiedzialność jest, bo bez względu na politykę Unii Europejskiej powinniśmy pilnować swojej granicy i tranzytu. Pozytywnie przyjmuję zapowiedź o uszczelnieniu tranzytu, konwojowaniu transportów czy kontroli GPS. Dobrze, że ktoś o tym w końcu pomyślał. Ale, na Boga, dlaczego tak późno? Powinniśmy od wielu miesięcy kontrolować granicę, żeby nie dopuścić do wwozu zboża marnej jakości. Gdyby pewne działania zostały podjęte wcześniej, to dziś nie mielibyśmy tej skali problemu i nie potrzebowałibyśmy tylu pieniędzy na jego rozwiązanie. Teraz mogę mówić o tym wszystkim ze smutkiem tylko w czasie przeszłym, bo problem został całkowicie zbagatelizowany.

Powiedział pan wcześniej, że napływowi ukraińskiego zboża do Polski towarzyszyło wiele patologii. Co pan miał na myśli? Kto zarobił na tym procederze? Pytany o to był już minister rolnictwa Henryk Kowalczyk mówił, że wie, ale nie powie...

To niepoważne. Tego rodzaju wypowiedzi ze strony członka rządu, urzędnika państwowego muszą budzić niepokój. Kto zarobił? Zarobiły firmy importujące zboże, przede wszystkim wielkie firmy importowe, które nie chcą kupować od polskich rolników. Te firmy obkupiły się tanim zbożem, zarabiając miliardy złotych. Tego nie da się dokładnie policzyć. Rząd podaje, że do Polski wpłynęło ponad 3 mln ton zboża z Ukrainy, ale nikt nie ma pewności, że to precyzyjny szacunek. Tego zboża mogło być istotnie więcej. Ale jeśli nawet przyjmiemy te

3–3,5 mln ton, to importerzy zarobili przynajmniej 2–3 mld zł. Teraz następne miliardy będą wydawane z budżetu na rekompensaty dla rolników. Raz, że to nieuczciwe, dwa – pokazuje głupotę w podejściu do rynku. Przecież to wszystko można było przewidzieć.

Zarobiły wielkie firmy. Dziwię się, że ktoś ma opory, żeby opublikować listę tych importerów, oczywiście precyzyjnie podając, kto ile ściągnął. Jest bowiem zasadniczo różnica między np. dużym rolnikiem, który sprowadził ciężarówkę zboża dla swoich świń, a firmą, która zaimportowała kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy ton. Nawet jeśli firmy, które uczestniczyły w tym procederze, robiły to zgodnie z prawem, to – po pierwsze – jest to nieetyczne, po drugie – konsumentci mają prawo wiedzieć, z jakiego zboża została wytworzona sprzedawana u nas mąka, jaką paszą karmione były drób czy trzoda chlewna. To powinno działać w sposób odstraszający na przyszłość.

Czy wiadomo, gdzie trafiło tzw. zboże techniczne z Ukrainy?

Tak. Możemy prześledzić szlaki, którym zboże z Ukrainy przemieszczało się w Polsce i gdzie dotarło. Ostatnio wojewoda lubelski potwierdził, że dokładnie wie, do jakich firm trafiło ukraińskie zboże techniczne. Skoro on wie, to w innych województwach też wiedzą. To trzeba sprawdzić, żeby mieć absolutną pewność, że to zboże nie zostało przetworzone na mąkę czy paszę. To jest obowiązkiem państwa. Jak słyszę obecnego ministra rolnictwa, który mówi: „Co nam da publikowanie takiej listy?”, to odpowiem, że rozwieje wątpliwości, iż rząd nie jest w to zamieszany.

Przecież tego rodzaju niedopowiedzenia, jak to ze strony byłego ministra Kowalczyka, dają pretekst do domysłów, że nie ujawniając tych, którzy zarobili na imporcie zboża z Ukrainy, rząd ma coś do ukrycia...

Jeżeli sprawa nie zostanie wyjaśniona, to takie podejrzenie będzie bardzo rzutowało na wizerunek Prawa i Sprawiedliwości. To są zapewne firmy powiązane ze wszystkimi środowiskami politycznymi. Tajemnicą poliszynela jest, że przedsiębiorcy bardzo często ustawiają się w ten sposób, iż grają na każdą

rzutowała na następne miesiące, a moim zdaniem będzie także oddziaływał na kolejne lata.

Przyczyną obecnego kryzysu jest w dużej mierze Komisja Europejska, bo to ona otworzyła granice Unii, znosząc cła i kwoty dostępu. Ta druga pozycja jest nawet ważniejsza, bo żywność z Ukrainy czasami nawet z cłem była tańsza. Unia regulowała dostęp do swego rynku kontyngentami, kwotami dostępu. Pilnowała tego, żeby liczba produktów rolno-spożywczych spływająca z Ukrainy była precyzyjnie określona, by nie popsuć swojego rynku wewnętrznego. Te ograniczenia zostały zniesione, co uderzyło w kraje graniczące z Ukrainą, przede

partię, zakładając, że któraś wygra wybory. Dlatego – mówiąc w cudzysłowie – „obstawiają wszystkie”. Ale to nie ma znaczenia. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, co się stało z ukraińskim zbożem technicznym w Polsce. To zboże powinno zostać spalone. Rząd ma obowiązek opublikować listę firm, które je sprowadziły, a nie krępować się i tłumaczyć, że nie wie, po co to robić. To warunek wykazania wiarygodności rządu i pokazania, że w sprawie importu zboża z Ukrainy nie ma jakiegoś drugiego dna.

Jak pan ocenia postawę unijnego komisarza ds. spraw rolnictwa Janusza Wojciechowskiego w aferze związanej z tranzytem ukraińskiego zboża? Sam Wojciechowski w niedawnym wywiadzie prasowym mówił, że zrobił w tej sprawie więcej niż można było zrobić?

Każda pliszka swój ogonek chwali. Na pewno nie można powiedzieć, że Komisja Europejska wykazała się przezornością w sprawie ukraińskiego zboża. Bagatelizowanie problemu przez długie miesiące bardzo obciąża unijnych decydentów z Brukseli. Jest inne pytanie: Czy komisarz Wojciechowski ma coś do powiedzenia czy rządzi ktoś inny, a on jest tylko figurantem? Cieszyliśmy się, kiedy Polak, osoba wskazana przez PiS, został komisarzem Unii Europejskiej ds. rolnictwa. Dziś, kiedy słyszę głosy z całej Europy, rolników z innych krajów, już nie tylko w Polsce, to zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście dokonaliśmy właściwego wyboru.

Jakie będą konsekwencje afery związanej z napływem ukraińskiego zboża dla polskich rolników, dla naszego rynku rolno-spożywczego?

Decyzja rządu o wstrzymaniu importu zboża i innych produktów rolnych z Ukrainy i szczelnym tranzycie jest słuszna, bo prowadzi do rozładowania problemu w Polsce. Choć w sprawie szczelności tranzytu pewności nie mam, bo już słyszę, że są już oferty dla przewoźników, żeby podstawili transport pod ukraińską granicę i przewieźli ukraińskie zboże w konwojach pod kontrolą do przygranicznych miejscowości niemieckich, tam wszystkie ograniczenia tranzytowe zostaną zdjęte, a zboże wróci do Polski.

Zboże techniczne, które do nas trafiło, powinno być wyeliminowane z rynku.

Nie widzę natomiast możliwości zwiększenia eksportu polskiego zboża. To bajki dla naiwnych. Możliwości przepustowe w polskich portach są ograniczone, nie ma w nich nabrzeży zarządzanych przez państwo, które pozwoliłoby załadować statki w kierunkach, które Polska chciałaby obsługiwać. Nabrzeża są w rękach prywatnych, głównie zagranicznych. Te firmy mają swoje kontrakty, swoje terminy załadunku statków i swoją politykę handlu zbożem na świecie, która nie musi być zbieżna z polityką polskiego rządu.

Możemy wykorzystać nadmiar zboża, żeby zwiększyć produkcję spirytusu dodawanego do benzyny, ale na to musi być gwarancja, że będzie zbyt ze strony Orlenu czy innych producentów paliw. Chodzi o to, żeby spirytus dolewany do benzyny był produkowany w Polsce, a nie jak dotąd płynął szerokim strumieniem z Brazylii i z innych kierunków. Konieczne jest oprzyrządowanie prawne, które pozwoli na to, że spirytus produkowany w Polsce będzie mógł być dodawany do paliw w większej ilości. To samo dotyczy przerobienia części zboża na bioetanol w biogazowniach. W ten sposób również możemy zagospodarować część zboża, które znalazło się w Polsce.

I wreszcie rozwiązanie może najprostsze w realizacji: zboże nienadające się do konsumpcji czy na paszę powinno zostać wykorzystane jako paliwo w elektrowniach i biogazowniach, które mają kotły dedykowane do spalania biomasy. Słyszę już głosy sprzeciwu, że to niemoralne. Jak to spalać zboże? Zboże to też biomasa, którą można wykorzystywać do produkcji prądu i ciepła w sytuacji, kiedy i tak musimy sprowadzać węgiel. Te wszystkie problemy to przedsmak tego, co nas czeka w przyszłości, jeśli nie zostaną na poziomie międzypaństwowym uregulowane relacje między Polską a Ukrainą i jednocześnie między Unią a Ukrainą w obszarze rolnym. Ukraina musi uznać, że Polska jest liczącym się producentem rolnym. Powinniśmy stać się wielkim hubem przetwórczym surowców rolnych z Ukrainy i/lub uzyskać ze strony ukraińskiej gwarancje na udział polskich firm w inwestowaniu w przetwórstwo produktów rolnych na Ukrainie, a następnie ekspediowanie ich

w świat, a nie do Polski, za obopólnym interesem. Nad tymi rozwiązaniami powinny już teraz pracować zespoły ekspertów z obydwu stron. Nie możemy tego odkładać na czas po wojnie, bo może się okazać, że zostaniemy wykiwani, a na odbudowie Ukrainy najbardziej skorzystają ci, którzy najmniej pomagali. Niestety, nie słyszałem, żeby między Polską a Ukrainą toczyły się jakieś poważne rozmowy w tej sprawie. Jeżeli potrafimy wyciągać wnioski z kryzysów, także tych sprokrowanych na własne życzenie, to powinniśmy je wyciągnąć, żeby uniknąć ich w kolejnych latach.

Afera z ukraińskim zbożem będzie miała polityczne następstwa? Może zaważyć na wynikach wyborów?

Wiarygodność PiS na wsi została nadzarpięta wieloma działaniami. Niestawna „piątka dla zwierząt”, planami ograniczenia produkcji rzepaku w Polsce, a zboże z Ukrainy jest gwoździem do trumny. To zagrożenie zostało całkowicie zbagatelizowane.

Nie widzę konsekwencji politycznych tej afery wobec osób, które powinny być zidentyfikowane. Kto dopuścił do określenia „zboże techniczne”? Kto zdecydował o zdjęciu kontroli na ukraińskie zboże na granicy? Kto nie podjął żadnych działań, żeby temu nieszczęściu zapobiec? Czy PiS uda się odzyskać zaufanie rolników? Nie wiem. Najbliższe tygodnie pokażą, czy tranzyt zboża z Ukrainy będzie szczelny, czy ruszą dopłaty do zboża dla rolników, ale tak, żeby dopłacić tylko tym, którzy wytwarzają zboże w Polsce – żeby nie okazało się za chwilę, że dopłacamy jeszcze do ukraińskiego zboża tym, którzy je tanio kupili. Problem jest poważny. Działania, które zostały podjęte w trybie nagłym, wcale nie budują dobrego wizerunku rządu, który dopiero pod wpływem lęku o reakcje rolników coś zaczyna robić.

Musimy być krajem otwartym, współpraca z Ukrainą jest nam również potrzebna. W wielu obszarach nasze rolnictwa są komplementarne, a nie konkurencyjne. Takie szarpanie się od płotu do płotu, które widzimy, pokazuje, że nie mamy pomysłu, jak skutecznie rozwiązać kryzys, który mamy na własne życzenie. Jak mu skutecznie zaradzić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Ktoś się podszył pod premiera?

Sprawa staje się coraz bardziej zagadkowa i już choćby z tego powodu powinna zostać niezwłocznie wyjaśniona.

W końcu państwo tej wielkości co Polska – zresztą chyba każde, nawet najmniejsze państwo – nie może tolerować sytuacji, że ktoś regularnie, i to bezkarnie, podszywa się pod szefa jego rządu. A najwyraźniej właśnie z takim przypadkiem od pewnego czasu mamy do czynienia w Polsce.

Zaczniemy jednak od początku. Otóż całkiem niedawno, podczas konferencji prasowej zorganizowanej w siedzibie PiS i prowadzonej przez rzecznika PiS, dwoje europosłów PiS – Anna Zalewska i Tomasz Poręba – oświadczyło z całą mocą, że „założenia »Fit for 55« są nie do przyjęcia dla PiS”.

Oświadczyli to w związku z zaakceptowaniem przez Parlament Europejski kolejnych elementów tego – znanego od ponad dwóch lat – pakietu, który przewiduje m.in. zwiększenie redukcji emisji gazów CO₂ przez państwa członkowskie Unii Europejskiej do 2030 r. aż do obłąkańczych 55 proc. w porównaniu z poziomem z 1990 r. oraz włączenie w tryb tej diabelskiej maszyny prywatnych samochodów, domów i mieszkań. W tym samym czasie inna europosłanka PiS, a wcześniej szef rządu PiS, Beata Szydło, zadeklarowała na Twitterze, że „»Fit for 55« to złamanie korzystnych dla Polski zapisów porozumienia paryskiego”.

I właśnie stąd bierze się pytanie o osobę, która – jak się wydaje – od lat i bez skrępułów podszywa się pod szefa polskiego rządu. Albowiem, jak słusznie w kontekście tych wystąpień wysokich rangą polityków PiS zauważyli niektórzy obserwatorzy życia publicznego, osobą, która pod koniec 2020 r. zaakceptowała „Fit for 55” – w imieniu rządu Polski, a więc i całej Polski – nie mógł przecież być premier Morawiecki, lecz właśnie ktoś, kto się pod niego ewidentnie podszył. Jakże bowiem Mateusz Morawiecki – wiceprezes PiS, stojący na czele rządu PiS – mógłby zaakceptować, i to w imieniu całej Polski, coś, co, jak się okazuje, jest „nie do przyjęcia dla PiS”? No przecież to kompletnie niedorzeczne!

Tym bardziej że – jak napisałem w tym miejscu nieco wcześniej – podobne podejrzenie pojawiło się już w chwili, gdy niedawno premier Morawiecki nakazał minister Moskwie zgłoszenie na szczycie UE przeciw zakazowi sprzedaży nowych samochodów spalinowych po 2035 r., okazując się wcale nie aż tak wielkim przeciwnikiem spalinówek i zwolennikiem elektryków jak go malowano. A przede wszystkim – jak by wynikało z wcześniejszych stanowisk rządu Polski, a więc i szefa rządu Polski w tej sprawie – np. przy okazji podpisania deklaracji COP26.

Kto więc – i od kiedy – podszywa się pod szefa polskiego rządu? ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wódka groźniejsza od Rosji

Okazuje się, że największym problemem polskiego państwa nie jest recesja, inflacja, zagrożenie ze strony Rosji, jakość legislacji czy cokolwiek innego, o czym mogliby państwo pomyśleć. Największym problemem jest alkoholizm.

„To jest butelka z XVII w., do której dziedzic nalewał wódkę i rozpijał tą wódką pańszczyźnianych chłopów” – tłumaczyła dzieciom nauczy-

nie jest to oczywiste). Grupa wielbicieli zakazów przekonuje, że Polacy zataczają się od rana do wieczora, piją na umór, a reklama gratisowego piwa z Biedronki to prawie zbrodnia ludobójstwa. Ich wzmożenie jest aż komiczne.

To znaczy – byłoby, gdyby nie to, że pod wpływem takiej zmasowanej psychozy władza uwielbia wprowadzać w życie populistyczne, nieprzemyślane i szkodliwe pomysły. W przypadku alkoholu mamy przecież jeszcze marnującą od lat pieniądze podatnika Państwową Agencję Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, która rozwiązuje głównie problem własnych pracowników z pracą i pensjami.

Niezmienne pojawia się też obłudny argument, że państwo ponosi koszty leczenia alkoholizmu. Ale państwo ponosi też koszty zapalenia gardła albo raka. Czy w związku z tym mamy ludziom nakazać sposób ubierania się oraz narzucić dietę?

Obserwując skłonność rządzących do regulowania naszego życia na każdym kroku, dochodzę do wniosku, że gdyby kiedyś miała być zmieniana polska konstytucja, zdecydowanie należałoby w niej zawrzeć daleko idące ograniczenie wprowadzania zakazów i nakazów uderzających w wolność gospodarczą i prawo obywateli do decydowania o sobie samych. ©

Władza uwielbia wprowadzać w życie populistyczne, nieprzemyślane i szkodliwe pomysły

cielka w muzeum w „Brunecie wieczorową porą”. Kolejny raz okazuje się, że Stanisław Bareja był wizjonerem na miarę Wyspiańskiego. Scena z muzeum powtarza się dzisiaj całkiem serio w wykonaniu Jana Śpiewaka, specjalisty od przegranych procesów o naruszenie dóbr osobistych, czy pewnej pani lekarz psychiatry, która na swoim koncie twitterowym informuje, że należy się do niej zwracać „ona” (moda na informowanie, który zaimek należy wobec kogoś stosować, to domena skrajnej lewicy, która wychodzi z założenia, że

Podatek od deszczu, słońca i cienia



Jacek Przybylski

Danina zwana podatkiem od deszczu obowiązuje w Polsce od 2018 r. W tym roku obowiązek jej zapłaty może jednak zaskoczyć wiele osób, bo urzędnicy szykują się do ściągnięcia podatku za pięć lat, i to z odsetkami. W Polsce obowiązuje też podatek od powietrza czy dna pod pomostem. Na szczęście nie płacimy jednak podatku od grilla, gipsu, okien czy cienia...



Oплата deszczowa, czyli podatek za zmniejszenie naturalnej retencji terenowej, jest naliczana od powierzchni obiektów, które uniemożliwiają ziemi wchłanianie wody deszczowej. Chodzi o właścicieli tych nieruchomości, których duża powierzchnia jest np. zabetonowana, zaasfaltowana lub wyłożona kostką. Nowy podatek ma w teorii zachęcać do rezygnacji z betonozy. Oczywiście w praktyce danina stanowi nowe źródło pieniędzy, które politycy i urzędnicy mogą mniej lub bardziej beztrudno wydawać. Polski rząd już od wielu miesięcy szykuje się więc do znaczącego zwiększenia liczby osób, które będą zobowiązane do płacenia deszczowej daniny. Plan jest taki, aby kolejny podatek płacili właściciele

nieruchomości większych niż 600 mkw. (obecnie muszą go płacić właściciele nieruchomości o powierzchni przekraczającej 3,5 tys. mkw.) o zabudowie co najmniej 50 proc. gruntu.

Podatek od deszczu to niejedyny absurdalny podatek w Polsce. Od lat płacimy również za oddychanie, a dokładnie za oddychanie czystym powietrzem. Opłata miejscowa, tzw. opłata klimatyczna, jest pobierana w miejscowościach uzdrowiskowych, klimatycznych i krajobrazowych. Lokalni urzędnicy chętnie wyciągają rękę po pieniądze, nawet jeśli miejscowe urządzenia pomiarowe wskazują, że poziom smogu jest na alarmujących poziomach, a klimat z pewnością nie ma „właściwości leczniczych”. I chociaż naprawdę trudno w to uwie-

rzyć, to polskie podatki to i tak nic przy pomysłach danin z innych krajów Europy i świata.

PIENIĄDZE NIE ŚMIERDZĄ

O tym, że na świecie pewne są tylko dwie rzeczy: śmierć i podatki, wiadomo od zarania ludzkości. Niektóre daniny już w starożytności budziły jednak zaskoczenie i niezadowolenie poddanych. Tak było choćby z podatkiem od korzystania z publicznych toalet wprowadzonym przez cesarza rzymskiego Wespazjana, który na wątpliwości dotyczące akurat tej daniny wyrażone przez jego własnego syna Tytusa odpowiedzieć miał (według rzymskich historyków) znaną dziś powszechnie sentencją: „Pecunia non olet” („Pieniądze nie śmierdzą”).

Wespazjan znany był przynajmniej z bycia osobą oszczędną. Współcześni politycy często wprowadzają nowe podatki po to, aby je bezmyślnie rozdać. A ich wyobrażenia – zarówno w kwestii danin, jak i rozdawnictwa – nie zna granic.

„Obywatele niektórych europejskich państw muszą płacić podatki za korzystanie z grilla, posiadanie basenu czy nawet zaślanianie słońca” – zauważa Piotr Juszczyk, główny doradca podatkowy firmy inFakt, podkreślając, że wysokość danin może sięgać nawet kilku tysięcy euro. I wcale nie żartuje. Za każde rozpalenie grilla stosowną daninę odprowadzać muszą mieszkańcy belgijskiego regionu Walonia. Podatek w wysokości 20 euro (równowartość 92 zł) jest należny za każdym razem, gdy rozpala się grill, niezależnie od tego, czy urządza się huczną imprezę dla znajomych czy chce kameralnie spędzić czas z rodziną na gotowaniu pod chmurką. Za podatkiem opowiedzieli się m.in. ekolodzy, przerażeni ilością gazów cieplarnianych, która dostaje się do atmosfery za każdym razem, gdy ktoś rozpala grill. Urzędnicy lokalnej skarbowki przy użyciu dronów i śmigłowców wyposażonych w kamery termowizyjne regularnie patrolują więc podległe im tereny, aby sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie urządza nieopodatkowanego grilla.

Teoretyczna troska o nadmierną emisję gazów cieplarnianych motywowała z kolei estońskich polityków, gdy w roku 2008 nałożyli chyba jeden z najbardziej absurdalnych podatków w Europie. Ponieważ przemysłu w Estonii mało, chcący wykazać się proekologicznym podejściem rządzący ogłosili, że hodowcy muszą płacić daninę od... krowich gazów. Na szczęście inne zwierzęta hodowlane, a także psy, koty i ludzie mogą na razie bezpłatnie oddawać się tej czynności wagi państwowej.

Wprowadzenie podobnej daniny na rodziców więcej niż dwojga dzieci – właśnie ze względu na nadmierną emisję dwutlenku węgla – rozważali w 2007 r. również politycy australijscy. Zgodnie z propozycją opisaną przez „The Sydney Morning Herald” pary, które zdecydowałyby się na sterylizację, miały w zamian otrzymywać ulgi podatkowe. Autorzy nowego prawa zaudacnie wyprzedzili jednak swoje czasy i jak dotąd nie znaleźli szerokiego zrozumienia w wyspiarskim społeczeństwie. Trzeba więc ostrożnie

podchodzić do zachęt typu „500+”, bo nigdy nie wiadomo, który polityk uzna, że za posiadanie pociech, które nie dość, że wydzielają gazy, to jeszcze pobierają tlen, trzeba będzie słono państwu dopłacić.

PODATEK OD SŁOŃCA I CIENIA

Skoro jest podatek od powietrza i deszczu, to musi być też od słońca. Wprowadziły go np. władze hiszpańskich Balearów. Za każdy dzień pobytu muszą go płacić odwiedzający Majorkę, Minorę, Ibizę czy inne wyspy archipelagu – w zależności od sezonu oraz klasy hotelu stawka podatku waha się od kilkunastu eurocentów do 4 euro za dzień od osoby powyżej 13. roku życia. Z kolei w Austrii wprowadzono podatek od gipsu. Narciarze i snowboardziści przyjeżdżający do hoteli i pensjonatów tego kraju muszą uiszczać tę daninę niezależnie od tego, czy są zmuszeni ze złamaniem zgłosić się do szpitala i czy mają dodatkowe ubezpieczenie medyczne.

**Władze hiszpańskich Balearów
żądadzą podatku od słońca.
Tymczasem we Włoszech
urzędnicy chcą daniny od cienia**

Opłatę turystyczną za wejście do miasta chcą też wprowadzić władze Wenecji, ale na szczęście dla turystów już od kilku lat nie mogą się dogadać co do szczegółów nowej daniny. Od lat zarówno w Wenecji, jak i w pobliskim Treviso obowiązuje z kolei inny nietypowy podatek. Tym razem władze żądają daniny od... cienia. Odprowadzać ją muszą właściciele restauracji, sklepów, kawiarni, a nawet prywatnych domów, jeśli ich nieruchomości, a także wszelkiego rodzaju daszki, markizy i parasole rzucają cień na teren należący do miasta. Wysokość podatku wynosi 100 euro rocznie.

Danina szybko spodobała się urzędnikom z innych włoskich gmin, którzy argumentują, że skoro baldachim, markiza, parasol etc. rzucają cień na teren publiczny, to jego właściciel powinien płacić za korzystanie z tego kawałka nieruchomości. Zupełnie oddzielną daninę trzeba uiszczać od ustawienia na chodniku restauracyjnego ogródka. I to jest jednak

za mało. Zbiurokratyzowane włoskie władze w części gmin rozszerzyły więc zakres obowiązywania podatku od cienia również o balkony, tarasy, werandy nieruchomości prywatnych.

Z kolei Grecy muszą liczyć się z obowiązkiem zapłaty podatku od basenu. Na szczęście tamtejsi urzędnicy nie wpadli jeszcze na pobieranie daniny od każdej kąpielni, ale za samo posiadanie basenu trzeba już słono płacić. Wysokość podatku zależy od powierzchni basenu. „Przykładowo za 100 mkw. zbiornika trzeba zapłacić ok. 3 tys. euro” – zauważa Piotr Juszczyk, główny doradca podatkowy firmy inFakt, który w przesłanej „Do Rzeczy” wypowiedzi wyjaśnia także, że „w Grecji istnieje wykaz basenów, analogiczny do ewidencji budynków gospodarczych w Polsce. Pomocne dla greckiego fiskusa są zdjęcia satelitarne, dzięki którym można śledzić, czy mieszkańcy Grecji zgłaszają fakt posiadania basenu”.

DANINA OD TATUAŻY I BOTOKSU

Z kolei w Chinach wprowadzono podatek, który przypomina obowiązujący jeszcze do niedawna w Polsce „bykowe”. W połowie lat 90. XX w. władze w Pekinie zażądały od obywateli daniny od związków nieformalnych. Cena za życie na kocią łapę wynosi rocznie tysiąc juanów (równowartość 600 zł). Z kolei Koreanki płacą podatek od urody. A dokładniej od poprawiania natury, czyli od operacji plastycznych. Stawka wynosi 10 proc. wartości zabiegu i dotyczy wszystkich najbardziej popularnych zabiegów: począwszy od liposukcji, poprzez usuwanie owłosienia, na operacji piersi skończywszy. Podatek od botoksu obowiązuje również w niektórych stanach USA. Z kolei mieszkańcy Arkansas od 2005 r. muszą głębiej sięgnąć do kieszeni, jeśli chcą wykonać tatuaż. Dodatkową daninę w wysokości 6 proc. wartości usługi odprowadzać muszą od każdego zabiegu miłośnicy piercingu, czyli przekłuwania różnych części ciała.

Jeszcze dalej posunęły się władze Gwinei, które każą płacić obywatelom dodatkową daninę, nawet jeśli ci nie korzystają ze słońca, cienia, basenu czy grilla. Podatek od spokojnego życia mieszkańcy tego afrykańskiego kraju muszą odprowadzać za każdy rok życia bez wojny. Na to nasi politycy jeszcze nie wpadli...

© Polityczkie prawa zastrzeżone

MITSUBISHI ASX

Koncerny samochodowe cyklicznie odświeżają swoje modele.

ASX nie przeszedł jednak typowego liftingu. Nowa generacja crossovera japońskiej marki jest kompletnie inna niż poprzednia. Auto jest bowiem niezwykle blisko spokrewnione z popularnym francuskim Renault Captur.

Kompaktowy, miejski „B-SUV” zyskał smukłą sylwetkę oraz nowoczesne technologie i systemy infotainment, choć stracił swój dawny, oryginalny charakter. Auto z silnikiem 1,3 l ma ukryte pod maską aż 158 rączych koników, dzięki którym prowadzi się przyjemnie i dynamicznie nie tylko po mieście, lecz także na autostradach. Na pochwałę zasługuje też sprawnie działająca siedmiobiegowa automatyczna skrzynia biegów. Auto od zera do setki rozpędza się w 8,5 s i w cyklu mieszanym pali realnie ok. 6,9 l/100 km.

Fotele są komfortowe. Bagażnik mieści zaś ok. 400 l (można go powiększyć do nieco ponad 530 l po przesunięciu tylnej kanapy), a jeśli wyrzuci się z kufra koło dojazdowe, to robi się on już wystarczająco duży na kilkudniową eskapadę z dużą walizką małżonki.

Od Captura ASX odróżniają nie tylko dość kosmetyczne zmiany w wyglądzie. Japończyk jest od swego bliźniaka nieco droższy, ale ma za to istotnie bogatsze wyposażenie standardowe. Już



w najtańszej wersji znajdują się nie tylko kamera cofania, klimatyzacja czy światła w technologii LED, lecz także ekran dotykowy o przekątnej 7 cali oraz 4,2-calowy wyświetlacz między klasycznymi zegarami, a także rozbudowane technologie bezpieczeństwa ostrzegające o niezamierzonej zmianie pasa ruchu i wspomagające utrzymanie auta na właściwym pasie, system rozpoznawania mijanych znaków drogowych czy technologia ograniczająca skutki zderzeń czołowych. W testowej wersji Instyle AT są już też system nagłośnienia BOSE, indukcyjna ładowarka, ekran dotykowy o przekątnej 10,25 cala, system monitorowania martwego pola i centrowania pojazdu na pasie ruchu (element funkcji MI-PILOT, zapewniającej jazdę autonomiczną na poziomie 1, adaptacyjny tempomat, podgrzewane fotele i kierownica, otwierany szyberdach etc. Poza tym ASX ofero-

wany jest z pięcioletnią gwarancją z limitem 100 tys. km, pięcioletnią pomocą drogową oraz nieodpłatną kontrolą samochodu w ramach Mitsubishi Assistance Package.

Auto oferowane jest w trzech wersjach benzynowych i jednej hybrydowej wyłącznie z napędem na jedną oś. Za najtańszy ASX z silnikiem o pojemności 1,0 i mocy 91 KM z sześciobiegową skrzynią manualną trzeba zapłacić 99,99 tys. zł. Ten sam model z nieco lepszym wyposażeniem i silnikiem 1,3 o mocy 140 KM z sześciobiegową skrzynią manualną to wydatek rzędu 111,9 tys. zł. Za wersję z motorem o pojemnością 1,3 o mocy 158 KM i automatyczną skrzynią 7DCT japoński koncern życzy sobie co najmniej 128,9 tys. zł (w najbogatszej wersji wyposażenia cena rośnie do 145,99 tys. zł). Z kolei za hybrydę 1,6 o mocy 143 KM trzeba zapłacić 141,99 tys. zł. ©



JABRA EVOLVE2 BUDS

Niewielkie rozmiary, wysoka jakość rozmów, ochrona słuchu, wydajna bateria oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety naszpikowanych technologiami dokanałowych pchełek duńskiej firmy Jabra.

Lekkie (waga zaledwie 5,4 g) i komfortowe słuchawki dedykowane są profesjonalistom pracującym zdalnie i w trybie hybrydowym. O tym, że ten model opracowano specjalnie z myślą o świecie biznesu, świadczy

m.in. logo popularnej aplikacji Microsoft Teams umieszczone na etui ładującym (testowany model ma certyfikat zgodności zarówno z Microsoft Teams, jak i z Google Meet oraz Zoom). Stabilnemu połączeniu sprzyja m.in. radiowy adapter, który wystarczy podłączyć do portu USB.

W testowanym modelu Duńczycy zastosowali technologię Jabra Multi-Sensor Voice, która wykorzystując cztery mikrofony, tłumi niechciane dźwięki z tła. Dzięki niej prowadzone rozmowy są naprawdę wysokiej jakości. Plusem testowanego modelu są również technologie takie jak SafeTone czy PeakStop, które chronią słuch użytkownika przed nagłymi skokami głośności.

Dzięki zastosowaniu technologii Bluetooth 5.2 zasięg tych bezprzewodowych słuchawek wynosi do 20 m (jeśli od źródła nie oddzielają ich ściany etc.).

Można więc spokojnie pójść do ekspresu do kawy, jednocześnie rozmawiając z szefem. Ze słuchawkami Jabra Evolve 2 Buds sparować można do ośmiu urządzeń. Dzięki zastosowaniu adaptera istnieje też możliwość jednoczesnego połączenia z laptopem oraz ze smartfonem. Podczas podróży służbowych przydać się może odporność na wodę (certyfikat IP57 oznacza, że wytrzymują nawet zanurzenia w płytkiej wodzie).

Zaletą testowanego modelu jest również możliwość korzystania wyłącznie z jednej, dowolnie wybranej słuchawki (np. druga może ładować się w etui). Akumulatorki w słuchawkach pozwalają na prowadzenie rozmów przez mniej więcej osiem godzin, ale dzięki etui czas pracy bez konieczności szukania kontaktu można przedłużyć do 33 godzin. Ładowanie trwa krótko. Aby korzystać ze słuchawek przez kolejną godzinę, wystarczy podłączyć etui do prądu na zaledwie pięć minut.

Wady? Po pierwsze, choć system aktywnej redukcji hałasu działa niezle (ma nawet opcję regulowania mocy ANC w aplikacji), to w tej kategorii cenowej mógłby działać jeszcze lepiej. Po drugie, w testowanej wersji adapter miał wejście w wersji USB-A (do USB-C trzeba dopłacić). I trzeci minus: cena. Za słuchawki w podstawowym wariantcie trzeba zapłacić aż 1199 zł. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Salis, jak Chodkiewicz został admirałem

Salis, obecnie Salacgrīva na Łotwie, nad Zatoką Ryską, to miejsce kolejnej, obok Helu, prawie zapomnianej bitwy morskiej I Rzeczypospolitej. Ciekawej, bo będącej w istocie śmiałym, improwizowanym rajdem, którym dowodził hetman Jan Karol Chodkiewicz, legendarny zwycięzca spod Kircholmu w 1605 r.

Kiedy w 1608 r. odnowiła się polsko-szwedzka wojna o panowanie na Bałtyku, Szwedzi zdobyli prawie wszystkie miasta portowe na wybrzeżu Inflant, a Rygę zablokowali flotą, która miała bazę w położonym na północy porcie w Salis. Chodkiewicz, który na początku 1609 r. przybył ze świeżymi siłami polsko-litewskimi, wykonał najpierw niespodziewany zagon na Parnawę i zajął miasto z zaskoczenia, zdobywając w porcie dwa okręty wojenne i kilka pomniejszych stateczków – batów. Wiedząc, że flota szwedzka składająca się z ośmiu dużych okrętów wojennych i kilkunastu

mniej niż jednostek znajdujących się na redzie portu w Salis, zdecydował się dokonać dwóch niespodziewanych ataków na to miasteczko. Jeden przeprowadzony miał być od strony lądu, a drugi – od morza. W tym celu Chodkiewicz stworzył własną flotyllę, wykorzystując dwa zdobyte okręty szwedzkie, zakupił dodatkowo pięć statków handlowych, na które załadowano działa z umocnień miejskich. Jako załogę zaciągnięto ochotników z chorągwi polskich, zaciągnięto kilkunastu marynarzy inflanckich oraz przekupionych jeńców szwedzkich.

Ponieważ zaimprovizowana w taki sposób flota ciągle była słabsza od szwedzkiej i w przypadku stoczenia otwartej bitwy niechybnie zostałaby rozbita, Chodkiewicz postanowił dokonać skrytego ataku nocą i zastosować broń, której na Morzu Bałtyckim jeszcze nie widziano. Wykorzystał brandery – statki, które podpalamo i kierowano z prądem lub wiatrem w stronę wrogiej floty, by podpalić wrogie jednostki. W taki właśnie sposób Anglicy zadali duże straty hiszpańskiej Wielkiej Armadzie pod Calais. Hetman kazał załadować smołę, proch i inne łatwopalne materiały na kilka małych stateczków, a następnie wykorzystać je w ataku na Szwedów stojących na kotwicach w ujściu rzeki Salaca, dawniej również zwanej Salis.

Wnocy z 23 na 24 marca 1609 r. flota polska przepłynęła z Parnawy do Salis i ustawiła się nieco na północ od ujścia rzeki, na wysokości dzisiejszego stadionu

piłkarskiego. Następnie, wykorzystując wiatr, wypuszczono zapalone brandery w stronę szwedzkiej flotylli, która stojąc na kotwicach w ujściu rzeki, znalazła się w pułapce. Od razu wybuchła panika – okręty przecinały liny kotwiczne i usiłowały wyjść na pełne morze. Dwa z nich spłonęły, pozostałe, szukające ratunku w zatoce, wypływały wprost pod działa polskiej eskadry i stawały się łatwym celem ostrzału zadającego tak duże straty, że po bitwie Szwedzi przerwali blokadę Rygi, a ich okręty wróciły do Rygi. Równocześnie z atakiem branderów i sił morskich Chodkiewicza miasto i zamek zaatakowały przysłane z Parnawy oddziały jazdy i piechoty, doprowadzając do szybkiego zdobycia Salis. Chodkiewicz ruszył teraz pod Rygę, gdzie zmusił blokujące miasto oddziały Fryderyka Mansfelda i obległ forteczę Dyjament.

Bitwa morska pod Salis, której teren – ujście rzeki – najlepiej widoczny jest dzisiaj z mostu, przez który przebiega droga E67, to niezwykle przykład sprawności armii dawnej Rzeczypospolitej, która potrafiła operować nie tylko na ogromnych przestrzeniach Europy Wschodniej, na odmiennych teatrach operacyjnych, lecz także w kompletnie różnych środowiskach. Jan Karol Chodkiewicz, doskonały hetman i dowódca jazdy, zaplanował operację morską i wygrał bitwę na morzu. Załogami statków byli zaś w znacznej części ochotnicy... z chorągwi jazdy – husarze i kozacy polscy, którzy w zmaganiach na lądzie niechętnie schodzili z koni. ©



RYS: MART

FOT. DOMENICA PUBLICZNA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaki Drohiczna

Gdyby chcieli się państwo wybrać na jednodniową wycieczkę, to proponujemy kierunek Drohiczn. Drohiczn to historyczna stolica Podlasia, prawa miejskie uzyskał w 1498 r. Tędy Bugiem spławiano towary z Rusi Kijowskiej. Zresztą Bug wciąż leniwie i pięknie wiję się pod miasteczkiem, a gdy jest pogoda, na nadrzeczne łąki wylegają turyści, spacerują, rozkładają koce, odpoczywają. Serce przyrody bije tutaj innym, wolniejszym rytmem. Miasto w XVI w. słynęło z handlu, a potem z dobrych szkół. Były tu szkoła prowadzona przez franciszkanów i jezuickie kolegium – jego piękny budynek stoi do dziś około katedry pw. Trójcy Przenajświętszej. Do dziś działają tu Wyższe Seminarium Duchowne, szkoła podstawowa oraz liceum.

Miasto ma też swoją legendę mówiącą o rycerzach ukrytych we wnętrzu wysokiej skarpy. Ponoć pewnego razu jeden z rycerzy zadurzył się w pięknej drohiczniance i nie wrócił na czas do wnętrza góry, przez co błąkać musiał się już na wieki. Mamy swoją teorię na ten temat – dziewczyna musiała go skusić nie tylko własnym wdziękiem, lecz także kartaczami. Jeśli bowiem były tak dobre jak te, które jadłyśmy tu, odwiedzając Drohiczn przy okazji koncertu „Requiem dla świata” Tomasa Radziwonowicza dwa tygodnie temu, to biedak nie miał szans.

Kartacze te oraz inny lokalny przysmak – zaguby – to specjalność restauracji Pod Katedrą. Miła gospodyni podała nam przepisy, które tutaj zamieszczamy. Ale od razu uprzedzamy – w Drohicznie smakować będą o niebo lepiej!

Drohiczyńskie kartacze:

(porcja dla 4 osób)

1) Ugotować 3 kg ziemniaków na dzień przed zrobieniem kartaczy, wystudzić i odstawić do lodówki na noc, a następnego dnia zmielić je przez maszynkę do mięsa na średnim sicie.

2) Przygotować farsz: ugotować w osolonej wodzie 1 kg mięsa (najlepiej karkówkę, ale może być też inne ulubione mięso, np. drobiowe), zmielić, przyprawić do smaku solą i pieprzem, dodać jedną podsmażoną w kostkę cebulkę, ostudzić.

3) 1 kg ziemniaków surowych zetrzeć na tarce i mocno odcisnąć w gazie (tak, tak... w gazie z apteki) lub w czystej nowej pieluszcze tetrowej.

4) Surowe ziemniaki połączyć z tymi ugotowanymi dzień wcześniej. Powoli, małymi porcjami dodać mąkę ziemniaczaną (nie za dużo, tak aby ciasto się połączyło, tworząc zwartą, gładką konsystencję).

5) Na dłoni z powstałego ciasta formować placuszki o grubości ok. 1 cm, nałożyć na nie solidną łyżkę farszu i zlepić kartacz w jajowatym kształcie.

6) Kartacze wrzucać porcjami na osolony wrzątek i gotować przez 7 min od wypłynięcia.

7) Podawać ze skwarkami lub z podsmażoną na złoto cebulką. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

SOR nierealny

Nawet ten, kto nigdy nie musiał być na SOR, zapewne wie, jak tam jest. Wieść stugębna odmalowała już wielokrotnie obraz nędzy i rozpaczy izby przyjęć: chorych czekających godzinami, mdlejące staruszki, zdesperowanych rodziców próbujących uciszyć płaczące dzieci. To rzeczywistość polskiego szpitala NFZ. A jak wygląda SOR amerykański? Jeśli chcą się państwo rozmarzyć, polecam amerykański serial dokumentalny „Emergency NYC”. Wszystko jest tu absolutnie prawdziwe: na czele z lekarzami, pielęgniarkami oraz, last but not least, pacjentami, którzy zgodzili się na pokazanie swoich ran, operacji, zabiegów. Wszystko dzieje się w czasie pandemii.

Oglądaliśmy zatem transport wątroby helikopterem z jednego stanu do drugiego, przeszczep nerki, operację na otwartej czaszce, gdzie niewłaściwy ruch skalpela może spowodować utratę wzroku pacjenta, cesarskie cięcie... Wszystko to odbywa się w świetnie wyposażonych szpitalach, gdzie (tak jak pewnie widzieli państwo w zwykłym serialu) za każdymi noszami transportowanego pacjenta podąża orszak pielęgniarek, lekarzy, sanitariuszy itp. Wszyscy zyczliwi, pomocni, rozmawiają z pacjentami o ich życiu, pocieszają rodzinę. Poziom empatii level hard.

Mamy tu także wplecione wątki z prywatnego życia lekarzy. Opowiadają o swojej pracy, jest pielęgniarka w ciąży,



FOT. NETFLIX

kotóra otoczona przyjaciółmi i personelem szpitalnym rodzi na naszych oczach. Pewien ordynator na chwilę staje się pacjentem własnego oddziału. Wszystko z happy endem.

Osobiście niezbyt dobrze znoszę widok rozkrojonych ciał. Mniejsza o to, można odwrócić głowę. Jednak oglądając te amerykańskie cuda, zadajemy sobie różne pytania. Jak na salę operacyjną wpuszczono ekipę zdjęciową, dodatkowo w czasie pandemii? I ważniejsze poniekąd: Kto za to wszystko płaci? Ktokolwiek zetknął się z opowieściami o amerykańskiej służbie zdrowia, wie, że każde ukłucie strzykawką warte jest tam setki dolarów. A tu wiozą nerkę, wątrobę helikopterem, w nim pięć osób załogi?

Prawie wszyscy pacjenci pochodzą z Meksyku, Indii, Hondurasu. Młoda kobieta przyszła piechotą (!) z Hondurasu, nie mówi po angielsku. Kto płaci za jej poród? Prawie żaden z bohaterów tego serialu – pacjentów – nie jest białym Amerykaninem. Czyżby dlatego, że tylko biedniejsi imigranci zgodzili się, żeby ich pokazać w zamian za opłatę?

Jednak pobytu na tym wspaniałym, nierealnym SOR nikomu nie życzę. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Niemcy nas kompromitują

Niemiecka Stała Komisja ds. Szczepień STIKO wycofała się właśnie z zalecenia szczepienia dzieci od 5. do 18. roku życia. Głównym powodem wycofania rekomendacji jest to, że COVID nie stanowi zagrożenia dla tej grupy wiekowej. Z tej decyzji wynika wiele nieciekawych sprostowań.

Po pierwsze, sam powód tej decyzji dowodzi, że nie została ona podjęta z powodu tego, że wirus jest w odwrocie, co często się zaczyna pojawiać przy decyzjach wycofujących obostrzenia, ale dlatego, że wirus nie stanowi (czyli i nie stanowił wcześniej) zagrożenia dla tej grupy. A więc jej szczepienie nie jest bez sensu dopiero teraz, ale było bez sensu zawsze, o czym mówiono często, ale to dziś oficjalsi dołączają do szurii, udając, że nic się nie stało.

Druga sprawa to sam wirus. On przecież jest międzynarodowy i tylko niedorzęcznie rasiści wskazywaliby, że działa inaczej w podziale na narody i rasy. Można więc domniemywać, że jeśli wirus nie szkodzi dzieciom niemieckim, to i nie szkodzi dzieciom innym, w tym polskim. A więc i w tych narodach powinien występować ten sam argument za przerwaniem akcji szczepienia, a nie występuje.

U nas jest inaczej. Wiadomo – Polacy złote ptacy, nas nic genetycznie z Niemcem nie łączy, a więc tym bardziej pójdziemy (i idziemy) pod prąd. I kiedy Niemcy zamy-

kają szczepienną budę dla swych młodzieżowców, to my przebijamy stawkę i szczepimy (ostatnio zakupiono ponad pół miliona szczepionek dla dzieci od szóstego miesiąca) nie tylko nastolatków, lecz także niemowlęta. To jak to jest, panowie i panie eksperci? Niemcy mówią co innego, a nasi to nawet nic nie mówią, tylko po prostu szczepią?

Polska jako tako się trzymała w stosunku do innych państw, ale to tak, jak w powiedzeniu, że „jak na garbatego, to nawet przystojny”. Zanurkowaliśmy „tylko” z ponadnormatywnymi zgonami. Ale covidowa końcówka też nam nie służy; wiele krajów ogłosiło już pandemiczny rozjem, rozeszło się do domów, a my wciąż wysadzamy te pociągi sanitarnego.

Do tej pory międzynarodówka sanitarystyczna raczej trzymała sztamę: działania były te same, intensywność nieczęsto się tylko różnicowała między państwami. Wszyscy (oprócz niechlubnych wyjątków sukcesu) śpiewali w tym samym chórze, rozpisany na głosy. Teraz, na końcówce COVID widać już poszczególne różnice wynikające z dwóch rzeczy: tempa wycofywania się z covidowego obłędu i różnych narracji tłumaczących ten odjazd. I można się wsłuchać w taką kakofonię. Nic się kupy nie trzyma, mamy wzrastający rwetes tłumaczących się na wypródkę, że chcieli dobrze, ale wyszło jak zwykle. Czyli po polsku. © ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Przymus wyboru

Myślę, że najbardziej intensywne wysiłki propagandzistów w okresie komunizmu nie demolały tak skutecznie dziecięcą wrażliwość, jak robi to teraz propaganda trans. Zmieniły się nie tylko środki, lecz także zasięg oddziaływania. Wtedy indoktrynacja odbywała się głównie w szkole, co stanowiło ledwie kilka godzin dziennie. Telewizyjna propaganda, nudna i siermiężna, adresowana była do dorosłego widza. Owszem, filmy, seriale zawierały watki ideologiczne, ale czas spędzany wtedy przez dzieci i młodzież przed telewizorem to ledwo ułamek liczby godzin, które dziś młodzi ludzie poświęcają smartfonom. Tym, co nie zmieniło się od lat komunizmu, są metody wyszydzenia oponenta – odczłowieczenie przeciwnika. Potępienie wszystkich, którzy kwestionują genderową ideologię, prowadzi dziś, tak jak wtedy, do wykluczenia, napiętnowania, a często do administracyjnych szykan. Utrata pracy, relegowanie ze studiów, towarzyski bojkot – to konsekwencje, z którymi musieli się liczyć dysydenci, a których dziś doświadczają kwestionujący „nową” antropologię.

Wraz z operacją uciszenia kontestatorów propaganda realizuje swój główny cel – normalizację i społeczną nobilitację transpłciowości. Komentator „National Review” Jonathon Van Maren wymienia szeroki

katalog produkcji filmowych, seriali programów dla dzieci i młodzieży, nasyconych wątkami trans. W Polsce mówiło się o homobohaterach w serialu „Świnka Peppa”, ale to dopiero wierzchołek góry lodowej. Van Maren opisuje np. kultowy animowany film dla przedszkolaków „Blues Clues”, w którym teraz pojawiają się drag queen, transpłciowy bóbr z bliźniami po mastektomii na klatce piersiowej, delfin gej i cała plejada niebinarnych bohaterów. Produkcje Disneya czy Netflixa nasycane są wątkami trans i wkrótce trudno będzie znaleźć dziecięcy film wolny od transideologicznego przekazu. Szaleństwo nie oszczędziło nawet „Ulicy Sezamkowej”. Popularne seriale dziecięce przekonują, że bycie trans jest cool, a rodzice są od tego, by radośnie „potwierdzić” WYBÓR dokonany przez zmanipulowanego dzieciaka.

I chyba tu jest sedno tej obłędnej ideologii. Mimo coraz częstszych świadectw osób, które poddają się dziś detranzycji, mimo przykładów okaleczeń, nieodwracalnych szkód wyrządzonych dzieciom na opamiętanie chyba nie ma co liczyć. Istotą tej nowej religii jest bowiem jej najważniejsza wartość: „WYBÓR”. Ale metodą re-alizacji jest tak naprawdę... przymus. Tak było z aborcją. Uznanie mordu prenatalnego za „prawo kobiety” u podstaw miało właśnie narzucony propagandowym przymusem motyw „wolnego wyboru”. © ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Rozczulający Giertych

Kilka słów autokrytyki na początek, żeby państwo wiedzieli, z kim państwo mają tu do czynienia. Stop. Jestem narwany, nieobiektywny i nieuczciwie wyrrywam z kontekstu. Stop. Oglądałem w TVN24 w wywiadzie z red. Piaseckim prof. Beatę Katarzynę Smarzyńską-Jaworcik, główną ekonomistkę Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, wykładowcę na Uniwersytecie Oksfordzkim, która mówi: „Bardzo ciężko jest zakładać, co się stanie”. Stop. Oksford to Oksford, sami państwo widzą, jak istotne jest staranne wykształcenie. Stop.

Partia Zbigniewa Ziobry zmieniła nazwę z Solidarnej Polski na Suwerenną Polskę. Stop. Znany PiS-owski złoślik marszałek Ryszard Terlecki skomentował: „Mała partia, około procentu poparcia, ogłasza, że to ona będzie bronić suwerenności Polski? Zmiana nazwy nic nie zmieni. Tylko Prawo i Sprawiedliwość może zapewnić Polsce wolność i rozwój”. Stop. Zjednoczona Prawica Zjednoczoną Prawicą, lecz Wielki Brat Ziobrom od czasu do czasu brutalnie przypomina, wokół kogo i na czyich warunkach to zjednoczenie... Stop.

Z okazji 1 maja 2023 r. Donald Tusk napisał na Twitterze: „Polscy patrioci potrafią mądrze zwyciężać. Tak było w czerwcu 1989 i w maju 2004. Powtórzmy to za pół roku”. Stop. W 1987 r. w miesięczniku „Znak” Donald Tusk pisał: „Co pozostanie z polsko-

ści, gdy odejmiemy od niej cały ten wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń? Polskość to nienormalność – takie skojarzenie narzuca mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu”. Stop.

Oglądałem dużo krótkich filmików z USA w mediach społecznościowych. Stop. Życie wydaje się tam bardzo łatwe. Mieszkańcy wchodzą do sklepów, biorą, co chcą, i wychodzą, czasem nawet nie demolując sklepu i nie bijąc obsługi. Stop. Nie mogę napisać, co łączy tego typu „zakupowiczów”, gdyż boję się oskarżeń o rasizm. Stop.

Rozczulił mnie Giertych Roman, były prezes Młodzieży Wszechpolskiej. Stop. PO (to PO celowo napisano wersalikami) ideologicznej metamorfozie, którą przeszedł, zaatakował lidera Konfederacji Sławomira Mentzena, pisząc w mediach społecznościowych: „Zapytajmy wszystkich razem. Może Pan Mentzen zechce odpowiedzieć na pytanie, czy on lub jego firma brali zlecenia od firm związanych ze Skarbem Państwa lub od instytucji rządowych”. Stop. Rozczulił mnie mecenas Giertych, ponieważ pamiętam, jak reprezentował Michała Tuska, syna Donalda, w procesie przeciwko mnie, a w tle były lotnisko i walki nie do włosów. Stop. Nie, nie, nie brał żadnego zlecenia od PO, po prostu pracuje jako adwokat. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Sztuka zaangażowana

Obchody 1 Maja miały w tym roku, we Francji, wyjątkowo burzliwy przebieg. W demonstracjach na ulicach francuskich miast uczestniczyło, według rachunków związków zawodowych, ponad 2 mln Francuzów, w samym Paryżu na ulice wyszło ponad pół miliona demonstrantów.

W Polsce świętowanie Dnia Pracy przebiegało o wiele skromniej. W Warszawie odbyło się ono w cieniu obchodzonej właśnie rocznicy przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Warszawiaczy mogli posłuchać na Krakowskim Przedmieściu muzyki etnicznej. Uczono też podstaw mazura, zorby i paso doble, zorganizowano spotkania z dietetykiem i rehabilitantem. Na wieczór stołeczny ratusz przygotował inną atrakcję. W Parku Fontann pokazano widowisko wody i światła „Disney – Magiczna księga”. Jaki związek ma Disney z walką ruchu robotniczego lub działalnością Unii Europejskiej, nie jest dla mnie niestety jasne.

W tej sytuacji walkę o sprawiedliwość i postęp wzięli na siebie polscy filmowcy. W opublikowanym na stronie wyborcza.pl dokładnie 1 maja wywiadzie reżyserka filmowa Joanna Ślesicka opowiada o swojej współpracy ze szwedzką producentką filmową Eriką Lust, nazywaną „pierwszą feministką w branży porno”, „Erika zasłynęła z kręcenia progresywnych

filmów erotycznych, które są inkluzywne, estetyczne, fascynujące i pełne życia, a do tego przedstawiają kobiecą perspektywę. Rozmowy z aktorkami porno, które można obejrzyć na stronie Eriki, otwierają zupełnie nową perspektywę na seksualność, wolność i granice”.

Polska reżyser, której walka o wolność nie jest, jak widać, obojętna, nakręciła dla „progresywnej” wytwórni „feministyczny” film porno. „Seks jest jednym z najbardziej wykrzywionych i cynicznie wykorzystanych tematów w tym kraju. A seks jest źródłem energii, może być czymś ożywczym, budującym bliskość, dającym radość. Robienie z niego grzechu jest czystą perwersją”.

„Zrobiłam ten film również z pobudek feministycznych” – deklaruje reżyserka. Nie miał on jeszcze oficjalnej premiery, odbywają się jednak pokazy prywatne. „Moi dwaj przyjaciele, którzy są osobami homoseksualnymi, powiedzieli, że wprawdzie nigdy nie widzieli cipki z tak bliska i że pewnie nie są docelowym »targetem«, ale i tak film był dla nich sensualnym i podniecającym doświadczeniem”.

Jeżeli misją sztuki postępowej i „inkluzywnej” stało się dziś pokazywanie homoseksualistom cipek „z bliska”, to marsz artystów ku świetlanej przyszłości wkroczył tym samym w formalizm i burżuazyjne manowce. Dzieci z tego nie będzie, towarzysze. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Przed sesją piłowania

Sposoby wyciągania egzaminowanych studentów (sesje za pasem!) z opresji są różne. W swej karierze dydaktycznej starałem się łączyć „trudne” pytania z przypadającymi akurat ważnymi rocznicami lub znacznymi wydarzeniami. W 2004 r. – w 60-lecie wybuchu powstania warszawskiego i publikacji głośnej książki Normana Daviesa – moje pytanie „na wyciągnięcie” brzmiało zazwyczaj: „W jakim mieście było powstanie warszawskie?”. Rok później, krótko po śmierci Jana Pawła II, zadawałem pytanie: „Który polski kardynał został wybrany na papieża w październiku 1978 r.”.

Liczyłem, że ktoś, kto nic poza SMS-ami nie czyta, usłyszy gdzieś

skiego, a na dodatek twierdził, że walczyli w nim „Sowieci przeciw Armii Czerwonej”, przekonywał mnie, że oceniłem go zbyt surowo. „Ale Andrzej, przecież on nic nie wiedział!”. „Nie, nie. Ja zawsze w podobnych przypadkach mówię: Pan na pewno coś wie, cokolwiek. Proszę mi o tym powiedzieć”. Dociekliwość socjologa wobec tzw. ciekawego przypadku.

Å propos socjologii i pokładów niewiedzy. W czasie kwietniowego Kongresu Pamięci Narodowej zaprezentowano wyniki badań nad świadomością historyczną Polaków, przeprowadzonych pod koniec ubiegłego roku na zlecenie IPN. Wśród pytań postawionych trzem grupom respondentów – Polakom powyżej 20. roku życia,

20. roku życia Ojciec Święty był na czele listy polskich bohaterów narodowych, a dla nauczycieli był na drugim miejscu za Piłsudskim. Ponad 26 proc. ankietowanych pedagogów wskazało na polskiego papieża jako naszego bohatera narodowego, a wśród dorosłych Polaków wskaźnik ten wynosił najwięcej, bo 38 proc.

Wynik tych badań pośrednio wyjaśnia, kto jest tar- getem tych oszczerczych kampanii propagandowych wymierzonych w Jana Pawła II, które trwają z różnym nasileniem od kilkunastu lat. Grupą docelową namierzaną przez tych propagandystów jest młodzież, która do niedawna była niemal całkowicie pozbawiona w szkole właściwej edukacji historycznej dotyczącej naszych najnowszych dziejów, a więc bezbronna wobec manipulacji i dezinformacji.

Również pod tym względem badania przeprowadzone przez IPN dają dużo do myślenia. Okazuje się bowiem, że wśród listy antybohaterów, a więc postaci, których powinniśmy się wstydić, wskazanych przez ankietowanych uczniów, na trzecim miejscu widnieje Jan Paweł II. Chociaż określiło go tak niewiele ponad 3 proc. ankietowanych uczniów, to jednak umieszczenie go obok Jaruzelskiego i Gomułki jest szokujące.

Ilu z tych ankietowanych „Julek i Oskarów” – tak właśnie sformułowanych – walczyło o lepszy świat, krzycząc na ulicach miast „Je...ć i wypierd...ć!?” Ilu zupełnie „niezłोśliwie” napadało na kościoły i przerywało nabożeństwa, a jako swoją idolkę wybrało powabną panią L.? Ilu z nich już szykuje się do „opiłowywania katolików z przywilejów”? ©©

Grupą docelową oszczerczych kampanii propagandowych wymierzonych w Jana Pawła II jest bezbronna wobec manipulacji młodzież

w pubie, między jednym a drugim piwem przeczyta na pasku telewizora zawieszonego w jakimś lokalu o tych wydarzeniach. Kalkulacje okazały się na wyrost. W niejednej pracy twierdzono, że papieżem został „polski kardynał Karol Wyszyński”. Zdarzali się i delikwenci, którzy nie wiedzieli, w którym mieście było powstanie warszawskie („No, proszę się zastanowić. Warszawskie powstanie. W którym mieście mogło się odbyć?”. „Na dzisiaj nie jestem przygotowany”). Stawiałem więc dwóję. Mój wybitny kolega, a dzisiaj doradca prezydenta RP do spraw bezpieczeństwa miał natomiast inną strategię ratowania beznadziejnych przypadków. Gdy usłyszał, jak oceniłem studenta, który nie znał lokalizacji powstania warszaw-

uczniom szkół średnich oraz ich nauczycielom – znalazło się również pytanie, kogo respondenci uważają za postać, z której możemy jako naród czuć się dumni. Autorzy badań, analizując wyniki ankiet, stwierdzili, że w najmłodszym pokoleniu osób badanych (tj. uczniów) rok 2022 był kolejnym rokiem, w którym zauważalna była tendencja spadkowa w postrzeganiu Jana Pawła II jako naszego bohatera narodowego. W 2009 r. w ten sposób określało go 37 proc. uczniów, w 2015 r. – tylko 21 proc., a w 2022 r. jedynie 13 proc. ankietowanych uczniów szkół średnich wskazywało Jana Pawła II na postać w polskiej historii, z której możemy być dumni.

Dla ankietowanych w tym samym badaniu Polaków powyżej

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / D. JAROSŁAW / SCENSKI

Trwa domykanie systemu. Jakiego? Totalitarnego. Trwa wszędzie – w PL, USA, UE – i mocno przyspiesza. System totalitarny, czyli odbieranie praw jednostki, praw osobistych, praw, które dostałeś od Boga, a nie od władzy, która ci te prawa właśnie odbiera.

W Irlandii nowe prawo ma być takie: więzienie za POSIADANIE materiałów, które mogą wzbudzać niechęć wobec „grup chronionych” (czyli np. Biblia, w której Bóg potępia zboczenia seksualne).

Co więcej, to nowe prawo zakłada, że jesteś winny, chyba że udowodnisz swoją niewinność. Książ, który ma w kościele mszał, musi udowodnić, że nie miał intencji odczytywać fragmentów, w których coś się władzy nie podoba. Niekoniecznie książ – wystarczy aplikacja biblijna na twojej komórce. Udowodnij, że nie miałeś intencji czytać komuś tych zakazanych wersetów.

W Wielkiej Brytanii zgodnie z nowymi totalitarnymi przepisami aresztowano kobietę, która modliła się W MYŚLACH niedaleko zakładu aborcyjnego. W pobliżu „kliniki” aborcyjnych modlić się nie wolno. Kara. Ale otworzyć „klinikę” niedaleko kościoła wolno. I co wtedy? Wtedy ten kościół trzeba zlikwidować, bo ludzie się modlą zbyt blisko „kliniki”.

Ograniczanie praw jednostki odbywa się nie tylko w zakresie wolności słowa i wyznania. Pewien dżentelmen z PL posługujący się kryptonimem Biały Orzeł napisał do mnie tak: „Za posiadanie kur (mam ich 20), które hoduję dla dzieci i dla jajek, grozi mi kara

200 tys. zł, jeśli ich nie zarejestruję. Te sk...syny myślą, że już wszystko im wolno”. „Biały Orzeł” się myli – oni nie myślą, że wszystko im wolno, oni wiedzą, że wszystko im wolno i nikt im nic nie robi. Rejestrowanie kur, świń i innego żarcia stosowano za Hitlera i Stalina (oba systemy były totalitarne). Reestracja, przymusowe kontyngenty – wszystko odstawiasz do państwowego skupu, a potem władza ci da tyle jeść, ile uzna za stosowne, czyli wprowadzi reglamentację – np. mięso na kartki. Osoby w moim wieku pamiętają to z własnego życia.

Tak działa system totalitarny – władza kontroluje wszystko (total): twoje żarcie, twoją forszę, to, jak ci się wolno lub nie wolno modlić. Niedawno na terenie Polski władza ograniczała katolikom chodzenie do kościoła. Były limity, ile osób wolno wpuścić na Mszę, ile wolno wpuścić do spowiedzi, ile dzieci idzie do Pierwszej Komunii. Najpierw zaprowadzili STRACH, czyli terror covidowy, a potem mało kto się buntował. A przecież pierwszym butem, który powinien wtedy kopnąć władzę w tyłek, powinien być Episkopat. No ale... władza totalitarna umie sobie z tym poradzić. Kościół dostaje od władzy forszę (np. na remonty) i wtedy Kościół siedzi cicho.

Władza totalitarna stale boi się buntu, bo ojciec, który dostał karę za hodowanie kur na jaja dla swoich dzieci, może wybuchnąć. A gdy wybuchnie jeden, może pociągnie innych i będzie powstanie, które obali władzę. Takie rzeczy działały się w przeszłości, dlatego system

totalitarny blokuje przepływ informacji, likwiduje wolność słowa, odcina telefony lub filtruje informacje w sieci, w prasie. Masz NIE wiedzieć o innych przypadkach podobnych do twego i masz siedzieć cicho, gdy ci się dzieje krzywda.

W USA zlikwidowano właśnie najbardziej oglądany program dający wiedzę o tym, co się dzieje. Prowadził go Tucker Carlson. Tucker był absolutnie najlepszy i najprostsze klipy z jego wypowiedzi osiągały w sieci MILIONY OBEJRZEŃ w bardzo krótkim czasie.

Nikt nie podaje sobie dalej monologów innych komentatorów – ludzie ich oglądają, ale bez przesady, nie na tyle, żeby rozesłać do rodziny. A Tuckera rozsyłali wszędzie. Na cały świat, również do Polski.

Tucker miał swój codzienny show w Fox News, czyli największej stacji telewizyjnej w USA. Fox jest wychylony w stronę konserwatyizmu. Tucker miał największą widownię ze wszystkich amerykańskich komentatorów. Dziesięć razy większą niż CNN. Dzień po dniu stawiał celne pytania, kwestionujące to, co mówiła władza. I... władza nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Gdy Tucker punktował, władza robiła się czerwona ze wstydu lub ze złości.

Tucker jest wybitny. Myśli szeroko i wyciąga wnioski z rzeczy pozornie niepowiązanych, z rzeczy, które światowa władza stara się przemilczeć, ukryć, zlekceważyć. Tucker zestawia rzeczy pozornie niepowiązane. Potrafi wyłożyć to, co trudne, tak, że otwierają ci się oczy.

To za co usunięto Tuckera? Pojechał z wykładem na spotkanie amerykańskich „moherów”. Kompletnie bez związku z pracą w telewizji; PRYWATNIE, po pracy. Sześciominutowe nagranie trafiło do sieci. Słuchasz i łuski z oczu spadają.

Cytuję:

Kiedyś toczyliśmy debaty. Chodziło o to, by określić wspólne cele nakierowane na wspólne dobro. Debatowaliśmy, jakie podatki prowadzą do większego dobrobytu. Cel był ten sam – większy dobrobyt, lepsze życie. Dzisiaj tego nie ma. Rozmowa o zmianie płci nie jest debatą na temat lepszego życia dla wszystkich. Rozmawiamy o kastrowaniu ludzi. To nie jest debata polityczna. Co chcemy uzyskać? Populację bezpłodnych?

Dyskusja o aborcji polegała dotychczas na tym, że czasami są sytuacje trudne i tak dalej, ale nikt w dyskusjach o aborcji nie twierdził, że aborcja jest dobra. A dzisiaj? Dzisiaj rozmawiamy o aborcji jak o koniecznych ofiarach z ludzi. Bo gdy minister skarbu twierdzi, że aborcja wspomaga ekonomię, to to jest rozmowa o składaniu ofiar z ludzi dla poprawy sytuacji społeczeństwa. Tak myśleli Aztekowie.

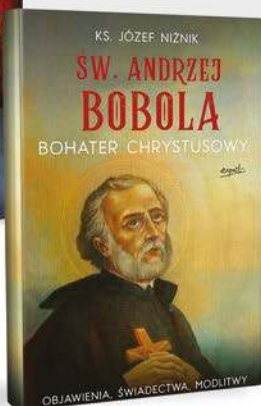
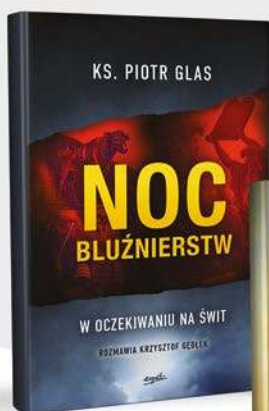
Ofiary z dzieci to nie jest normalna polityka. Więc co? To... teologia. Te rzeczy nie mają sensu w konwencjonalnej debacie politycznej. To, co teraz obserwujemy, to już nie jest polityka społeczna, lecz czyste zło.

I co teraz? Po pierwsze: warto zło nazwać po imieniu. Po drugie: może każdy z nas powinien znaleźć 10 minut każdego dnia, by pomodlić się za przyszłość świata. I nie mówię Wam tego jako „moher”, bo chodzę do kościoła episkopalnego, czyli najbardziej zsekularyzowanego w Ameryce. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

KS. PIOTR GLAS: „NOC BŁUŻNIERSTW”
I KS. JÓZEF NIŻNIK: „ŚW. ANDRZEJ BOBOLA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~522 ZŁ~~

214,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 308 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 91e9756154



Polska rodzina

srebrna moneta kolekcjonerska NBP
inaugurująca serię „W Polskę wierzę”



10 maja 2023 roku Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu srebrną monetę kolekcjonerską o nominale 10 zł „W Polskę wierzę – Polska rodzina”. Moneta inauguruje serię kolekcjonerską NBP poświęconą Polsce – jej znaczeniu w życiu Polek i Polaków.

Na awersie pierwszej monety z tej serii – „Polska rodzina” widnieją słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia: „Ojczyzna – rodzina rodzin”.

Monety kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)